

AMANDA

A woman with long blonde hair, wearing a black lace dress and black high-heeled shoes, is walking away from the camera on a city sidewalk at night. She is leaning against a stone wall on the left. A large, dark-furred bear cub is walking alongside her, following her. The scene is illuminated by warm streetlights, creating a dramatic and somewhat surreal atmosphere. The background shows a blurred city street with buildings and a street lamp.

R.E. STANIEK

R.E. Staniek

AMANDA

*Życie pełne oczekiwań i niespełnionych marzeń
Śmierć nagła i niespodziewana*

2017

Korekta, skład i łamanie tekstu oraz projekt okładki

www.anatta.pl

Zdjęcie na okładce

photographee.eu

© Copyright by R.E. Staniek, 2018

wydanie II

ISBN 978-83-949767-2-9

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Rozpowszechnianie i kopiowanie całości lub części publikacji zabronione
bez pisemnej zgody autora.

Konwersja do epub i mobi [A3M Agencja Internetowa](#)

*Życie pełne oczekiwań i niespełnionych marzeń
Śmierć nagła i niespodziewana*

Wstęp

– Dzisiaj jest poniedziałek, trzynasty czerwca. Przewiduje się zachmurzenie małe lub umiarkowane, bez opadów. Jedynie nad samym morzem możliwość przelotnych, krótkotrwałych deszczów. Temperatura w dzień osiągnie maksymalnie dwadzieścia sześć stopni. Temperatura w nocy spadnie do... – Głos spikera radiowego rzeczowo i bez zająknięcia przekazywał pogodę na cały tydzień.

Młoda kobieta podeszła do okna i popatrzyła w górę. Na niebie widoczne były małe, pojedyncze chmurki. Ręce oparła na kaloryferze. Prawą dłonią ścisnęła termostat, lewą żeliwne żeberko. Po kilku sekundach jej dłonie stały się sine, a następnie białe jak kreda. Zdawałoby się, że cała krew odpłynęła z nich, pozostawiając prawie przezroczystą skórę. Termometr na oknie wskazywał dziewiętnaście stopni.

Chmury, chmurki, chmurzyska. Cumulus, cumulusy, cumulusowy... Na ile sposobów mogę przekształcić te słowa w języku polskim? Na wiele. W razie czego wymyślę jakąś końcówkę, dodam do słowa głównego i mam... cumulusiki. Angielski jest o wiele łatwiejszy. Cloud, cumulus, i tyle. Nic dziwnego, że na całym świecie ten język jest najpopularniejszy.

Z pokoju stołowego widok był wspaniały, co stanowiło jedyną zaletę tego mieszkania. Drugą mogłaby być jeszcze ta, że otrzymała je od matki za darmo. A jak wiadomo, darowanemu koniowi nie zagląda się w zęby. Po matce przejęła również posadę nauczycielki języka angielskiego.

W oddali rozpościerał się pas zieleni. Jeszcze dalej widoczne były gdzieś domki jednorodzinne oraz droga szybkiego ruchu. Przy ładnej pogodzie, takiej jak dzisiaj, można było zobaczyć pasmo gór. Czasem rodzice zapraszali ją do siebie, w okolice Zakopanego, gdzie trzy lata temu kupili dom, by – jak mówiła matka – dożyć spokojnej starości.

– I like my smoky Kraków – wypowiedziała na głos.

– Minęło pięć minut po godzinie ósmej. – Ten sam miły i opanowany głos w radiu oznajmił jej, że powoli nadszedł czas na wyjście z mieszkania.

Puściła kaloryfer i rozcierając zeszywniałe palce, odwróciła się i weszła do kuchni, aby wyłączyć radio. Na ścianie, za drzwiami kuchennymi wisiał mały kalendarz, na którym nanosiła terminy na cały tydzień. O godzinie ósmej czterdzieści pięć zaczynała pierwszą lekcję języka angielskiego w gimnazjum. Uczyła młodzież po trzy, cztery godziny dziennie.

„Młodzież”! Jak trudno było jej się przyzwyczaić do tego słowa. Na początku swoich uczniów nazywała dziećmi, dopóki dyrektor delikatnie nie zwrócił jej uwagi: „Pani Tereso, w pewnym momencie nasze dzieci osiągają wiek, w którym nie możemy ich nadal traktować jak dzieci. Z reguły staje się tak między dwunastym a czternastym rokiem życia, pani Tereso”. Powtórzył jej imię, aby pokazać, jak ważna jest ta informacja. Skinęła głową na znak, że przyjęła ją do wiadomości. W gruncie rzeczy ma rację – pomyślała wtedy. W wieku czternastu lat nie życzyła sobie, aby ktoś ją nazywał dzieckiem.

Czasem dyrektor prosił ją o zostanie trochę dłużej, by porozmawiać o poszczególnych uczniach, którzy jego zdaniem sprawiają kłopoty i potrzebują fachowej pomocy. Niekiedy udawało mu się ściągnąć delikwenta na rozmowę do gabinetu, w którym przypadkowo się znajdowała. Po chwili opuszczał gabinet, wyjaśniając, że ma jakieś ważne spotkanie, i prosił Teresę o przeprowadzenie dalszej rozmowy. W przypadkach drastycznych, takich jak rękoczyn, dyrektor był stanowczy. Uczeń stawał przed nimi z rodzicami.

Od południa pracowała w przychodni. Porady rodzicielskie stały się jej specjalnością. Na samą myśl o nich uśmiechnęła się.

Codziennie o godzinie dziewiętnastej w kalendarzu wpisywała imię oraz miejsce. Cały tydzień miała dokładnie zaplanowany, jedynie w piątek o dziewiętnastej widniał duży znak zapytania nakreślony czerwonym mazakiem.

Sprawdziła, czy wszystko jest w porządku. Kuchenka i światło wyłączone. Udała się w kierunku drzwi wyjściowych.

Przechodząc obok garderoby, zatrzymała się i zrobiła krok do tyłu. Tak, teraz mogła podziwiać się w całej okazałości. Lustro w przedpokoju było wystarczająco duże, by objąć jej sylwetkę. Krytycznym wzrokiem przyglądała się sobie dokładnie.

Gdybym była Nim, co mogłabym w sobie jeszcze zmienić? Może kolor oczu albo wzrost, może twarz? Nie, nic z tego. Dziękuję, odwaliłeś kawał

dobrej roboty!

Popatrzyła na zegar wiszący na ścianie. Wskazówka sekundnika zatrzymała się na kresce pokazującej cyfrę pięć. Zdawałoby się, że czas niczym ta wskazówka stanął w miejscu. Minęły trzy lata, odkąd tutaj zamieszkała.

Wszystko, co było wcześniej, nagle wydało jej się odległe i nierealne. Starła się wymazać tamten czas, zapomnieć, nie wracać już nigdy do niego pamięcią. Od tamtej pory zegar stał się klepsydrą, w której ktoś wymienił grube ziarenka piasku na drobne, przelatujące bez oporu do dolnej części.

Otworzyła powieki. Sekundnik zrobił wolny skok do przodu, zanim nabrał normalnego tempa. Tiiik-taaak. Tiik-taak. Tik-tak. Tik-tak.

Nigdy nie spóźniła się do pracy. Wręcz przeciwnie: przychodziła jako jedna z pierwszych. Pracoholiczka – jak ją być może nazywali inni za plecami. Co ona może poradzić, że lubi swoją pracę? Poza tym, gdyby spóźniła się na autobus, musiałaby czekać dwadzieścia minut na następny. Pieniądze, jakie dostawała? Nie, zdecydowanie nie! To, co zarabia, nie wystarczyłoby nawet w połowie na luksusowe życie, jakie prowadzi.

Jeszcze bardziej przysunęła się do lustra. Lewą ręką odsunęła kosmyk jasnych, wręcz słomkowych włosów z czoła. Niebieskie, duże, śliczne oczy przypatrywały się z uwagą jej twarzy. Wysokie czoło, smukła twarz, w brodzie delikatny, prawie niezauważalny dołek. Kształtne, zmysłowe, pomalowane na czerwono usta. Włosy zaczesane za uszy i związane w kucyk spadający na prawe ramię. W uszy wpięte delikatne klipsy, w których błyszcząły małe diamentyki ułożone w kształcie czterolistnej koniczynki.

– Wszyscy noszą dzisiaj kolczyki. Klipsy zakładały kobiety sto lat temu – śmiała się jej matka. – Moja koleżanka przekłuje ci uszy, nawet nie poczujesz bólu!

Nie wierzyła jej. Bała się bólu panicznie. Na widok strzykawki, którą pielęgniarka zbliżała do jej przedramienia, aby pobrać krew, o mało nie mdlała.

A więc pozostają staromodne klipsy. I basta!

Uśmiechnęła się do siebie z zadowoleniem. Dłonią wygładziła czarną, skórzaną kurtkę. Nogawki dzinsów wpuściła w wysokie, sięgające kolan buty na wysokich obcasach.

Spoglądała z góry na przechodniów, którzy często oglądali się za nią. Kobiety z zazdrością, mężczyźni z pożądaniem. Udawała, że nie dostrzega

tych spojrzeń, ale w rzeczywistości napawały ją dumą. Zwalniała wtedy odrobinę i zaglądała w witryny sklepowe. Nie po to, aby zobaczyć, co proponuje sklep, tylko aby zobaczyć w szybie swoje odbicie i mężczyzn, którzy odwracali głowę w jej kierunku. Czuła się wtedy jak kierowca wspaniałego samochodu sportowego, który zwalnia przy szeregu szyb wystawowych, aby zobaczyć siebie w swoim cudownym aucie.

Podeszła do drzwi, wystukała kod w urządzeniu alarmowym i wyszła na klatkę schodową. Przelotnie zerknęła na windę i bez zastanowienia udała się w stronę schodów. Schodzenie z piątego piętra nie sprawiało jej trudności, nawet gdy miała na nogach, tak jak dzisiaj, buty na wysokim obcasie. Natomiast wchodzenie na górę nie było zbyt przyjemne. Wmawiała sobie wtedy, że jej to tylko na zdrowie wyjdzie, ale tak naprawdę nie była o tym do końca przekonana.

Już wiem, Panie, co możesz we mnie zmienić! Fobie! Zabierz je, proszę, ode mnie. Boję się windy, boję się pajaków, psów, kotów, boję się bólu, boję się poczucia strachu.

Wiem, co zrobię! Dam na ofiarę dużo forsy, abyś zabrał moje strachy. Do świąt jeszcze trochę czasu, a jak wiesz, Panie, odwiedzam Cię tylko dwa razy w roku, ale za to dostajesz z góry kasę za cały rok. Trudno... Te parę miesięcy do świąt muszę jeszcze drałować po schodach. Albo... w niedzielę pójdę na mszę i dam na ofiarę. A już w poniedziałek, jak mnie wysłuchasz, o Panie, pojedę windą, we wtorek kupię psa, w środę kota, w czwartek dam sobie uszy przekłuć, w piątek oddam krew na badanie (już czas, aby to znowu zrobić), w sobotę pojedę z psem i kotem do ogrodu zoologicznego i pooglądam pająki.

Zła na siebie za te bzdurne, ironiczne myśli schodziła w dół. Czwarte piętro, trzecie, drugie...

– Jak cię swędzi, to sobie maścią posmaruj!

Słyszając te słowa, stanęła jak wryta. Wzdłuż kręgosłupa przebiegł ją zimny, bolesny niczym uderzenie bicia dreszcz. Nie uwierzyła własnym uszom i rozejrzała się na boki. Na klatce schodowej oprócz niej i jeszcze jednej kobiety nie było nikogo.

Powoli odwróciła się w stronę sąsiadki, a jej twarz przybrała znowu naturalny, łagodny wyraz. Z uśmiechem podeszła i zanim tamta zorientowała się, o co chodzi, złapała ją obiema rękami za uszy, podgięła nogę w kolanie i zadała potężny cios między nogi.

Ze zdziwieniem stwierdziła, że to uderzenie nie wywarło na przeciwnicze absolutnie żadnego wrażenia. Każdego faceta taki cios zwałiby z nóg, a ją... No właśnie, ją nie, gdyż to nie był facet, a kobiety przecież nie mają takiego balastu między nogami jak mężczyźni.

Podgięła kolano jeszcze raz, tym razem dobre dwadzieścia centymetrów wyżej, i z rozmachem wbiła je w żołądek kobiety. Sąsiadka z jękiem osunęła się na kolana, zwracając prawie jednocześnie całą zawartość żołądka na posadzkę.

Doskonale zdawała sobie sprawę, że jeżeli teraz odejdzie, najdalej za pół godziny będzie miała gliny na karku, więc musiała to teraz raz na zawsze zakończyć. Otworzyła torebkę i klinga noża wyskoczyła z uchwytu, wydając metaliczny dźwięk. Lubiała ten scyzoryk, jak go żartobliwie nazywała, nie rozstawała się z nim, tak jak nie rozstawała się z gazem łzawiącym, który również nosiła wraz z kosmetykami w torebce. Ryzyko zawodowe.

– Wiesz, co ja teraz z tobą zrobię?

Kobieta nie odezwała się ani słowem, jedynie kręciła głową w lewo i w prawo niczym zahipnotyzowana. Najwidoczniej znajdowała się w szoku.

Teresa pchnęła głowę sąsiadki do przodu, a gdy ta upadła na czworaka, usiadła na niej jak na koniu i przystawiła jej nóż do gardła.

– Przetnę ci to twoje tłuste gardziołko. O, tutaj. – W jednym miejscu na gardle przejechała jej palcem po skórze, demonstrując, gdzie dokona cięcia nożem.

Kobieta dostała drgawek.

– Następnie przepcham ci tą dziurą twój niewyparzony jęzor, obetnę go i wsadzę z powrotem w usta. Twoje ślepia wydłubię i wyrzucę na ulicę. Chyba że... zapomnimy o całym zdarzeniu i już nigdy w taki sposób nie odezwiesz się do mnie?

Sąsiadka nie potrafiła wykrztusić z siebie słowa, więc kiwała tylko głową w górę i w dół na znak, że się zgadza. Teresa odstąpiła od niej na krok, schowała nóż do torebki i uważnie przyjrzała się kobiecie. Wyglądała na trzydzieści pięć lat. Miała wyraźną nadwagę i wcale nie była aż tak wstrętna, jak ją w pierwszym momencie oceniła. Ubrana była w letnią kwiciastą sukienkę z dużym dekoltem, na stopach miała sandały. Jasne, najprawdopodobniej farbowane włosy opadały w dół, zasłaniając częściowo jej twarz.

Teresa czekała, aż kobieta się uspokoi i wydusi wreszcie z siebie jakieś

słowo. Podeszła znowu do niej i złapała ją za ramię. Kobieta ukłękła. Dygotała ze strachu. Jedna z jej ogromnych piersi wysunęła się, ukazując obrąb sutka. W pierwszej chwili Teresie wydało się, że sąsiadka ma pomiędzy piersiami tatuaż wielkości około pięciu centymetrów, jednak po uważniejszym przyjrzeniu się stwierdziła, że się myli. Znamię wyglądało niczym wylatujący spomiędzy piersi motyl. Jedno skrzydło miał całkowicie rozwinięte, drugie lekko opadnięte w dół, jakby dopiero nabierał pędu w locie. Pomiędzy skrzydłami był doskonale widoczny tułów z głową i czólkami. Delikatna, biała skóra opinająca piersi kobiety jeszcze bardziej podkreślała ich doskonałość mimo braku biustonosza. Żaden artysta nie stworzyłby lepszego dzieła.

Faceci lecą na takie ogromne piersi. Gdyby ta idiotka miała trochę oleju w głowie, mogłaby dzięki nim nieźle zarobić, a przy okazji doznać trochę rozkoszy, której najwidoczniej, biedna, nigdy w życiu nie doświadczyła.

Mimowolnie opuściła wzrok na swoje piersi. Nie nosiła biustonosza, ponieważ biust mogłaby z powodzeniem schować w jednej dłoni. Nie miałby czego podtrzymywać. Parę razy próbowała go założyć go, aby przynajmniej optycznie stworzyć wrażenie większych piersi, ale czuła się do tego stopnia skrępowana, że z reguły po dwóch, najdalej trzech godzinach ściągала go i chowała do torebki. Kiedyś jeden lekarz, którego później wpisała do listy dobrych znajomych, wyraził się w następujący sposób o niej: „Gdyby były większe, wyglądałyby niczym koła od traktora zamontowane w swoim samochodzie”.

Porównanie piersi do kół od traktora nie za bardzo przypadło jej do gustu, ale była wdzięczna za tę opinię.

– Wyduś wreszcie z siebie jakieś słowo! Ja nie mogę cały dzień tak nad tobą stać.

– Prze... przepraszam. Nie wiem, co we mnie wstąpiło – odpowiedziała cicho.

– Za to ja wiem. – Wyciągnęła z kieszeni kurtki parę pomiętych banknotów. – Sto, sto pięćdziesiąt, dwieście, trzysta. Wyciągnęła następny, ale po dwóch sekundach zastanowienia schowała go z powrotem do kieszeni. Doprowadź się za nie do porządku... i nie chcę cię więcej na oczy widzieć. – Wsadziła sąsiadce pieniądze do ręki. – Jak masz na imię?

Sąsiadka nie odezwała się ani słowem, więc Teresa odwróciła się na pięcie i zrobiła krok w stronę wyjścia.

– Dorota – usłyszała z tyłu. – A ty?

Teresa zastanowiła się sekundę.

– Amanda. – Dla Ciebie jestem Amanda.

Już nie zatrzymując się, odeszła szybkim krokiem. Na chodniku przed klatką schodową stanęła na chwilę i złapała się za kolano. Serce łomotało jej ze strachu, żołądek nagle, pomimo że nie jadła śniadania, zaczął ważyć dziesięć kilogramów. Zrobiła dalsze dwa kroki i oparła się o latarnię. Wyciągnęła prawą dłoń przed siebie. Palce drżały nerwowo. Jeszcze raz przejechała ręką po kolanie.

– Kurwa mać – wycedziła przez usta. – Przez tę sukę będę miała sine kolano.

Pomimo tego uśmiechnęła się do siebie z zadowoleniem. Obok niej przejechała taksówka. Bez zastanowienia i bezwolnie, tak jakby sterowała nią inna osoba, włożyła dwa palce do ust i zagwizdała tak głośno, że kierowca zatrzymał samochód, pozostawiając na asfalcie dwa ślady przypalonych opon. Przechodnie po drugiej stronie ulicy stanęli jak wryci. Sprzedawczyni z kiosku wystawiła głowę przez małe okienko i spoglądała w jej stronę.

– Pani! Mam dzwonić po policję? Stało się coś? – krzyknęła w jej stronę.

– Nic się nie stało! – Tym razem kierowca taksówki pospieszył z odpowiedzią, po czym już ciszej dodał: – Zakleszczysz w okienku tę swoją grubą dupę i nikt Cię, kurwa, z tej budy nie wypcha. Będą ją musieli zburzyć, żeby Cię wyciągnąć.

Teresa usiadła obok niego.

– Dziękuję, że się pan zatrzymał.

– Nie ma sprawy. – Szybko przebiegł wzrokiem od jej stóp do głowy. – Dla pani to ja bym nawet kilometr na wstecznym przejechał. Pierwszy klient w tym tygodniu... i na dodatek takie branie. Przyniesie mi pani z pewnością szczęście. Tylko ten cholerny ABS padł mi znowu.

– To będzie wspaniały tydzień. – Popatrzyła na niego z uśmiechem. – Tak mówili w radiu – dodała.

Rozdział pierwszy. Londyn

Trzy i pół roku wcześniej

Ze stacji metra do Dirty'ego Johny'ego miała około pięćset metrów. Ich przejście zajęło jej więcej czasu niż w normalny dzień. Normalny dzień to taki, w którym nie pada. Chociaż może powinna je nazywać odwrotnie. W każdym razie zasada numer jeden brzmiała: nie wychodź w listopadzie z domu bez parasola.

Od mniej więcej dwóch lat co dwa tygodnie w sobotnie wieczory spotykali się w prawie niezmiennym gronie w tym pubie w City London. Dzisiaj była wyjątkowa okazja, którą chciała uczcić, stawiając jedzenie i napoje.

– Teresa! Wyglądasz cudownie. Co ja mówię? Ty wyglądasz zawsze cudownie, dzisiaj po prostu promieniujesz szczęściem. – Jej najlepsza przyjaciółka Cindy Lardes objęła ją serdecznie i uściskała gorąco.

Teresa z trudem oswobodziła się z jej objęć.

Cindy przyjechała wcześniej z Martą, matką Teresy, gdyż miała spotkanie z doktorem Hawlettem w sprawie pracy jako jego asystentka. Rozmowa przebiegła w miłej atmosferze i – co najważniejsze – warunki, jakie zaproponował przyszły pracodawca, całkowicie spełniały jej oczekiwania.

– Przestań! Udusisz mnie. Widać to chyba po mnie? Dzisiaj jestem najszcześniejszym doktorem psychologii w całym Londynie.

Od dwóch tygodni Teresa miała prawo do używania nadanego jej tytułu doktora. Pani doktor Teresa Krammer. Tak będą ją nazywać jej pacjenci i taką tabliczkę każe przymocować na drzwiach gabinetu. Pierwsze cztery semestry na studiach poświęciła psychiatrii, ale po dwóch miesiącach praktyki w szpitalu zrezygnowała z tego kierunku na rzecz psychologii.

– W wieku dwudziestu siedmiu lat osiągnęłaś to, o czym wielu innych tylko marzy. Już wkrótce będziesz miała swoją praktykę, własnych

pacjentów. Czego jeszcze potrzebujesz? – W tym momencie Cindy mrugnęła znacząco. – Przyprowadziłam ze sobą mojego kuzyna. Opowiadałam ci o nim, pamiętasz?

– Tak, to jest ten, który leczy i pomaga ludziom w Somalii. Nic nie wspominałaś o tym, że już wrócił do Londynu.

– Całkiem nieoczekiwanie zresztą. Wczoraj zadzwonił do mnie, czy nie miałabym ochoty na lunch. Powiedziałam mu, że opijasz dzisiaj doktorat, zaprosiłaś do pubu parę osób i ucieszysz się, jak wezmę go ze sobą. Nie masz chyba nic przeciwko?

– No chyba oszalałaś!?! Pewnie, że nie. Jak wygląda? Jest samotny? Ile ma lat?

– Uspokój się. Powoli. Otóż jest sam, ma trzydzieści dwa lata, jest cholernie przystojny i wabi się Steven Milles. Tam, przy barze, widzisz? – Zwróciła głowę w stronę opalonego mężczyzny, który w tym momencie rozmawiał z barmanem.

Teresa podążyła wzrokiem.

– Łooł! – Lewą ręką ujęła dłoń przyjaciółki, a prawą pomachała niczym wachlarzem przed twarzą na znak, jakie wrażenie zrobił na niej mężczyzna.

– Przedstawisz mi go później, ja muszę przywitać moich gości. Częstuj się, proszę. Jedzenie, drinki... i wszystko zamawiajcie w barze.

Teresa ucałowała Cindy w policzek i poszła powitać pozostałych gości. Oznajmiła przyjaciom powód, z jakiego stawia dzisiaj wieczorem. W sumie spodziewała się dwunastu osób, w tym matki, która dwa dni wcześniej przyleciała do Londynu, aby osobiście jej pogratulować. Kuzyn Cindy był trzynastą, niespodziewaną osobą.

Matka stała sama, trzymając w dłoni lampkę białego wina. Skierowała kroki w jej stronę, ale właśnie w tej samej chwili, uprzedzając ją, podszedł do niej mężczyzna. Objął ją w pasie i pocałował w policzek. Teresa stanęła jak wryta i przypatrywała się tej scenie. Mężczyzną był Henry, ojciec Teresy. Rodzice rozeszli się, gdy miała dwanaście lat. Obecnie ojciec wrócił do Londynu, gdzie prowadził jeszcze do zeszłego roku firmę handlową. Był na emeryturze i miał wreszcie mnóstwo czasu, aby odwiedzać przyjaciół rozrzuconych po całym świecie.

Tydzień temu wrócił z Australii i oświadczył córce:

– Jeszcze nie wiem gdzie, ale wynoszę się stąd. Londyn mnie przytłacza, to nie jest miasto dla takich staruchów.

Objęła go wtedy za szyję i powiedziała:

– Dla mnie jesteś najprzystojniejszym i najwspanialszym staruchem, jakiego znam.

Po raz pierwszy widziała, jak ojcu spłynęła łza po policzku.

– Na starość wszyscy robimy się sentymentalni! Cholera – starał się usprawiedliwić przed nią swoją słabość.

– Marta! Wyglądasz ślicznie, jak wtedy... kiedy widzieliśmy się po raz ostatni. Nic się nie zmieniłaś – wypowiedział te słowa po polsku i jeszcze raz pocałował ją w policzek. Tym razem nie odsunął tak szybko twarzy od niej.

Teresa nadal bez ruchu przyglądała się tej scenie. Serce kołatało jej jak szalone. Lewą dłoń położyła na piersi w nadziei, że po chwili się uspokoi. Od piętnastu lat niczego nie życzyła sobie bardziej od tego, żeby rodzice któregoś dnia w taki właśnie sposób się pojednali, a ona miałaby ich dla siebie. Dwie osoby, które kochała nad życie, wreszcie razem.

– Henry! Miło cię po tylu latach znowu zobaczyć. Jak słyszę, nie zapomniałeś polskiego. – Marta dla odmiany odezwała się do niego po angielsku. Mówiła w tym języku doskonale, aczkolwiek z mocnym, słowiańskim akcentem.

– Tak, trochę jeszcze pamiętam. A o tobie myślę codziennie!

Dziwnie brzmiała ta rozmowa. Ojciec mówił po polsku, ciągnąc słowa i nadając im angielskie brzmienie, a matka odpowiadała mu po angielsku.

Teresa na chwilę zapomniała o swoich gościach i przeniosła się myślami do dzieciństwa. Okresu beztroski, który zakłócił niespodziewanie rozwód rodziców.

Miała dwanaście lat, gdy ojciec wyjechał do Londynu. Prosił matkę, by jechała z nim. Trzymał ją, tak jak teraz za rękę, ale ona, inaczej niż dzisiaj, odwracała głowę w drugą stronę. Żadne z nich nie zapytało jej, małej Tereni, jak ją nazywał tatuś, o zdanie i nie zadało sobie trudu, by jej wyjaśnić, co się działo. Domyślała się, że stało się coś strasznego, ale zrozumiała całą tragedię dopiero, gdy jej ukochany tatuś stanął przed drzwiami z dwoma walizkami, odwrócił się i podszedł do niej. Wziął ją w ramiona. Pamięta jego wzruszenie w oczach i mocny uścisk, ale słów nie mogła sobie przypomnieć. Mówił do niej po angielsku, ale znaczenia tych słów nie rozumiała. Zapytała go tylko: Why? Na co jej odpowiedział: „Kiedyś, gdy dorośniesz, wyjaśnię ci to. Teraz nam wybacz”.

Przecież była dorosła! Miała już dwanaście lat – myślała z buntem.

Oddałyby wszystko dla nich, a oni widzieli tylko swoje życie, jej nie miało dla nich widocznie żadnego znaczenia.

Późniejszy okres, aż do jej wyjazdu do Anglii, był jedną, niekończącą się otchłanią tęsknoty za ojcem. W wieku trzynastu lat targnęła się na swoje jeszcze młode życie. Uważała wtedy, że wystarczy połknąć odpowiednią ilość tabletek, popić je wodą, położyć się spać i zasnąć na wieki wieków... amen. Tak się na szczęście nie stało. Co prawda tabletek w apteczce matki było mnóstwo, ale żadna z nich nie spowodowałaby zgonu nawet u niemowlaka. Do szklanki od herbaty wsypała około pięćdziesięciu różnych witamin, trzy aspiryny oraz dwie tabletki antykoncepcyjne. Połykała je pojedynczo, popijając wodą i zalewając się łzami rozpaczony nad jej smutnym życiem niekochanego dziecka. Włączyła głośno radio, aby nikt nie słyszał jej umierania lub, co całkiem niewykluczone, wołania o pomoc, i położyła się na wersalce. Po dziesięciu minutach bicie sąsiadki młotkiem o kaloryfer i jej krzyki, że jak nie wyłączy tego przeklętego radia, to zadzwoni po policję, zmusiły ją do wstania i ściszenia muzyki. Chciała się znowu położyć, ale zrobiło jej się tak niedobrze, że zwymiotowała do toalety wszystkie jeszcze niestrawione tabletki.

Dwa dni później matka zauważyła zniknięcie jej dwóch ostatnich tabletek antykoncepcyjnych. Posadziła ją przy stole naprzeciwko siebie i bez słowa wpatrywała jej się w oczy. Po chwili padło pierwsze pytanie:

– Od kiedy uprawiasz seks?

– Ja, ja nie wiem, mamo, o co ci chodzi. Ja jeszcze nigdy... – Teresa z przerażeniem zaprzeczyła i zrobiła się nagle czerwona na policzkach.

Matka znowu przez chwilę się nie odzywała.

– Moja kochana córeczko. Moim zdaniem jeszcze nie jesteś gotowa na ten krok, który zmieni twoje życie w sposób, jakiego sobie teraz nie wyobrażasz. Chcę, abyś wiedziała, że jestem dla ciebie nie tylko matką, ale również najlepszą przyjaciółką, której możesz opowiedzieć o wszystkim, co cię dręczy i leży na sercu. Jeżeli przyjdzie na to pora, a uwierz mi, taka przyjdzie, i znajdziesz chłopaka, w którym się zakochasz i któremu będziesz ufała bezgranicznie, wtedy przyjdź do mnie. Wiele dziewcząt nie zastanawia się w takim momencie nad konsekwencjami, jaki ten pierwszy raz może przynieść. Efektem tego jest bardzo często zmarnowane życie, ponieważ okazuje się, że ten sympatyczny, młody człowiek w gruncie rzeczy nie jest taki sympatyczny, jak się wydawał, albo, co najgorsze, przydarzy się

niepożądana ciąża.

Matka pogłaskała ją po włosach i pocałowała w policzek. Po chwili ubrała się i wyszła do apteki po tabletki, które jej zniknęły. Zapomniała tylko o jednym: przyjaciółki opowiadają sobie nawzajem o wszystkim, co wydarza się w ich życiu, tymczasem Marta nie uważała za stosowne poinformować córki o nowym mężczyźnie, który od jakiegoś czasu pojawił się w jej sypialni.

Gdy Teresa skończyła czternaście lat, ojciec zaproponował jej, żeby przyjechała do Anglii na wakacje. Matka na początku nawet nie chciała o tym słyszeć, lecz Teresa nie dała za wygraną. Tak długo przekonywała matkę prośbami, płaczem i na koniec milczeniem, że w końcu Marta wyraziła zgodę. Po wakacjach Teresa nie wróciła do Krakowa. Powiedziała matce, że popełni samobójstwo, jeżeli będzie musiała opuścić ojca.

Nowy związek matki przetrwał trzy lata. Od tamtego czasu Marta poświęciła się całkowicie pracy zawodowej i pogodziła się z myślą o tym, że będzie sama.

Teresa skończyła siedemnaście lat i kiedy miał nastąpić jej pierwszy raz, zamiast matce, której nie miała przy sobie, zwierzyła się ojcu. Była szczęśliwa, że odważyła się na tę rozmowę. Ojciec okazał się bardzo liberalny, jeżeli chodzi o seks. Na koniec ich dyskusji stwierdził, że kobieta (położył nacisk na słowo „kobieta”) w jej wieku powinna mieć to za sobą.

Natomiast jeżeli chodzi o mężczyznę, z którym to zrobiła, to okazał się on całkowitym niewypałem. Seks z nim trwał zaledwie parę minut i przyniósł jej tylko ból i niesmak. Na drugi dzień Joel (tak miał na imię) omijał ją z daleka i już nigdy więcej się nie spotkali. Następnym, którzy pojawiali się w jej sypialni, sama odsyłała na drugi dzień bez śniadania do domu.

Podeszła do rodziców i objęła ich oboje od tyłu.

– I am so happy! Tak się cieszę, widząc was znowu razem po tylu latach – dodała po polsku. Rodzice podejrzewali, że mogła zaaranżować to spotkanie, ale nawet gdyby tak było, to najwidoczniej nie mieli nic przeciwko temu. Może nawet w głębi serca tego by chcieli.

– Mam coś dla ciebie. – Henry wyciągnął z kieszeni marynarki czarne pudełeczko przewiązane złotą tasiemką. Podał je córce. – Otwórz, proszę.

Na widok naszyjnika z pereł Teresa wstrzymała oddech. W jej oczach malował się nieukrywany zachwyt z kosztownego prezentu.

– Załóż go na szyję. Pasuje wspaniale do twojej czarnej sukienki.

Poczekaj, pomogę ci.

Marta stanęła za córką i pomogła jej go zapiąć, po czym odwróciła Teresę w stronę lustra znajdującego się za barem. Tym razem zdawało się, że to rodzice ją objęli i wszyscy razem wpatrywali się w lustro. Zauważyła, że tak naprawdę wcale jej nie dotykali. Henry trzymał rękę Marty ponad jej plecami.

Nagle pojawiła się Cindy z aparatem fotograficznym w ręku.

– A teraz odwróćcie się w moją stronę! – Błysk lampy na moment rozjaśnił całą salę. – Jest cudowny! – Od razu zauważyła naszyjnik. Dotknęła delikatnie błyszczących pereł.

– Tak. Jest śliczny! – odezwała się Teresa. – Zrobisz zdjęcia wszystkim gościom?

– Taki mam zamiar. A teraz odlatuję, zostawiam was samych.

Światło lampy błyskowej aparatu fotograficznego co chwilę rozświetlało salę pubu. Cindy z zapalem i zaangażowaniem potraktowała prośbę Teresy.

– To ja was przeproszę na chwilę, mam jeszcze gości, których muszę przywi... – przerwała w połowie słowa, widząc, że rodzice nie zwracają na nią uwagi, zajęci całkowicie sobą. Wcale się tym nie zdenerwowała. Wręcz przeciwnie, uśmiechnęła się do siebie z zadowoleniem.

Mój plan funkcjonuje!

O tym, że jej strategia zadziałała, zauważyła od razu, ale że akcja potoczy się tak szybko, nawet jej się nie przyśniło.

Odwróciła się energicznie do tyłu i wpadła w szeroko rozstawione ręce Stevena Millesa, kuzyna Cindy.

– Sorry, nie zauważyłam cię. – Obejmowała go mimowolnie w pasie, tak jak obejmuje się słup wyrastający nagle przed oczami na chodniku.

– Nic się nie stało. Chciałem się tylko przedstawić i oczywiście pogratulować. – W ręku trzymał małą, czerwoną kopertę, którą wyciągnął w jej stronę. – Mały prezent dla ciebie, proszę.

– Wiem, kim jesteś. Cindy opowiadała mi o tobie. Co tam w środku jest? – Wzięła od niego kopertę.

– Zobacz. Cindy mówiła, że uwielbiasz teatr. Mam nadzieję, że ci się spodoba.

Teresa otworzyła kopertę i wyciągnęła z niej kartę wstępu na przedstawienie „Hamleta” w wykonaniu nowego składu aktorów.

– The Globe! Teatr Szekspira. Tak się cieszę. – Widziała co prawda tę

sztukę dwa razy, ale nie dała tego po sobie poznać. – To już za tydzień!?

– Tak. Ale jak ci ten termin nie pasuje, wymienię na inny. Myślę, że nie będzie z tym problemu.

– Nie, nie. Jest cudownie. Akurat mam całą następną sobotę wolną. Muszę przywitać pozostałych gości. Nie miałbyś ochoty mi towarzyszyć? Opowiedz nam o twojej pracy.

– Nie wydaje mi się, aby praca lekarza mogła kogokolwiek zainteresować.

– A więc opowiesz nam o Afryce.

Steven skinął bez sprzeciwu głową. Teresa złapała jego dłoń i pociągnęła go w stronę grupy stojącej na środku sali.

Spotykała się z gronem najlepszych przyjaciół, którzy towarzyszyli jej przez lata spędzone na uczelni, oraz trzema wykładowcami, którym zawdzięczała pomoc i cenne wskazówki przy pisaniu pracy doktorskiej. Theodor Goldberg podsunął jej temat, który w opinii wszystkich trzech opracowała doskonale: „Problemy współczesnej rodziny w krajach wysoko rozwiniętych”.

W tej chwili Goldberg stał naprzeciwko swojego największego przeciwnika politycznego, jakim był bez wątpienia konserwatysta sir James Payrton. Słyszała, że któregoś dnia ich polityczna dyskusja zakończyła się bójką. W jej efekcie oboje pokazali się następnego dnia na uczelni z podbitymi oczami. Trzeci z profesorów, Frederik Keyton, stał z boku i przysłuchiwał się w milczeniu tej dyskusji. Losy milionów uchodźców rozgrywały się w tej chwili w tym małym barze w centrum Londynu.

– Parlament Europejski powinien rozwiązać ten problem...

– Mówisz o Parlamencie Europejskim, a nakazujesz Anglikom wyjść z Unii! – Goldberg górował nad swoim przeciwnikiem, mając poparcie liczniejszej grupy studentów, którzy uważali, że Anglia nie powinna odłączyć się od Unii Europejskiej. – Co zrobimy z tysiącami biednych ludzi czekających we Włoszech na wjazd do Europy Zachodniej? Chcesz ich wsadzić na statek i wysłać na pewną śmierć z powrotem?

Nikt nie zdawał sobie sprawy, że problem ten oraz napływ cudzoziemców z biegiem czasu będzie narastał i stanie się jednym z głównych tematów kampanii prowadzącej do referendum dwudziestego trzeciego czerwca dwa tysiące szesnastego roku, które doprowadziło do odłączenia się Wielkiej Brytanii od Unii Europejskiej. I że finansowane z budżetu Unii obozy dla uchodźców w Turcji i Grecji będą pękały w szwach.

– Mam pomysł! – Teresa chciała zakończyć tę dyskusję, choć zdawała sobie sprawę, że jej propozycja nie rozwiąże problemu migracyjnego. Realnego rozwiązania nie przedstawił do tej pory żaden rząd i żaden polityk.

– Słuchamy cię, nasza bogini, nasza Ateno. – Payrton uklonił się teatralnie w jej stronę.

– Konflikty i wojny są stworem ludzkiej wyobraźni napędzanej przez media, które szepczą nam do ucha, jak mamy postępować. Pokazują nam, kto jest naszym wrogiem, a kto przyjacielem. Czasami te role odwracają się. Przyjaciele kłócą się i znowu godzą. Zbawcze armie, za którymi stoi przemysł zbrojeniowy, ruszają z odsieczą, aby pokazać się światu jako jego uzdrowiciele. Dobro przeciwko złu. Mam wrażenie, że im okropniejsza wojna, tym większa radość z jej zakończenia. – Przez chwilę zapanowało milczenie. Teresa zakończyła je, dodając: – Te kraje, które zarobiły miliony na sprzedaży broni służącej do mordowania Bogu ducha winnych ludzi, powinny przyjąć ich do siebie lub stworzyć im godziwe warunki życia. Czy ci ludzie są ofiarami niewłaściwej polityki? To kiedyś ocenią bez wątpienia historycy. Dziękuję Bogu, że żyję w Europie i w kraju w którym mogę wyjść na ulicę bez obawy, że ktoś rozwali mi głowę, strzelając do mnie zza rogu.

– Bywało różnie w tej naszej Europie. Co do uchodźców, to niektóre statki z nimi musiałyby opływać świat naokoło – wtrącił Goldberg.

– A teraz dosyć polityki. – Zakreśliła w powietrzu półokrąg niczym aktor na scenie. – Oto mój specjalny gość. Opowie nam o Afryce, z której dopiero powrócił. Poproszę o ciszę, panowie.

Steven trzymał jedną rękę w kieszeni spodni, drugą obejmował kufel portera. Ten opalony, młody mężczyzna wyglądał jak ktoś, dla kogo znalezienie się w centrum uwagi setek czy nawet tysiąca wpatrzonych w niego z uwagą twarzy było chlebem codziennym, czymś absolutnie bez znaczenia.

– Przychodząc tutaj, nie spodziewałem się, że w tym małym barze oprócz dobrego piwa – przystawił szkło do ust, pociągnął spory łyk i oblizał usta z piany – będzie mi dane dzisiaj zobaczyć prawdziwą boginię, przed którą chylę głowę.

– Nas owinęła wokół palca już parę lat temu. Od tej pory jesteśmy jej oddanymi niewolnikami, ale w jej kamiennym sercu bogini nie ma miejsca na ludzkie uczucia. – Payrton podniósł kufel w górę. – Tereso! Twoje zdrowie.

Cindy podeszła do Teresy i objęła ją.

– Nie macie racji. Znam ją dłużej aniżeli każdy z was. Teresa jest i zawsze będzie moją najwspanialszą przyjaciółką i siostrą, której zawsze sobie życzyłam. Jej serce jest otwarte na prawdziwą miłość i jestem pewna, że któregoś dnia takiej doświadczy. – W tej samej chwili popatrzyła w stronę kuzyna. – Steven, opowiadaj wreszcie! Też jestem ciekawa, co ty tam porabiałeś.

– Mój pobyt w Afryce miał trwać sześć miesięcy. – Poprawił marynarkę, która pamiętała lepsze czasy. Wyglądała, jakby ją ściągnął ze starszego brata. – To, że naszym celem stanie się Somalia, również do końca nie było wiadome. Chcieliśmy pracować i pomagać tamtejszym lekarzom w różnych szpitalach, ale jakaś tam osoba w naszej międzynarodowej organizacji lekarzy uznała to za zbyt niebezpieczne. Przydzielono nam pluton żołnierzy do ochrony, parę samochodów ze sprzętem medycznym i zbudowaliśmy szpital w regionie, który był stosunkowo bezpieczny. Do Mogadyszu mieliśmy około sześćdziesiąt kilometrów i głównie stamtąd przywozili nam pacjentów. Z okolicznych wiosek ludzie przybywali, jak mogli, wielu z nich z narażeniem własnego życia, na piechotę. Mimo że oddaleni byliśmy od licznych ognisk konfliktów w tym kraju, pośrednio dzięki naszym pacjentom codziennie widzieliśmy ich rezultat. Szczególnie dzieci... – Na chwilę zamilkł, jak gdyby zastanawiał się, czy ma dalej opowiadać.

W tym momencie do Teresy podeszli rodzice. Henry szepnął jej do ucha:

– Zamówiłem taksówkę. Chcę Marcie pokazać Londyn nocą z okien samochodu. Później przejdziemy się trochę po Hyde Parku i odwiozę ją do hotelu. Nie musisz się o nas obawiać.

– Hyde Park!?! Teraz, o tej godzinie? Zostaw to na jutro, proszę. Mama tak szybko nie ucieknie od nas.

Z tego, co widzę. A właściwie to dlaczego, do jasnej cholery, chce ją zabrać do hotelu, przecież matka mieszka u mnie!

Już miała ochotę zapytać się o ten hotel, ale w końcu ugryzła się w język. Rodzice uściskali ją i odeszli, trzymając się niczym zakochani młodzieńcy za ręce.

– Opowiadaj dalej! Co z tymi dziećmi? – Któryś z zaproszonych przyjaciół Teresy zachęcał Stevena do kontynuowania opowiadania.

– Tak... dzieci. Przerażliwie dużo chorych, okaleczonych fizycznie, psychicznie i wykorzystywanych seksualnie dzieci. Dziewczynki, których

rodzice się wyrzekli, ponieważ zostały zgwałcone przez bandytów i tym samym przyniosły hańbę całej rodzinie. Częstość właśnie rodzice zlecali usunięcie córki, która zaszła przy takiej okazji w ciążę. Wyrok wypełniali na ogół starsi bracia, wujkowie lub, zdarzało się, że ojciec wywoził córkę i powracał sam do domu.

– To przecież brzmi absurdalnie. Skąd ty wracasz? – Stojący obok Teresy Tom kręcił z niedowierzaniem głową.

– Z samego piekła! Do tej pory nie wiedziałem, że ono istnieje. Teraz mogę ci je pokazać na mapie. Pewnego dnia nasi żołnierze znaleźli pięćset metrów od obozu nieprzytomną, trzynastoletnią dziewczynę w ósmym miesiącu ciąży. Udało nam się ją i syna, którego nosiła w sobie, uratować. Dziewczyna nie pamiętała, jak długo błądziła, zanim zobaczyła nasz obóz. Myślę, że około trzech dni była w drodze bez picia i jedzenia. Opowiadała nam później, że ojciec wywiózł ją motorem na pustynię, związał sznurem, wziął do ręki kamień i chciał nim rozbić jej głowę. Chyba Allah wysłuchał jej zrozpaczonego krzyku i próśb o darowanie jej życia, gdyż ojciec odrzucił na bok głaz i odjechał, pozostawiając ją związaną. Po kilku godzinach udało jej się wyswobodzić. Jak długo szła przed siebie, nie pamiętała. Cała rodzina odwróciła się od niej, wolałaby umrzeć, niż znowu wrócić do domu.

– Co się z nią stało? – Cindy z przerażeniem słuchała opowiadania kuzyna.

– Została u nas w sumie około sześciu tygodni. Cztery tygodnie do urodzenia dziecka, a po następnych dwóch zawieźliśmy ją do Mogadiszu, do przytułku dla samotnych matek. Co się z nią stało, nie mogę ci powiedzieć, bo nie mieliśmy od niej żadnej wiadomości. Mam nadzieję, że nie wpadła więcej w ręce swojej rodziny ani terrorystycznej milicji. Większość pacjentów po udzieleniu im pomocy odsyłaliśmy do domu. Niektórych musieliśmy zostawić na czas leczenia w specjalnie do tego celu ustawionych namiotach. W zasadzie było to tylko konieczne po skomplikowanych operacjach. Byli i tacy niestety, którzy trafiali do nas za późno. W takich wypadkach zaopatrywaliśmy ich w środki przeciwbólowe i z ciężkim sercem odsyłaliśmy do domu. Wdzięczność tych ludzi za udzieloną im pomoc była dla nas największą nagrodą. Chyba tylko to pozwoliło mi przetrwać tam cały rok. Codziennie wieczorem wychodziłem poza obóz na oddalone niecały kilometr wzgórze, aby przy zachodzie słońca podziwiać ten prawie księżycowy krajobraz. Jeszcze zanim ogromna, czerwona kula schowała się

za horyzont, stado hien z podniesionymi do góry pyskami krążyło w bezpiecznej ode mnie odległości w nadziei, że któregoś dnia dopadnie mnie i rozszarpie na strzępy. Wyglądało to tak, jak gdyby goniły wokół rozgrzanej do czerwoności patelni rzucającej fale rozgrzanego powietrza wokół siebie. Wtedy nawet nie zdawałem sobie sprawy z niebezpieczeństwa, jakie na mnie czekało. Zawsze wyobrażałem sobie te zwierzaki jako tchórzliwe psy, które na widok człowieka uciekają ze strachu. O tym, że nawet samotny lew zostawia swoją zdobycz na widok stada tych żarłocznych bestii, dowiedziałem się znacznie później. O mało co, a byłoby dla mnie za późno. Któregoś wieczoru tak jak zwykle siedziałem na moim wzgórzu pogrążony w myślach o Anglii. Marzyłem o tym, że idę ulicami Londynu w strugach deszczu. Wszyscy chowają się pod czarne, ogromne parasole, a ja jedyny wyciągam twarz w kierunku nieba. Tęskniliśmy wszyscy za deszczem, za przyjemnym chłodem, jaki tutaj panuje. Obudziło mnie ujadanie przywódcy stada tych potworów w odległości około dwóch metrów od mojej głowy. Z jego pyska, składającego się w trzech czwartych ze szczęki uzbrojonej w zęby, która w tamtym momencie wydawała mi się o wiele straszniejsza od szczęki białego rekina, wyciekała ślina. Jego ślepia wpatrzone były we mnie i oczekiwały najdogodniejszego momentu do ataku. Pozostałe hieny krążyły wokół, nie dając mi najmniejszej szansy na ucieczkę. Leżałem sparaliżowany ze strachu, niezdolny do jakiegokolwiek ruchu lub krzyku. W chwili, kiedy jedna z nich odważyła się na atak i złapała moją nogę powyżej kostki w pysk, zamknąłem oczy, prosząc Boga, aby pozwolił im zabić mnie w mgnieniu oka. Aby nie musiał leżeć godzinami z rozszarpanymi bebechami i dogorywać, patrząc im w ślepia. Salwa z karabinu maszynowego wystrzelona przez jednego z dwóch żołnierzy wysłanych na moje poszukiwanie przeleciała kilka centymetrów ponad moją głowę i zrobiła z tego, który mnie trzymał za nogę, sito. Reszta tych potworów zaczęła uciekać. Parę z nich udało się zabić. Reszta stada, która przeżyła, dopadła zabite lub postrzelone hieny i nie zważając na przelatujące obok nich kule, rozpoczęła ucztę. Widok niesamowity. Jeden z żołnierzy zrobił parę zdjęć tego kanibalizmu.

Steven wyciągnął z kieszeni marynarki komórkę i przez chwilę przeszukiwał zdjęcia.

– O, tutaj ja siedzę, a jeden żołnierz opatruje mi nogę. Nie mieli oczywiście przy sobie apteczki, więc podarli moją koszulę w pasy. A tu są inne zdjęcia.

Podał telefon Cindy. Wokół niej ustawiło się parę osób i z zainteresowaniem przyglądało się zdjęciom. Na widok kuzyna ze zranioną i przeraźliwie krwawiącą nogą na jej policzkach pojawiły się łzy współczucia. Cindy skoncentrowała się na przeglądaniu fotografii, ale w pewnym momencie przestała przerzucać obrazy. Zatrzymała palcem jedno zdjęcie i przybliżyła twarz fotografowanej dziewczyny.

– Czy to jest ta, którą znaleźliście przy obozie? – Podsunęła komórkę pod oczy Stevena.

– Tak. Drugi dzień po urodzeniu syna.

– Przecież ona sama jest jeszcze dzieckiem!

Po kolei podchodziła do reszty osób, pokazując im zdjęcia. W tym czasie do gości Teresy dołączali inni, najprawdopodobniej stali bywalcy pubu. Wszyscy zainteresowani opowiadaniem Stevena stworzyli drugie koło wokół nich i przysłuchiwali się jego historii.

– Jezus Maria... – jęknął z niedowierzaniem jeden z obcych, patrząc na zdjęcie czarnoskórej dziewczyny, która z przerażeniem spoglądała czarnymi niczym dwa świecące węgliki oczami w kamerę, trzymając duże, o kontrastującym do niej, różowym kolorze skóry dziecko. – Jak taka mała dziewczynka mogła urodzić tak duże dziecko?

– Dziecko nie było duże. O ile sobie przypominam, ważyło około pięć funtów. Jedynie na rękach tak filigranowej matki wygląda na nieproporcjonalnie wielkie. Wyciągnęliśmy je cesarskim cięciem. Bez naszej pomocy oboje nie przeżyliby tego porodu. Powracając do mojego spotkania z psami pustyni. To był mój ostatni wieczór spędzony na tym wzgórzu. Już nigdy więcej nie odważyłem się na samotne wyjście poza obóz. Zresztą następane dwa tygodnie spędziłem jako pacjent w szpitalu, a kolejne trzy o kulach. Ten potwór połamał mi kość!

Tak jakby wyczytał w oczach niektórych słuchaczy niedowierzanie, Steven postawił lewą stopę na krześle i podwinął nogawkę spodni.

– To wygląda okropnie! – Teresa nachyliła się, aby zobaczyć bliznę. Kość piszczelowa powyżej kostki wyglądała tak, jak gdyby ktoś ją przeciął w dwóch miejscach w odległości dziesięciu centymetrów od siebie i wstawił z powrotem brakującą część.

– Miałem szczęście, że koledzy od razu mnie zoperowali i nie wdała się infekcja. Takie ugryzienia nie goją się zbyt dobrze.

– Słyszałem, że niektórzy tubylcy trzymają hieny w domach jak my psy.

Widziałeś kiedyś taki okaz na smyczy? – zapytał profesor Keyton.

– Widziałem tylko pawiana na smyczy. Ale ma pan rację, ja również o tym słyszałem, jak też o tym, że Koran nie zabrania jedzenia mięsa hieny. Obrzydliwe!

– A kim jest ten czarnoskóry, przystojny mężczyzna?

Cindy podała Stevenowi jego komórkę ze zdjęciem, na którym obejmuje za ramiona ciemnoskórego młodego mężczyznę ubranego w lekarski kitel.

– To jest Bobby. Pochodzi z Etiopii. Studiowaliśmy razem medycynę. Jest moim serdecznym przyjacielem. – Na twarzy Stevena pojawiło się lekkie zmieszanie. – Bobby zorganizował ten wyjazd i właściwie to on mnie na niego namówił.

– Zostajesz teraz w Anglii? – Teresa popatrzyła mu w oczy.

– Tak. Zdecydowanie. Stęskniłem się za rodziną i przyjaciółmi. Od przyszłego tygodnia zaczynam znowu pracę w szpitalu.

– Czy ten bilet, który mi podarowałeś do teatru, jest jedynym egzemplarzem, jaki udało ci się zdobyć? Wiesz, ja nie lubię samotnie chodzić na przedstawienia.

Steven wyciągnął portfel z kieszeni marynarki, a z niego taki sam bilet, jaki podarował Teresie.

– O ile się nie mylę, siedzimy obok siebie. – Jego uśmiech rozświetlił mu opaloną twarz. Niebieskie oczy Stevena znowu napotkały wzrok Teresy.

– Tak się cieszę. Musisz mi koniecznie więcej opowiedzieć o sobie.

Steven skinął głową i złapał Teresę za rękę.

– Bardzo chętnie, pod warunkiem że ja również dowiem się czegoś o tobie. Cindy jest bardzo gadatliwa, jak wiesz, ale jeżeli chodzi o ciebie, to milczała niczym grób. Powiedziała, że wszystko sam muszę od ciebie wyciągnąć.

Ostatni goście rozeszli się krótko przed dwunastą. Steven nalegał, że odprowadzi Teresę do domu, ale zdecydowanie odmówiła. Wobec tego czarującego kuzyna jej najlepszej przyjaciółki miała inne plany, w których one night stand nie wchodził w rachubę.

Henry zadzwonił na drugi dzień przed południem, oznajmiając, że spędzi z Martą cały dzień, o ile Teresa nie ma nic przeciwko temu i że zameldują się znowu wieczorem. W słuchawce słyszała stłumione chichoty matki. Domyślała się, że oboje są jeszcze w łóżku. Z dzieciństwa pamiętała, jak ojciec, chcąc rozśmieszyć mamę, drapał ją po brzuchu, a ona zwijała się ze

śmiechu.

– Tato? – przerwała mu.

– Tak, córeczko.

– Kocham was tak bardzo.

– My ciebie również, Tereniu. Jesteśmy z ciebie tacy dumni! – Głos matki, który doleciał do słuchawki, emanował szczęściem.

Z rodzicami spotkała się dopiero w środę wieczorem. Ojciec zaproponował, że zjedzą wspólnie u niego kolację. Teresa miała cichą nadzieję, że usłyszy nowinę w rodzaju: „mama postanowiła zostać z nami w Londynie”. Była tego tak pewna, że w chwili gdy Henry powiedział jej: „Słuchaj, córeczko, muszę ci coś oznajmić”, chciała mu przerwać i powiedzieć, że spodziewała się, że mama zostanie u niego i że od lat czekała na tę wspaniałą wiadomość.

– Henry zdecydował się na wyjazd do Polski – dokończyła matka za niego.

– Jak to? Wyjechać do Polski!? A co ze mną? Co z tym mieszkaniem tutaj i... w ogóle?

– Pomyśleliśmy o wszystkim. Ty jesteś przecież dorosła i samodzielna, dasz sobie doskonale radę beze mnie. Za dwa tygodnie zaczynasz pracę, a jeżeli zechcesz, możesz się przeprowadzić do tego mieszkania, jest znacznie większe od twojego. Mówiłem ci, że nie zostanę w Londynie na starość. Zamieszkam z Martą w Krakowie, co jest to dla nas wszystkich najlepszym rozwiązaniem. Możesz nas odwiedzać, kiedy tylko zechcesz.

– Samolotem będziesz u nas za półtorej godziny. Dzisiaj taka odległość to żaden problem. Poza tym Henry nie wyjeżdża już teraz, natychmiast. – Matka starała się udobruchać Teresę, ponieważ widziała jej reakcję na wiadomość.

– A kiedy?

– Potrzebuję około dwóch, trzech tygodni na załatwienie wszystkich moich spraw tutaj. – Henry spoglądał przepaszającym wzrokiem na Teresę. – Nie gniewaj się na nas za to, że na starość chcemy zachować odrobinę szczęścia dla siebie.

– Nie mam do tego prawa. Będzie mi was brakowało. Nigdy nie mogłam się wami nacieszyć, a teraz, kiedy mi się wydawało, że nareszcie jesteśmy razem, wszystko nagle pęka niczym bańka mydlana.

Marta i Henry podeszli do niej i przytulili ją do siebie. Teresa zrozumiała, że przekonywanie ich do zmiany decyzji nie miałyby najmniejszego sensu.

Poza tym musiała wreszcie stanąć w życiu na własnych nogach. Ojciec na każdym kroku służył jej dobrą radą oraz pomagał finansowo, mimo że nigdy nie prosiła go o pieniądze. Zrozumiała, że już niedługo jej pierwsza praca po studiach stanie się jej jedynym źródłem utrzymania.

Ojciec odgadł myśli córki.

– Nie musisz się niczego obawiać. Zawsze możesz liczyć na moje i Marty wsparcie i pomoc, kiedy tylko zechcesz. A teraz siadajmy do stołu. Kolacja czeka!

Pieczeń z indyka, która była, jak się domyśliła, zasługą matki, smakowała wspaniale.

Gotować to ona zawsze potrafiła. Przynajmniej pod tym względem nie będę się musiała o ojca martwić.

W czasie posiłku rozglądała się mimowolnie po pokoju, choć знаła doskonale mieszkanie ojca. Myśl o tym, że sama zamieszka w tak wspaniałym apartamencie, wcale jej nie przerażała. Mieszkała z Henrym aż do momentu pójścia na studia. W wieku dwudziestu lat przeprowadziła się do własnego mieszkania, które ojciec jej wynajął.

Na prośbę matki Teresa opowiadała o pracy, którą podejmuje u doktora Hawletta jako jego asystentka. Otworzenie własnego gabinetu w Londynie było absolutnie nierealną sprawą, ponieważ zdobycie renomy i pozyskanie własnych pacjentów przez tak młodą i niedoświadczoną psycholog, jaką bez wątpienia była, wymagało wielu lat pracy, a to z kolei kosztowało mnóstwo pieniędzy. Pomijając fakt, że Henry proponował jej pomoc w sfinansowaniu takiego przedsięwzięcia, brakowało jej doświadczenia zawodowego. Profesor Frederik Keyton zaproponował jej więc pracę u swojego przyjaciela. Na początek miała przejąć część jego pacjentów, a za trzy lata cały gabinet, bo wtedy właśnie miał zamiar przejść w stan spoczynku. Dla niej była to wspaniała okazja, by nabrać doświadczenia pod okiem znanego specjalisty, a oprócz tego zarobić pieniądze na samodzielne życie.

– A powiedz, córeczko... – Henry spojrzał pytająco w stronę Marty, tak jak gdyby oczekiwał pomocy z jej strony.

– Henry chce z pewnością zapytać, czy nie zastanawiałaś się nad małżeństwem? Jesteś w wieku, w którym znalezienie odpowiedniego partnera nie powinno sprawić ci trudności, a uwierz mi, z każdym rokiem taka decyzja będzie trudniejsza. Lub może sformuję to inaczej: takich okazji będzie coraz mniej. A takie, które się trafią, nie będą ci być może

odpowiadały. Człowiek staje się w pewnym wieku bardzo wybredny.

Teresa z zażenowaniem i chyba pewnym wyrzutem przyglądała się rodzicom.

– Będziecie pierwsi, którzy się o tym dowiedzą. Obiecuję. Na razie jeszcze o tym nie myślę.

– A ten młody, przystojny, opalony mężczyzna w sobotę w pubie? Widziałam spojrzenia, jakimi cię obdarzał. I tak ciekawie opowiadał o swoim pobycie w Afryce. Co myślisz o nim? – Matka nie dawała jej spokoju.

Teresa nawet nie spodziewała się, że zwrócili na niego uwagę, gdyż wydawało jej się, że tak bardzo byli zajęci sobą.

– Idziemy w sobotę razem do teatru. – Nagle jej policzki nabrały rumieńców. Matka nieznacznie szturchnęła pod stołem Henry’ego w kolano.

– Jeśli mam być szczerą, mnie również bardzo się podoba, ale czy on oczekuje od tej znajomości czegoś więcej? Nie mam pojęcia, mamo. Ja nic o nim nie wiem. Może dla odmiany ty opowiesz nam coś o twoim życiu w kraju?

– Nic się nie zmieniło. Dalej uczę angielskiego w liceum, jak zresztą doskonale wiesz. Ale teraz, kiedy Henry zdecydował się na przyjazd do Polski, postanowiłam pracować tylko do końca roku szkolnego, po czym przejść na emeryturę.

Poprawiła jasne włosy, w których od ich ostatniego spotkania przybyło sporo srebrzystych nitki. Jednak jej niebieskie oczy nie straciły blasku, jaki Teresa pamiętała z czasów dzieciństwa. Marta nadal była atrakcyjną, szczupłą kobietą, która z pewnością podobała się wielu mężczyznom. Przez ponad dziesięć lat żyła samotnie, być może nadal kochała Henry’ego i w skrytości czekała na takie spotkanie, jakie jej córka zaaranżowała w sobotę.

Henry skończył sześćdziesiąt pięć lat i był sześć lat starszy od Marty. Oboje nie wyglądali na swoje lata. Wszyscy z grona znajomych Teresy oceniali ich na dziesięć lat mniej. Ojciec jeszcze do niedawna był całkowicie pochłonięty swoją firmą, a po jej sprzedaży duńskiemu inwestorowi, z którym głównie prowadził interesy, przestał o niej mówić i zajął się całkowicie nowym życiem. Stwierdził, że przez te wszystkie lata miał wystarczająco dużo stresu i teraz potrzebuje więcej spokoju. Codziennie rano przed śniadaniem biegał godzinę i często umawiał się z córką, o ile ona miała czas przed zajęciami na uczelni na wspólne bieganie. Teresa za każdym razem prosiła go, aby zwolnił, gdyż nie mogła mu dotrzymać tempa. Ojciec

miał ponad metr dziewięćdziesiąt wzrostu i nadal niezłą jak na swój wiek kondycję. Ze względu na mocną łysinę golił codziennie resztkę włosów z głowy, przez co wyglądał jeszcze bardziej atletycznie – wyglądał na kogoś, komu lepiej zejść z drogi. W rzeczywistości był człowiekiem o dobrym sercu, niepotrafiącym użyć siły fizycznej w stosunku do innych.

Dwa dni później Teresa umówiła się z Cindy na spotkanie. Ostatnio widywały się rzadko: Cindy pracowała jako stewardesa i latała do Meksyku. Przed siedmioma latami obie złożyły poprzez firmę pośredniczącą podanie o pracę jako stewardesa. Wyobrażały sobie, że któregoś dnia spotkają na pokładzie samolotu bogatych i przystojnych szejków, którzy się w nich zakochają bez pamięci. Szejkowie wezmą je na żony i zabiorą do swoich pałaców. Nie miały wtedy pojęcia, że o dwa wolne miejsca, o których marzyły te młode i atrakcyjne dziewczyny, ubiega się prawie sto kandydatek. Ze względu na doskonałą znajomość języka hiszpańskiego Cindy otrzymała jedno z nich.

Cindy początkowo latała na krótkich trasach do Madrytu, a z czasem do Meksyku. Teresa wpadła w otchłań i długo nie mogła pogodzić się ze stratą najlepszej przyjaciółki. Ojciec zaproponował jej więc, żeby zaczęła studiować. Miała dobre świadectwa, a jeżeli chodzi o stronę finansową, to niczym nie musiała się przejmować. I tak też zrobiła.

Pamiętała dobrze ich pierwsze spotkanie na drugi dzień po przylocie. Ojciec mieszkał jeszcze wtedy w szeregowym domu, który odziedziczył po swoich przedwcześnie zmarłych rodzicach, a jej dziadkach, których miała okazję jedyny raz zobaczyć w Polsce. Był to typowy dom, nieróżniący się niczym specjalnie od tysięcy mu podobnych, które można zobaczyć w Anglii. Przed wejściem chodnik i ulica, a naprzeciwko rząd takich samych budynków z niewidocznym z ulicy ogrodem.

Zjadła wtedy z ojcem śniadanie, po czym musiała zostać dwie godziny sama, bo zadzwonili z firmy, że ojciec jest pilnie potrzebny. Stała w oknie i wpatrywała się w dziewczynę z książką w ręku, siedzącą na schodach domu naprzeciwko. Była w mniej więcej takim samym wieku, ale różniła się od Teresy całkowicie. Cindy wydawała się mniejsza od niej. Czarne, lekko kręcone włosy, które odziedziczyła po ojcu, rodowitym Hiszpanie opadały na prawą stronę jej śniadej, ładnej twarzy.

W pewnej chwili dziewczyna, przyciągnięta najprawdopodobniej wzrokiem Teresy, podniosła głowę znad książki i popatrzyła prosto w jej

oczy. Uśmiechnęła się do niej i pokazała na miejsce obok, dając znak, że ma podejść. Teresa, nie zastanawiając się długo, narzuciła sweter na ramiona i ruszyła do niej. Usiadła bez słowa obok i wzięła do ręki jej książkę.

– „Robinson Crusoe”. Czytałam ją po polsku.

– Chcesz, abyśmy ją wspólnie poczytały?

– Jak to wspólnie? – Teresa nie bardzo wiedziała, co Cindy ma na myśli.

– Ja przeczytam jedną stronę, ty drugą i tak dalej. Okay?

– Okay. Ja jestem... – Chciała się przedstawić, ale tamta jej przerwała.

– Ty jesteś Teresa. Wiem i widziałam już twoje zdjęcia, zanim przyjechałaś. Twój tata ciągle nam opowiadał o tobie i nie mógł doczekać się momentu, kiedy wreszcie się pojawisz. Ja mam na imię Cindy i jak chcesz, możesz zostać moją przyjaciółką.

Teresa nie miała nic przeciwko nieoczekiwanej propozycji dziewczyny. Zaskoczona jej śmiałością i bezpośredniością, skinęła tylko głową na znak akceptacji. Pomyślała, że w Anglii taki sposób zawierania przyjaźni jest rzeczą oczywistą i że jak tak dalej pójdzie, to po dwóch tygodniach pobytu będzie miała co najmniej tuzin nowych znajomych.

– Zacziesz pierwsza? – Cindy wskazała na stronę, od której miała zacząć.

Po dwóch zdaniach przeczytanych przez Teresę nowa przyjaciółka stwierdziła, że muszą popracować nad jej wymową, ale to oczywiście nic trudnego i po miesiącu będzie mówiła perfekcyjnie.

– Ale ja mogę zostać tylko dwa tygodnie. Moja mama nie zgodzi się, żebym została dłużej.

– Wystarczy, że twój tata się zgodzi. – Cindy szturchnęła ją żartobliwie w bok.

Od tego dnia dziewczyny nie rozstawały się ze sobą.

Dla Marty stanowcze oświadczenie córki, że pozostaje w Londynie na stałe, było szokiem, z którego nie mogła się długo otrząsnąć. Ciągle stawiała sobie pytania, co zrobiła złego, jaki popełniła błąd, że jej jedyna córka od niej odeszła.

Henry starał się jej wytłumaczyć, że decyzja Teresy nie ma z nią nic wspólnego. Córki po prostu często kochają bardziej ojców niż matki i to jest normalne. Poza tym on też miał prawo się nią nacieszyć. U niego niczego jej nie zabraknie i jest w stanie spełnić każde życzenie Tereni – zapewniał. Finansowo był człowiekiem całkowicie niezależnym, gdyż firma, którą zarządzał, przynosiła z roku na rok coraz większe zyski. Jego argumentacja

nie przemawiała do Marty w najmniejszym stopniu, ale by uniknąć drogiej i skomplikowanej drogi sądowej, dała w końcu za wygraną.

Od tamtego czasu Teresa nie była ani razu w Polsce. Matka odwiedziła ją parę razy, ale za każdym razem zatrzymywała się w hotelu. Henry'ego nie chciała widzieć na oczy. Jego propozycje, aby odwiedziła ich w domu, odrzucała bez najmniejszego komentarza.

Zmianę stosunku do byłego męża sprowokował ogromny sukces córki, jakim bez wątpienia było ukończenie studiów z tytułem doktora w obcym kraju, przy boku ojca.

Umówiły się na spotkanie w Dirty Johnym w czwartek o osiemnastej. O tej porze do pubu zaglądało po szalonej gonitwie za londyńskimi atrakcjami jedynie kilku spragnionych, bliskich wycieńczenia turystów. Nazajutrz Cindy zaczynała znowu, po parodniowej przerwie, pracę podczas dalekich lotów do Ameryki.

Przyjaciółki uściskały się serdecznie, jak gdyby nie widziały się od tygodni.

– Wiem, że umówiliście się na sobotę – zaczęła Cindy. – Rozmawiałam z nim wczoraj przez telefon. Jest tobą zachwycony i dał mi do zrozumienia, że jeżeli jest w twoim typie, to chciałby bardzo, aby wasza znajomość przerodziła się w coś poważnego. On uważa – ja tak myślę – że nie jest już młodzieniaszkiem i pewnie ma zamiar się ustatkować. Jednym słowem: szuka partnerki, z którą mógłby stworzyć stały związek lub nawet ożenić się. Co ty na to? – zapytała i nie czekając na odpowiedź Teresy, zaczęła opowiadać o swoim kuzynie. – Moja mama ma jedną, trzy lata starszą siostrę. Ta z kolei poznała Irlandczyka, za którego wyszła za mąż. On jest katolikiem. Nalegał, aby ich synowie, Tom oraz Steven, również nimi zostali. Moja ciotka się zgodziła, mimo że wtedy nie była to łatwa decyzja, jak zresztą sama doskonale wiesz. Tom był dwa lata starszy. W wieku dwunastu lat zginął od bomby, która wybuchła w jego pobliżu. Parę lat później pojechaliśmy ich odwiedzić. Miałam wtedy dziesięć lat i szczerze mówiąc, nie podobało mi się u nich. Dom w środku przypominał muzeum z czarno-białymi fotografiami zmarłego syna. Ciotka nie wyszła chyba do tej pory z szoku, jakiego doznała po śmierci Toma. Steven odezwał się do mnie po raz pierwszy, gdy zaczął studiować medycynę w Harvardzie. I nawet odwiedził nas dwa lub trzy razy w Londynie. Krótko przed jego wyjazdem do Afryki spotkaliśmy parę razy i... chyba dopiero wtedy mogłam go lepiej poznać.

Zmienił się, odkąd zaczął pracować w Londynie. Stał się dorosłym, opanowanym... – no, nie muszę ci mówić, bo sama widziałaś – i cholernie przystojnym facetem.

Teresa zauważyła błysk w oczach przyjaciółki i lekko zaróżowione policzki. Znała ją od tylu lat: jej hiszpański temperament brał nad nią górę w momencie, gdy się w coś angażowała. Teraz wyglądała niczym zakochana dziewczyna, która opowiada o swoim najdroższym. Nie chciała jej przerywać, a już z pewnością nie chciała pytać o jej uczucia do Stevena. Miała wrażenie, że jej przyjaciółka doskonale zdaje sobie sprawę z beznadziejności sytuacji, w jakiej się znalazła. Z całą pewnością wiedziała, że skoro nie może go mieć dla siebie, to może Teresa będzie z nim szczęśliwa. Były prawie jak siostry, a więc ON zostałyby w rodzinie.

Nagle zrobiło się ciasno i głośno obok stolika, przy którym siedziały. Liczna grupa turystów weszła do sali. Młodzi ludzie przekrzykiwali się nawzajem tak, że przyjaciółki nie mogły dalej spokojnie rozmawiać.

– Wynośmy się stąd! – Cindy wstała od stolika i pociągnęła za sobą Teresę. Przy barze rzuciła barmanowi monetę, oznajmiając: – Reszta dla ciebie.

Ten wytrzeszczył oczy ze zdziwienia.

– Za funta dostaniesz piwo w supermarkecie, ale nie u mnie!

– Teraz to chyba wystarczy. – Wyciągnęła z kieszeni jeszcze jedną i wsadziła mu ją do ręki.

– Ale tylko pod jednym warunkiem!

– Jakim? – zapytała Teresa.

– Odwiedźcie mnie znowu. Stawiam wam kolejkę.

– Johny! Wiesz, że przychodzimy do tej spelunki tylko ze względu na ciebie.

Dziewczyny pocałowały go z dwóch stron w policzki. Barman westchnął głęboko, przewracając oczami.

– Wiedziałem, że te smarkule się we mnie zakochały! – Spoglądając w lustro, poprawił tłuste, siwiejące włosy.

Przed wyjściem Teresa zatrzymała przyjaciółkę, łapiąc ją za rękę. Oczy Cindy błyszczały nadal ognikami, które zobaczyła przy stoliku. Policzki płonęły namiętnością zakochanej, młodej kobiety.

– Ja nie muszę się z nim spotykać. Powiedz tylko jedno słowo, a odwołam sobotni date.

Cindy zaprzeczyła energicznie głową.

– Chcę, abyś go uwiodła! Doprowadź go do szaleństwa swoją miłością do tego stopnia, aby był z bólu w chwilach, w których nie może być z tobą. Chcę, aby zobaczył, co to znaczy kochać i cierpieć z miłości. Chcę... Tak, pragnę, abyś mi wszystko ze szczegółami opowiedziała o tej nocy, w której sprawisz, że dozna rozkoszy z taką szaloną kobietą, jaką ja sama bez wątpienia jestem. Odrzuć chociaż na chwilę twoje cholerne zasady, opanowanie, wyrachowanie i zimną krew. Zrób z nim to, co ja bym zrobiła, zamień się we mnie i... opowiedz mi wszystko, tak jakbym to ja z nim to robiła. Przeistocz się we mnie na tę jedną, jedyną noc. Będzie to dla mnie najlepszy prezent, jaki mi podarujesz.

Zanim Teresa wypowiedziała słowa oburzenia wobec niedorzeczności, które usłyszała od swojej najlepszej przyjaciółki, Cindy uprzedziła ją:

– Jutro wylatuję na parę tygodni do Meksyku. Mam zaległy urlop i chcę go tam spędzić z paroma koleżankami z pracy. Jak wrócę, to już zabraknie ci dla mnie czasu. Wiem o tym i... chcę, byś wiedziała, że nie będę miała o to żadnych pretensji. A teraz idziemy ci kupić nową sukienkę na sobotni wieczór. To będzie mój pożegnalny prezent.

Wyszły na zewnątrz. Mimo że owiało je chłodne, wilgotne, lekko zamglone powietrze, Teresa odpięła dwa górne guziki płaszcza, odsłoniła gołą szyję i odetchnęła głęboko.

Do soboty czas upływał jej między innymi na spotkaniach i rozmowach z rodzicami. Wraz z ojcem postanowili pokazać matce, pomimo nie najlepszej pogody, najciekawsze zakątki Londynu. W programie znalazło się również Londyńskie Oko. Koło milenijne wykonywało pełny obrót w ciągu trzydziestu minut i można było przy w miarę przyzwoitej pogodzie zobaczyć z niego panoramę miasta, a przy odrobinie szczęścia, na które raczej nie liczyli, oddalony o czterdzieści kilometrów zamek Windsor.

Teresa na samą myśl, że uniesie się na wysokość ponad stu metrów, doznawała dziwnego niepokoju. Nie miała odwagi odmówić rodzicom towarzystwa podczas lunchu, który otrzymają w wynajętej specjalnie na ten cel gondoli.

Codziennie do południa odwiedzała przyszłego pracodawcę – doktora Hawletta. Zazwyczaj po krótkiej rozmowie zamykała się w pokoju, który miał stać się już za parę dni jej gabinetem, wraz z aktami jej przyszłych pacjentów. Były to na ogół starsze osoby i – co ją wprawiało w niepokój –

cierpiące w większości na demencję. Teczki pacjentów były niejednokrotnie zakurzone i sprawiały wrażenie, jakby nikt do nich nie zaglądał. Tym bardziej były dla niej nieco zagadkowe. Pomimo tego nie odważyła się na zadawanie dociekliwych pytań – zbyt zależało jej na tej pracy. Sortowała systematycznie teczki według wieku pacjentów i schorzeń, na jakie cierpieli, oraz wprowadzała te dane do swojego laptopa. Diagnozy, wpisane ręcznie, doktor wystawiał z reguły na podstawie wywiadu z pacjentem, a tylko w nielicznych wypadkach opierały się na badaniach neurologicznych. Przejrzała zaledwie jedną trzecią akt i już po raz kolejny zauważyła wpis w rubryce „choroba”: „Wszystko wskazuje na początkowe stadium Alzheimer’a”.

W sobotę doktor niespodziewanie zjawił się w gabinecie. Teresa podeszła i podała mu rękę.

– Dzień dobry, Tereso. Przyznam szczerze, że miałem nadzieję cię tutaj dzisiaj zastać.

Doktor Hawlett uścisnął serdecznie podaną mu rękę. Przy pierwszym spotkaniu Teresa nalegała, aby mówił jej po imieniu i nie używał przy tym tytułu, gdyż czuła się skrępowana faktem, że człowiek w wieku zbliżonym do jej ojca zwraca się do niej tak oficjalnie.

– Przejdźmy może do mojego gabinetu. Wstawię wodę na herbatę i porozmawiamy bez stresu, jaki przynoszą ze sobą nasi żywicieli. – Mrugnął do niej znacząco powieką spod grubych, rogowych okularów. – Nasi pacjenci. I od razu moja pierwsza rada: rozmowy, jakie będziesz przeprowadzała z nimi, traktuj od początku jako najważniejszą część pracy, ale pamiętaj, że nie wolno ci się zbyt angażować w ich problemy. Zachowaj prywatne życie dla siebie, inaczej któregoś dnia wylądujesz na mojej skórzanej kanapie z zszarganymi nerwami.

Teresa skinęła ze zrozumieniem głową i podążyła za szefem. Doskonale wiedziała, na czym polega jej praca i nie potrzebowała rady doktora, który skończył studia jeszcze przed jej przyjściem na świat.

Usiadła we wskazanym fotelu przed biurkiem.

– Zostawię cię na chwilę samą.

Gdy wyszedł na korytarz, zauważyła, że nie używa komputera do pracy. Na biurku po lewej stronie leżały poukładane papiery oraz blok z odręcznymi notatkami. Po prawej kalendarz z datami, godzinami i nazwiskami pacjentów. Spuszczone do połowy żaluzje okienne rzucały cień na część gabinetu, gdzie ustawiono metalową szafkę z szufladami, w których – jak się domyślała –

znajdowały się teczki z aktami pacjentów. Naprzeciwko biurka stała skórzana kanapa, o której wspomniał, a obok niej fotel oraz stolik, zaś na nim karafka z wodą, notes i pióro.

Dzisiaj nikt nie używa pióra. Ten gość jest naprawdę starej daty – pomyślała.

Na podłodze jasna, beżowa wykładzina dywanowa z długim włosiem nadawała uroku temu pomieszczeniu. Patrząc na nią, zrozumiała, dlaczego jej buty na wysokim obcasie nagle stały się bezszelestne.

Hawlett wszedł z tacą z dwoma filiżankami herbaty. Postawił jedną przed Teresą, drugą wziął do ręki i usiadł naprzeciwko. Poprawił dłonią pasmo włosów, które zakrywało łysinę, biegnąc od lewego przedziałka zaczynającego się zaraz nad uchem.

– Musisz wiedzieć, moja droga, że prowadzę praktykę od dwudziestu siedmiu lat. Gdy ty rodziłaś się w ślicznym Krakowie, ja zaczynałem moją samodzielną pracę. Czytałem uważnie twój życiorys i wiem coś niecoś o twoim rodzinnym mieście. Mój były przyjaciel pochodził z Krakowa i czasami opowiadał mi o tym mieście. Mówił, że jeszcze kiedyś tam wróci. Niestety, zmarł po ciężkiej chorobie przed dziesięcioma laty i nie doczekał tej chwili. Obiecałem mu, że jeżeli kiedyś odwiedzę to miasto, zapalę w kościele na Rynku... zapomniałem, jak się ten kościół nazywa... świeczkę za jego duszę.

– Mariacki. Wierzy pan doktor w życie pozagrobowe?

– W coś musimy wierzyć. Wiara dodaje nam siły i pozwala przetrwać w trudnych momentach życia. Dzięki niej stajemy się lepszymi ludźmi. Moi rodzice byli dobrymi chrześcijanami i w tym duchu wychowali swoje dzieci. Mnie i dwie moje siostry, które nadal mieszkają w Walii. Czy ty wierzysz w Boga?

– Moja mama wychowała mnie w wierze katolickiej. Czy ja wierzę? Z jednej strony realistyczne spojrzenie na życie zaprzecza jakiegokolwiek wierze. Z drugiej, w chwilach samotności tracimy to poczucie realizmu i mamy potrzebę oparcia się na kims, kto jest ciągle z nami, na kim możemy się polegać, gdy jesteśmy bezradni, zagubieni. Zwątpienie przychodzi w chwilach, w których obserwujemy tragedie ludzkie i zastanawiamy się nad istnieniem siły nadprzyrodzonej, której obowiązkiem – z takiego założenie przecież wychodzimy jako wierzący ludzie – jest pomóc istotom, którym dzieje się krzywda. Zwątpienie przychodzi, kiedy widzimy, słyszymy lub

czytamy o mordowanych, bezbronnych, Bogu ducha winnych istotach. Wtedy tysiące ludzi zadaje sobie to samo pytanie: „gdzie jesteś, dobry Boże?”. Odpowiadając na pana pytanie: tak. Jestem osobą wierzącą.

Teresa spojrzała na skórzaną sofę po drugiej stronie i znów w stronę doktora. Jego lekko uśmiechnięta twarz ukazywała oblicze serdecznego człowieka, któremu mogła, tak jak wielu jego pacjentów, w pełni zaufać.

– Nie musisz się niczego obawiać, moja droga. To jest rozmowa między fachowcami. Gdybyś potrzebowała rady starego psychologa, zaproponowałbym ci wygodniejszą pozycję niż siedzenie w fotelu, a po wizycie wystawiłbym ci rachunek. – Oboje roześmiali się w głos. – A teraz, powracając do twojej pracy tutaj, przedstawię ci moją konkretną propozycję i moje wyobrażenie co do twoich obowiązków jako mojej asystentki. Pacjenci, których akta położyłem na twoim biurku, odwiedzają mnie rzadko lub w ogóle nie pojawiali się w ostatnim czasie. Twoim obowiązkiem jest nawiązanie kontaktu z nimi i stworzenie grupy, którą zajmiesz się na początek. Po tym czasie zaczniesz powoli przejmować resztę moich podopiecznych, aż do momentu, w którym zostaniesz tutaj sama, a ja będę mógł wreszcie poświęcić więcej czasu moim wnukom. Masz trzy miesiące na stworzenie grona pacjentów spośród tych, których ci zaproponowałem. Gdyby się okazało, że potrzebujesz pomocy w nawiązaniu kontaktu z nimi, chętnie ci pomogę. Zaufanie, jakim muszą cię obdarzyć, wcale nie jest łatwe do zdobycia, więc moja rekomendacja może się okazać bardzo pomocna. Proponuję, abyś odwiedziła ich w domu i porozmawiała z nimi osobiście. Co do terminów, to możesz je pozostawić mnie. Trzy miesiące to długi czas. Możesz dużo osiągnąć... lub go zmarnować. Pamiętaj, wszystko zależy od ciebie.

Teresa spędziła jeszcze kwadrans w gabinecie przyszłego szefa, słuchając przy herbacie opowiadania o jego dzieciach i wnukach. Potem spojrzała na zegarek i pożegnała się z nim do poniedziałku. Rodzice czekali już na nią w samochodzie przed budynkiem.

Nie padało! Henry prowadził pewnie samochód po zatłoczonych ulicach Londynu. Rozmawiali o poniedziałkowym wyjeździe Marty do Polski oraz planowanej przeprowadzce ojca.

– Zanim cię tutaj zostawię samą, moja kochana – ojciec zwrócił się tym razem do Teresy – zlecę przeprowadzenie remontu mojego mieszkania. Chciałbym, abyśmy razem zdecydowali o zmianach, jakich dokonamy, oraz

meblach, które chciałabyś zachować dla siebie. Natomiast twoje mieszkanie zatrzymamy z Martą na czas, kiedy zapagniemy cię tutaj odwiedzić. Jest ono mniejsze, ale zupełnie nam wystarczy na weekendowe wypady. Co o tym myślisz?

Teresa słuchała go jednym uchem. Myślami wybiegała ciągle do czekającego ją dzisiejszego wieczoru spotkania ze Stevenem. Zadzwoił wczoraj i zaproponował, że odbierze ją taksówką sprzed domu o dziewiętnastej. Chętnie się zgodziła. Podała mu adres i podziękowała za miły gest z jego strony.

Ocknęła się z zadumy.

– Tak, tato. Zrobimy tak, jak sobie życzysz.

Marta zerknęła na córkę na tylnym siedzeniu z lekkim rozbawieniem.

– Czy ty wiesz, kochanie, o czym my rozmawiamy? Przyznaj się, gdzie byłaś w tej chwili? Coś mi mówi, że nasza córka nie zwraca na nas uwagi zajęta myślami o dzisiejszym wieczorze, który spędzi w towarzystwie przystojnego lekarza – zwróciła się do Henry’ego.

– Tak, mamó. Masz jak zwykle rację. – Teresa wsadziła głowę pomiędzy przednie siedzenia i powtórzyła co do joty słowa ojca, tak jak gdyby odtworzyła je z taśmy dyktafonu.

Przez następne pięć minut, dopóki nie osiągnęli Westminster Bridge Road, Marta nie odezwała się ani słowem.

Przed mostem ojciec musiał na chwilę zatrzymać samochód ze względu na ruch, jaki tam panował. Spoglądali z podziwem wprost na stutrzydziestopięciometrowe Oko Londynu. Jedyne Teresa wierciła się z niepokojem na siedzeniu, patrząc na górne gondole, które w ten pochmurny, listopadowy dzień zdawały się dotykać nieba. Na parkingu chciała zaproponować, że zostanie w samochodzie i poczeka na ich powrót, ale zdawała sobie sprawę, że popsuje wycieczkę, którą ojciec zaplanował wspólnie z nią już parę dni wcześniej. Na sztywnych nogach wysiadła z auta. Henry wziął je obie pod rękę.

Najgorsze przede mną. Boże, daj mi siłę!!!

W gondoli spoglądała przeważnie na podłogę lub na japońskich turystów stanowiących większość pasażerów. Wszyscy bez wyjątku trzymali w ręku aparat fotograficzny. Każdy z nich zachwycony był rozpościerającą się przed nimi panoramą Londynu i wyrażał na głos zachwyt. Niczym małe dzieci pokazywali sobie palcem widoki i uwieczniali je na kartach pamięci swoich

kamer.

Wypiła dwa łyki szampana i zakręciło jej się jeszcze bardziej w głowie. Liczyła sekundy i minuty do momentu, w którym koło zakończy pełny obrót i będzie mogła wreszcie stanąć na ziemi. Odetchnęła z ulgą, wychodząc jako pierwsza.

– Jestem oczarowana. Było cudownie! Na tobie nie wywarło to, jak zauważyłam, najmniejszego wrażenia. Pewnie wielokrotnie miałaś okazję oglądać wasz wspaniały Londyn z tego właśnie koła? – zwróciła się Marta do córki.

– Dzisiaj była premiera... i obawiam się, że jej nie powtórzę. – Teresa wytarła chusteczką oblane potem czoło.

Matka z troską popatrzyła na bladą jak kreda córkę.

– Jeżeli już wcześniej wiedziałaś o swojej dolegliwości, dlaczego nam nie powiedziałaś?

– Wybacz mi, ale ja również nie miałem o tym pojęcia. – Henry popatrzył zakłopotany na Martę.

– Ani ja! Wiedziałałam, że coś jest nie tak. Myślałam, że to niepokój związany z wydarzeniami ostatnich dni. Moja pierwsza praca, pierwsza prawdziwa randka, wyjazd taty do ciebie. Teraz wiem, że się myliłam. Lęk wysokości można przezwyciężyć. Jestem pewna, że sobie z nim poradzę. Najważniejsze w tej chwili, że tobie się podobało. – Ucałowała matkę w policzek.

Henry odwiózł Teresę do domu, nie pytając o zgodę. Oboje z matką zaproponowali jej, że zostaną z nią przez chwilę, dopóki nie dojdzie do siebie, ale odmówiła kategorycznie, twierdząc, że wszystko jest w jak najlepszym porządku.

W mieszkaniu, nie zrzucając z siebie płaszcza, pobiegła do łazienki i zwymiotowała do toalety. W gondoli przełknęła zaledwie parę kęsów podanego im lunchu – ciążyły w jej żołądku niczym kamienie.

Jako mała dziewczynka często siadała podczas nieobecności rodziców z książką w ręku na parapecie okna w kuchni i obserwowała co jakiś czas przechodniów z trzeciego piętra. Nie odczuwała przy tym najmniejszego strachu. Lęk, jaki w tym momencie zawładnął jej myślami, przyszedł niespodziewanie niczym choroba. Coś się z nią stało. Coś, czego nie mogła w tej chwili opanować.

Zrzuciła z siebie palto, usiadła na łóżku i objęła rękami podkulone kolana,

na których położyła głowę. Łzy spływały jej po policzkach i kapały na uda.

Obudziła się, leżąc na boku. Za oknami panował mrok, który rozjaśniały światła wieżowców tętniącej życiem metropolii. Elektroniczny zegar przy łóżku uświadomił jej, że ma tylko godzinę na przygotowanie się. Podniosła się i zaczęła bez świadomości, ciągle jeszcze w letargu sprzątać i układać porzucane książki i inne rzeczy. Słowa Cindy na nowo rozbrzmiewały w jej uszach.

Punktualnie o dziewiętnastej rozbrzmiał dzwonek przy drzwiach. Odsunęła zasłonę w oknie kuchennym i spojrzała w dół. Przy taksówce stał Steven i pokazywał jej, że ma zejść na dół, gdzie czeka przy aucie. Skinęła głową. Narzuciła płaszcz na nową sukienkę i poprawiła naszyjnik z pereł na szyi. W lustrze obróciła się dookoła i z uśmiechem na twarzy skłoniła się przed swoim odbiciem.

Perfect! Baby, jesteś dzisiaj mój.

Powitał ją całusem w policzek i zanim otworzył drzwi taksówki, zmierzył ją wzrokiem od stóp do głowy. Usiedli na tylnym siedzeniu.

– W pubie twoi znajomi mieli zupełną rację.

– Co masz w tej chwili na myśli?

– Umówiłem się do teatru z boginią Wenus. – Nie spuszczał wzroku z jej oczu.

– Oni nazwali mnie Ateną, czyli boginią mądrości w mitologii greckiej. Ona z kolei nie była taka ładna jak Wenus, rzymska bogini piękna i erotycznego pożądania.

– Bóg zesłał je dzisiaj na ziemię w jednej postaci, mianowicie tej, która siedzi w tej chwili obok i z której nie mogę spuścić wzroku. – Podniósł jej dłoń w górę i pocałował. – Może nie mówmy dzisiaj o mitologii, nie jest ona moją mocną stroną.

Teresa patrzyła na niego z niedowierzaniem. W kręgu przyjaciół i znajomych ceniona była za sposób bycia, za elokwencję, intelekt i bezpośredniość wobec innych. Kiedyś profesor sir Payrton ocenił ją jako osobę nadzwyczaj wrażliwą, szczerą, której ciepło ogrzewa zimną salę wykładową.

Patrząc na siebie w lustrze, widziała w nim dojrzałą kobietę o przeciętnej urodzie. Na jej policzkach i czole widniały drobne blizny po trądziku. W wieku dziesięciu lat, bawiąc się z rówieśnikami przed blokiem, podeszła zbyt blisko huśtawki, która uderzyła ją w nos. Złamanie zrosło się krzywo,

pozostawiając lekki garb i upodabiając nos nieco do sokolego dzioba. Odstające uszy starała się ukryć odpowiednią fryzurą. Była pewna, że nie jest obiektem pożądania mężczyzn. A tych, z którymi do tej pory miała romans, poznała na dyskotecie w trakcie weekendowych wypadów z Cindy lub jej związku – o czym nikt nie mógł się dowiedzieć – miały charakter czysto „pomocniczy”, jak to nazywała w myślach. Jedynie swojej figurze modelki nie mogła nic zarzucić. Czasem spacerowała nago przed lustrzanymi drzwiami szafy w sypialni i oglądała się ze wszystkich stron, mówiąc sama do siebie: „No, no! Niezła dupa. Gdybym była facetem, pieprzyłabym cię cały dzień, ale najpierw zarzuciłabym ci ręcznik na głowę, żeby nie oglądać twojej buźki”.

– O czym chcesz rozmawiać?

– O twojej pracy? Co robiłeś dzisiaj?

– Tego nie mogę ci zdradzić. Tajemnica lekarska.

– Nie wygłupiaj się. Opowiadaj. – Szturchnęła go żartobliwie w bok.

– A więc...

Słuchała go uważnie i jednocześnie przyglądała się jego opalonej afrykańskim słońcem twarzy, jego niebieskim, wpatrzonym w nią oczom, jego ustom odsłaniającym w uśmiechu ładne, białe, kontrastujące z jego opaloną skórą zęby oraz bliźnie przebiegającej od lewej brwi aż do skroni. Gdy opowiadał, jego promieniejąca spokojem twarz, mimika i gesty rąk wręcz skłaniały słuchacza do skupienia na nim całkowitej uwagi.

– Jutro musisz pracować? – W chwili, kiedy przestał mówić, zadała mu to pytanie, ale w tej samej sekundzie tego pożałowała. Nie chciała, aby zabrzmiało jak propozycja spędzenia z nią nocy, a w tym momencie tak właśnie wyglądało.

– Dopiero w południe.

Taksówka zatrzymała się przed teatrem. Do przedstawienia zostało im jeszcze trochę czasu. Steven zaproponował, żeby wypić w barze po lampce szampana i jeszcze chwilę porozmawiać. W garderobie oddali płaszcze. Teresa od razu zwróciła uwagę na jego nowy garnitur, który tym razem pasował jak ulał. Z boku, przy prawej kieszeni wisiała jeszcze metka z ceną. Zatrzymała go na chwilę i odciągnęła na bok za filar, gdzie nikt nie zwracał na nich uwagi.

Steven potraktował to jako propozycję pocałunku i pochylił się do niej. Teresa odsunęła go energicznie.

– Taka szybka i łatwa to ja nie jestem!

Otworzyła torebkę i wsadziła do niej rękę w poszukiwaniu czegoś. Steven spoglądał na nią z lekkim przerażeniem.

– Nie wiem, czego ty tam szukasz, ale ja naprawdę nic ci nie zrobię.

– Tego by jeszcze brakowało. Póki co odetnę tylko etykietę z twojej nowej marynarki. – W rękę trzymała małe nożyczki do paznokci, którymi następnie odcięła metkę. Popatrzyła na cenę i włożyła mu ją do kieszeni. – Gratuluję wyboru... I muszę przyznać: jest tej ceny warta.

Wzięła go pod rękę i poprowadziła w stronę baru.

Stuknęli się lampkami.

– Za co pijemy? Masz jakąś propozycję?

– Tak. Za dzisiejszy wieczór... za naszą znajomość... i twoją nową marynarkę. – Teresa pociągnęła dwa łyki zimnego szampana. – Ta blizna przy oku... co ci się stało? Jeszcze jedna pamiątka z Afryki?

– Nie, to z dzieciństwa. Miałem brata. Tom był dwa lata starszy ode mnie. Ja miałem wtedy dziesięć lat. Pamiętam ten dzień, jakby to było wczoraj. Mieszkaliśmy na obrzeżach Belfastu. Matka zrobiła nam niesamowitą awanturę za to, że nie posprzątailiśmy pokoju. Toma wytargała za uszy i postawiła za karę w kacie. Ja miałem poprawić łóżko, na którym tłukliśmy się, co zresztą robiliśmy prawie codziennie, ale tym razem akurat daliśmy się przyłapać. Ledwo matka wyszła z pokoju, Tom odwrócił się w moją stronę, pokazał na okno i kazał mi się rozglądnać, czy nikt nie stoi na dole. Nie było nikogo. Narzuciliśmy na siebie kurtki i założyliśmy buty. Pod szopą stały nasze rowery, na których postanowiliśmy wyrwać się z domu do centrum miasta. Tom, jak zwykle zresztą, musiał mi pokazać, jaki jest szybki. Pędził niczym szalony, zostawiając mnie daleko z tyłu. W chwili kiedy minął zaparkowany na chodniku samochód, ten uniósł się nagle w powietrze, niczym podrzucony ręką niewidzialnego olbrzyma, i eksplodował, rozlatując się na tysiąc kawałków. Zobaczyłem, jak potężne uderzenie powietrza rzuciło mojego brata wraz z rowerem o ścianę stojącego obok budynku. Sam, ogłuszony potężnym wybuchem, upadłem na ulicę, rozbijając głowę. Po chwili pobierałem się i pobiegłem w jego stronę. Siedział na chodniku i patrzył na mnie nieprzytomnym wzrokiem przerażonego dzieciaka. W pierwszej chwili wydawało mi się, że nic mu się nie stało. Próbowałem go podnieść, ale Tom nie mógł utrzymać się na nogach. Z nogawki spodni spływała mu krew. Krwawienie było tak mocne, że strużka krwi płynęła

prosto do rynsztoka. Pobiegłem w stronę grupki ludzi, błagając ich o pomoc. Odganiaли mnie od siebie niczym natrętnego owada. Jakaś kobieta krzyczała, że ona mnie zna i że jesteśmy cholernymi, katolickimi bękartami, których należałoby od razu ukatrupić. Zanim wreszcie ktoś podszedł ze mną do leżącego pod ścianą brata, ten był już nieprzytomny. Obok niego siedział trzęsący się ze strachu kundel i lizał go po twarzy. Tom zmarł z głową na moich kolanach. Czułem jego słabnący oddech i serce, które nagle przestało bić. Kawalek blachy z rozbitego auta przeciął mu tętnicę w udzie. Wystarczyło zawiązać nogę powyżej rany... a ja tego nie zrobiłem... Nie potrafiłem tego zrobić. Codziennie mam go przed oczami i nie mogę sobie wybaczyć, że mu nie pomogłem. Obiecałem sobie wtedy, że zostanę lekarzem i już nigdy nikt przy mnie nie zginie w tak banalny sposób. Matka do tej pory nie otrząsnęła się z jego śmierci. Obwinia siebie. Gdyby nie zrobiła nam awantury, Tom żyłby szczęśliwie do tej pory... Tak twierdzi. Gdyby jechał wolniej, również nic by się nie stało. Gdybym potrafił zatamować krwawienie, również by się nic nie stało. Zrzączenie losu... Sam nie wiem. Może Bóg nas wtedy opuścił, a ta krzycząca kobieta przeklęła nasz los.

Teresa słuchała go, wstrzymując napływające do oczu łzy.

– Jego śmierć nie była banalna. Wtedy w Irlandii Północnej zginęło wielu ludzi. Śmierć nigdy nie jest banalna, jest okrutna, straszna i stanowi ostatni akt naszego życia. Kończy je.

Steven spoglądał na nią z pewnego rodzaju zadowoleniem. Z jednej strony nieprzyjemne wspomnienia z dzieciństwa, które wycisnęły piętno na całym jego życiu, z drugiej, reakcja Teresy na jego wspomnienia. Kobieta można zdobyć na wiele sposobów. Niektóre z nich fascynuje wygląd mężczyzny. Inne widzą w nim wypchany portfel, kiedy obnosi się z nim przy każdej okazji. Jeszcze inne dostrzegają jego humor, talent sportowca, muzyka lub coś, co wyróżnia go z tłumu szarych i na pozór nieciekawych ludzi. Wszystko zależy od charakteru, oczekiwań i poglądu na życie. Zdarzają się również i takie, których serce zdobywa się, wywołując u nich współczucie i litość. Są one z reguły istotami bardzo wrażliwymi i o dobrej duszy. Tak właśnie ocenił Teresę i teraz, przyglądając się jej twarzy i oczom błyszczącym łzami, był pewien, że obrana strategia okazała się właściwą drogą do jej serca.

– Obawiam się, że niewłaściwie zaczęliśmy nasze pierwsze spotkanie. Nie

powiniennem ci o tym teraz opowiadać.

– Nie. Zdecydowanie, nie! Jestem szczęśliwa, że obdarzyłeś mnie takim zaufaniem i otworzyłeś przede mną swoje serce. Wszyscy potrzebujemy spowiednika, kogoś zaufanego, kogo darzymy sympatią.

– Lub kochamy! Kiedy otworzysz mi swoje serce?

– Wszyscy zaczynają wchodzić do środka. – Teresa wskazała na wejście.
– Chodźmy.

Tym razem wzięła jego dłoń w swoją i poprowadziła na widownię.

Ja je już otworzyłam, tylko ty tego jeszcze nie dostrzegłeś!

Hamleta grał młody, przystojny aktor, którego postać przyciągała uwagę żeńskiej części publiczności. Teresa widziała kobiety siedzące obok, wpatrzona, wręcz zahipnotyzowana jego urodą. Sztuka była świetnie wyreżyserowana, a obsada wyjątkowo udana. Co chwilę na widowni rozlegały się brawa. Miała wówczas okazję wyciągnąć swoją dłoń z uścisku Stevena. W tych chwilach spoglądali na siebie z uśmiechem. Powtarzała w myślach kwestie aktorów, jak gdyby chciała je na zawsze zapamiętać.

Na początku trzeciej sceny przy słowach Hamleta: „Być albo nie być... oto jest pytanie”, niektóre osoby wstały i zaczęły oklaskiwać aktora. W chwili kiedy Hamlet recytował dalej swój monolog: „Umrzeć... spać... zasnąć... A może śnić przy tym?”, stwierdziła, że jej ręka jest bezwładna i nie rejestruje dotyku dłoni Stevena. Z pewną ulgą przyjęła zakończenie spektaklu.

Steven zaproponował, żeby przeszli do baru, a później, jeżeli będzie mieć ochotę, coś zjedli.

– O tej godzinie jest chyba trochę za późno na kolację, panie doktorze.

Teresa spojrzała na zegarek, dochodziła dwudziesta trzecia.

– Chyba masz rację. O tej godzinie nie powinno się jeść. Co proponujesz?

– Zamów taksówkę.

Steven z widocznym rozczarowaniem spojrział na nią, następnie na grupkę stojących osób przed wyjściem.

– Trochę potrwa, zanim jakąś dostaniemy. Obawiam się, że musimy ustawić się w kolejce.

Wyszli na zewnątrz. Nieprzyjemny wiatr zmieszany z drobnymi kroplami deszczu uderzył ich w twarze. Po trzech minutach oczekiwania Steven zaczął dygotać z zimna.

– Coś mi się wydaje, że odzwyczaiłeś się od londyńskiego klimatu.

– Temperatury około trzydziestu stopni są w Somalii rzeczą normalną. W

lecie dłuższe przebywanie na słońcu bez nakrycia głowy mogło skończyć się udarem mózgu. W południe nie wychodziliśmy z klimatyzowanych pomieszczeń, a jeżeli już, to tylko by przebiec parę metrów do naszych mieszkań. Te namioty, o których wspominałem, w rzeczywistości były nowoczesnymi kontenerami, naprawdę świetnie wyposażonymi w urządzenia medyczne. Dwa namioty, chociaż trudno je tak nazywać ze względu na dużą powierzchnię, służyły nam jako magazyny. I masz rację, odzwyczaiałem się od tego klimatu, za którym tak wszyscy tęskniliśmy.

W pewnym momencie podjechały jednocześnie trzy taksówki. Ostatnia z nich, ta, do której wsiedli, była bez wątpienia turystyczną atrakcją pamiętającą lata siedemdziesiąte.

– Wszystko jedno. Najważniejsze, że ogrzewanie działa! – Teresa przytuliła się do niego, kładąc głowę na jego ramieniu. Po chwili podniosła wzrok do góry, popatrzyła mu w oczy i zanim zdążył coś powiedzieć, pocałowała go w policzek. – Dziękuję za cudowny prezent i wieczór.

Steven uniósł delikatnie jej twarz.

Całowali się namiętnie do chwili, kiedy Teresa zobaczyła w lusterku wpatrzone w nich oczy taksówkarza arabskiego pochodzenia. Odwróciła się i objęła Stevena jeszcze mocniej, kładąc przy tym głowę na jego ramieniu. Nie odzywali się, dopóki auto nie zatrzymało się pod jej domem.

Wysiedli na chodniku pod schodami prowadzącymi do wejścia. Mieszkała w budynku z sześcioma innymi lokatorami. Znała ich tylko z widzenia, z niektórymi zamieniła tylko parę grzecznościowych zdań, co było rzeczą normalną w Londynie, mieście, w którym wszyscy gdzieś się spieszą.

– Czy mogę mieć nadzieję, że się znowu zobaczymy? Tym razem nie chciałbym czekać cały tydzień na spotkanie. – Położył rękę na jej ramieniu i uśmiechnął się do niej.

– Miałam nadzieję, że wstąpisz na górę na drinka... lub na herbatę – dodała szybko. – Pomoże ci się rozgrzać. – Steven znowu dygotał na całym ciele. – Pozwól mi przynajmniej uregulować rachunek za taksówkę. – Nie czekając na jego odpowiedź i nie dając mu szansy na zastanowienie, odwróciła się i podeszła w stronę taksówki. Kierowca szczyrzył w ich stronę długie, krzywe i żółte od nikotyny zęby, które przy dziąsłach zwięzały się na skutek zaawansowanej paradontozy. – Ile płacę? Wie pan, że nie podgląda się gości, których się wiezie?! Nikt panu tego jeszcze nie powiedział?

– Ja nic nie wiedzieć, lady. Ja tylko jeździć, lady.

Słyszając jego łamany angielski, nie odezwała się do niego więcej. Wyciągnęła dwadzieścia funtów i podała mu przez otwartą szybę.

Znowu weszła po cichu do sypialni. Steven leżał na wznak z zamkniętymi oczami i oddychał równomiernie. Błogie uczucie sytości i rozleniwienia rozprzestrzeniało się, poczynawszy od jej łona, a kończąc na reszcie ciała. Przypomniały się jej cukierki karmelowe, które dostała któregoś dnia od rodziców. Zjadła wtedy całe opakowanie. Pamięta do tej pory ich smak, ich słodycz rozchodzącą się w ustach. Leżała z ostatnim cukierkiem na wersalce z zamkniętymi oczami i to było takie samo uczucie, jakiego doznała dzisiaj, w tej chwili. Uczucie sytości, błogiego rozleniwienia i zadowolenia.

Zamknęła oczy. Rękami dotykała swojego nagiego ciała. Miejsc, których on przed chwilą dotykał i które całował. Położyła się po cichu obok niego i przysunęła w stronę jego głowy poduszkę. Wpatrywała się w niego, oświetlonego niegaszącymi lampami.

– Urodziłam się, jak wiesz... – zaczęła szeptem, jakim wyznaje się grzechy spowiednikowi, który z chciwością uważnego słuchacza przychyliła siwą głowę do kraty oddzielającej go od grzesznika.

Podniosła głowę i spojrzała uważnie na twarz Stevena. Spał, była tego pewna.

Wyobraziła sobie już w półśnie, że jej wymaginowany ksiądz na końcu spowiedzi wymierza jej srogą karę w imieniu swojego szefa, z którym codziennie rozmawia, do którego być może w dzisiejszych czasach telefonuje lub nawet pisze maile.

– Pozostałam w Londynie. Nie zdawałam sobie wtedy sprawy, jak zrozpaczone było serce matki, która, jak się później dowiedziałam, usychała z tęsknoty za mną...

Wielebny przysunął się jeszcze bardziej do kraty oddzielającej go od grzesznicy, jaką w tej chwili była.

– Czy, moje dziecko, przeprosiłaś ją za to? Okazałaś przed nią i Bogiem skruchę?

Odwrócił się w jej stronę, a szare oczy ziemskiego przedstawiciela tego „Jedynego Wszchemogącego” przeszły ją na wskroś. Łagodna twarz starca nabrała powagi. Jego rysy wyostrzyły się, zmarszczki stały się głębsze, nadając mu jeszcze więcej powagi i mądrości.

Łzy skruchy nabiegły jej do oczu. Szukała chusteczki, by je otrzeć i nagle zdała sobie sprawę, że klęczy na twardym, drewnianym, nieheblowanym

klęczniku, który rani do krwi jej kolana. Oczy wielebnego ogarniały całą jej postać i zmieniały swój kształt. Nie były to już oczy starca, przed którymi oczyszczała swoją grzeszną duszę, ale oczy kogoś innego, kto z pożądaniem przypatrywał się jej twarzy, jej piersiom, jej nagiej skórze. Nagle zmieniły swój kolor i kształt. Stały się krystalicznie wyraźne, nabrały blasku dzikiego zwierzęcia, nieludzkiego stworzenia. Żrenice zmieniły się w czarne i owalne, niczym dwa połączone ze sobą węgliki o lekko zakrzywionym kształcie. Jego tęczęwki płonęły żółcią ognia, z którego wydobywały się miliony srebrnych gwiazd całego uniwersum. Oczy diabła! Tak, była tego pewna, tak wyglądają, tak muszą wyglądać oczy władcy podziemia.

Czuła chłód przeszywający ją na wylot. Drżała na całym ciele, ale nie tylko od zimna przeszywającego ją na wskroś; było to drżenie skazańca przed wykonaniem wyroku.

Ściany konfesjonału pokryły się warstwą białego szronu. Wskazujący palec spowiednika przejeżdżał tam i z powrotem po drewnianej kracie, wydając dźwięk podobny do odgłosu, jaki wydają szprychy w rowerze, po których dzieciaki przesuwają kawałek drewna lub patyka. Palec zakończony długim na dwa centymetry paznokciem, dwa razy dłuższy od pozostałych, przypominał szpon drapieżnego ptaka.

– Mów dalej, ździro! Przychodzisz do mnie i zabierasz mi mój drogocenny czas opowiadaniem o pieprzonych łzach twojej pieprzonej matki! Jestem tutaj po to, aby usłyszeć twoje najciemniejsze, najbrudniejsze, najstraszniejsze myśli i uczynki. Chcę słyszeć nienawiść, zło i cierpienie twojej grzesznej duszy. Kolekcjonuję serca morderców, dyktatorów, samobójców. Serca przepełnione złością, serca egoistycznych, marnych kreatur nazywającychymi siebie ludźmi. Kim jesteś?!

Pierwotnie twarz dobrodusznego pasterza zaczęła drżeć, skóra zaczęła pulsować i zmieniać się, przyjmując wygląd podobny do pyska szarego, ogromnego wilka.

Teresa podniosła trzęsącą się głowę do góry. Górna warga bestii drgała z wściekłości, ukazując długie, żółte zęby taksówkarza. W jednej chwili nastąpiła pełna metamorfoza. To już nie był wilk, a hiena, z której pyska wyciekała ślina i spływała po kratkach konfesjonału.

– Jestem dobrym człowiekiem! Jeżeli przyszedłeś po moją duszę, to jesteś tutaj nadaremno. Nie zrobiłam nic, co pozwoliłoby ci włożyć moje czyste serce do witryny razem z tymi, które zbierasz. I obojętnie, jak potoczy się

moje życie, ono nigdy nie będzie przepełnione nienawiścią.

– To się jeszcze okaże! Zadbam o to, abyś pociągnęła za spust, a wtedy będziesz moja. Postaram się, abyś doznała rozkoszy zdobywania i posiadania, a wtedy zapanuję nad tobą. Najpierw wezmę twoje ludzkie, marne, chociaż – muszę przyznać – wzbudzające moją – samego Lucyfera – pokusę ciała. – Z widoczną rozkoszą przebiegł wzrokiem po nagim ciele Teresy. Niczym u wygłodniałego psa na widok kawałka mięsa z ust zaczęła mu jeszcze silniej wyciekać ślina. – Następnie wyrwę ci twoją niegodziwą duszę grzesznicy. Zejdiesz z tego padołu w strasznych cierpieniach i zadbam o to, że przypomnisz sobie o mnie, zanim to nastąpi. Objawię się przed tobą w czasie, który uznam za stosowny. Zjawię się jako postać z twojej wyobraźni, a ty mnie rozpoznasz. Podam ci rękę, zanim opuścisz twój parszywy świat... I ty rozpoznasz mnie. Pójdiesz ze mną do krainy, w której nie ma czasu, a cierpienie i ból są niewyobrażalne i trwają wiecznie. Nieskończoność nie ma przeszłości, teraźniejszości ani jutra. Zostałaś moją wybranką, moją śliczną zabawką, moim podarunkiem, który sam sobie złożę. Od tej chwili ja decyduję o twoim losie, o twoich uczynkach i twojej przyszłości. Nie zadawaj mi pytania: „Dlaczego ja?”. Nie mów mi: „Ja przecież nic nie zrobiłam!”. Miliony tobie podobnych istot nic nie zrobiło! Teraz są moimi podwładnymi, teraz dane im jest poznać rozkosz wiekuistego cierpienia na moją chwałę. Ty, oni i ci, których jeszcze wybiorę, są moim kaprysem, moją zachcianką. Z tą tylko różnicą, że ciebie dzięki mojej mocy ukształtuję pod moimi skrzydłami na godną mnie istotę. Drobną nagrodą za twoje niegodziwe uczynki, które ucieszą moje serce władcy ciemności, będzie fakt, że z każdym z nich staniesz się bardziej ponętym obiektem pożądania mężczyzn, wzbudzającym zazdrość innych kobiet. Obdarzę cię jeszcze jednym podarunkiem, który stanowi przedsmak wiecznego żywota w moim władztwie. Strach! Strach, który paraliżuje zmysły. Strach, który popycha do najpodlejszych i najniegodziwszych uczynków. Czyż to nie jest wspaniały prezent? Do zobaczenia w twoim ziemskim, nieuchronnie nadchodzącym czasie... Amando!

Obudziła się, gdy Steven przykrywał jej gołe ciało kołdrą.

– Jesteś zimna, jakbyś wyszła z lodówki. – Pochylił się i pocałował jej sine, zmarznięte usta. – Często mówisz we śnie? Obudziłem się, jak opowiadałaś o swoim życiu. Z początku wydawało mi się, że chcesz mi się z czegoś zwierzyć lub może nawet otworzyć serce przede mną. To brzmiało...

brzmiało niczym spowiedź. Później zaczęłaś się trząść z zimna i dopiero wtedy zrozumiałem, że śpisz.

– O czym mówiłam? Ja nic nie pamiętam. – Teresa udawała zdziwienie. W rzeczywistości koszmar, który przewijał się jeszcze przed jej oczami, przyprawiał ją prawie o histerię i zawrót głowy.

To nie był sen! Była tego tak pewna jak tego, że w tej chwili leży obok mężczyzny, z którym chciałyby spędzić resztę życia. Jutro wyjedzie matka, a za parę tygodni opuści ją ojciec i zostanie tutaj, w tym ogromnym mieście sama. Jej i Cindy drogi rozeszły się bezpowrotnie teraz, w tym momencie, w którym Steven stanął przed nią. Jej najlepsza przyjaciółka nigdy nie zdecydowałaby się na urlop bez niej. Teraz wyjeżdża razem z innymi do Meksyku, dając jej wyraźnie do zrozumienia, że nadszedł czas pożegnania.

– Teraz wiem o tobie wszystko! Wiem, gdzie się urodziłaś, gdzie chodziłaś do szkoły, że kochasz swoich rodziców. Cindy jest twoją najlepszą przyjaciółką, a wczoraj stwierdziłaś u siebie lęk wysokości, który nagle i nieoczekiwanie pojawił się niczym alergią. I boisz się nowej pracy.

– Mówiłam coś o tobie? – Przynurła się do niego i pocałowała go w usta.

– Tak. Porównałaś mnie do cukierków karmelowych. Nie wiem, czy to dobrze, czy...

– Uwielbiam je! Smakują tak jak ty. – Chciała koniecznie odwrócić jego uwagę i przerwać rozmowę o jej koszmarnym przewidywaniu.

Zanurzyła się pod kołdrę. To było jedyne, co wpadło jej do głowy i co z całą pewnością pozwoli im zapomnieć, przynajmniej na krótki czas, o jej zmorach.

Steven zamknął oczy i dłońmi złapał ramę łóżka nad głową.

Rano obudziła go pocałunkiem, kładąc jednocześnie na kołdrze tacę z kawą, pieczywem i jajkiem sadzonym na boczku.

– Jesteś pierwszym mężczyzną, który ma zaszczyt jeść ze mną śniadanie w łóżku.

– Pierwszym i ostatnim!

– Jesteś pewien, że chciałbyś tego?

Patrzyła na niego poważnie. Na twarzy pojawił mu się lekki zarost. Podobał jej się tak bardzo, że przyprawiał ją o zawrót głowy. Najchętniej nie wypuściłaby go przez parę dni z domu. Oczarował ją od pierwszego spotkania swoim spokojem, lekkim uśmiechem, który nigdy nie zniknął mu z ust, oczami uważnie wpatrującymi się w nią, kiedy mówiła. Zastanawiała się,

jak to możliwe, by taki mężczyzna jak on był samotny. Być może szukali się nawzajem i dopiero teraz się odnaleźli?

– Tak. Jestem tego pewien. – Przystawił jej dłoń do swoich ust. – Na marginesie: jeszcze nigdy żadna kobieta nie zaserwowała mi śniadania na tacy, za wyjątkiem mojego pobytu w szpitalu, ale to się oczywiście nie liczy.

Teresa położyła się obok niego, oparła głowę na ręce i przypatrywała mu się z uwagą.

– Zostaniesz ze mną?

– Obawiam się, że to niemożliwe. O dwunastej zaczynam dyżur.

– Nie to miałam na myśli.

Steven odstawił tacę na podłogę i wziął ją w ramiona. Nie odzywał się ani słowem. Żałowała tego pytania. Zadała mu je za wcześnie. To wszystko było za wcześnie, za szybko. Normalnie powinni chodzić ze sobą parę tygodni aż do pierwszego pocałunku. W tym czasie rozmawiać o miłości, uczuciach, muzyce, filozofii, rzucać namiętne spojrzenia i wzdychać pełni pożądania niczym w starych filmach lub romansach.

Po chwili odsunął delikatnie jej głowę do tyłu, popatrzył w oczy i pocałował ją w czoło.

Wrażenie, że kierowała nim litość lub niechęć obrażenia jej uczuć do niego, nie opuszczało jej przez cały dzień. Aż do chwili, kiedy zadzwonił i poprosił o spotkanie.

Kolejnego dnia odwoziła wraz z ojcem Martę na lotnisko. Przez całą drogę prawie nie odzywali się do siebie. Widziała w lusterku, jak matka ciągle sięga po chusteczkę i wyciera oczy i nos. W pewnej chwili ich wzrok spotkał się.

– Nabawiłam się kataru. Klimat londyński najwyraźniej mi nie służy. – Z zażenowaniem schowała chusteczkę do kieszeni.

– Czyli nie będziesz miło wspominała pobytu tutaj? Wszyscy nagle zmywacie się, zostawiając mnie samą. Macie mnie dosyć! Macie mnie w dupie!

Jej niespodziewany sarkazm i nagły wybuch złości zadziwił ją samą. Już otworzyła usta, aby prosić o wybaczenie, ale matka ją uprzedziła, wybuchając płaczem.

– To był mój najwspanialszy pobyt tutaj. Serce mi pęka na samą myśl, że za godzinę muszę pożegnać się z tobą. Tereniu, kochanie moje, obiecuj mi, że po wyjeździe Henry’ego będziesz nas odwiedzać przynajmniej raz w

miesiącu. To jest przecież tak blisko...

– Powiedz mi, skoro jest tak blisko, jak często odwiedziłaś nas, mnie tutaj? Mogłabym twoje odwiedziny policzyć na palcach jednej ręki. A teraz żądasz ode mnie, abym odwiedzała was raz w miesiącu. To nie jest fair.

– Dzięki tobie zmieniliśmy się wszyscy. Nie osądzaj nas surowo. Czasu nie cofniemy, ale mamy szansę na lepsze życie. Życie w szacunku i miłości, które ci na wiele lat odebraliśmy. Musisz nam wybaczyć. Wynagrodzę ci twoje rozczarowanie. Zrobimy dla ciebie wszystko.

Ojciec zatrzymał się na parkingu, odwrócił się w jej stronę i chciał złapać ją za rękę, ale cofnęła ją.

– Wynagrodzisz jak zwykle swoimi pieniędzmi. One nie zastąpią mi was, czy ty tego nie rozumiesz?

– Co mamy zrobić twoim zdaniem? Zostać w Londynie, abyś była szczęśliwa? Jeżeli tego koniecznie chcesz, to tak zrobimy.

– Idźcie wszyscy do diabła i zostawcie mnie w spokoju, wtedy będę szczęśliwa.

Marta pierwsza wysiadła z samochodu i nową chusteczką wycierała załzawione oczy. Nagły wybuch złości córki zaszokował ich oboje. Aż do wejścia matki na terminal prawie się do siebie nie odzywali. Kiedy Henry żegnał Martę, Teresa bez słowa poszła w stronę butików oglądać biżuterię.

W drodze powrotnej ojciec próbował dociec, jaki był powód niepodobnego do córki zachowania.

– Możesz mi wyjaśnić, co to wszystko znaczy!? Ma to jakiś związek z twoją nową znajomością? Tym lekarzem? Co w ciebie wstąpiło, moja droga?

– Diabeł! Obiecał, że weźmie moją duszę, ale wpierw robi ze mnie innego człowieka, takiego, na jakiego on zasługuje. Złego człowieka! – Zwróciła twarz w jego stronę.

– Czy to znaczy, że muszę się o ciebie martwić? Wyjedź na parę dni z Londynu, odpocznij, nabierz sił. Doktor Hawlett nie będzie miał nic przeciwko temu, abyś później rozpoczęła pracę u niego.

Popatrzył na córkę. Z nieukrywanym zaskoczeniem dostrzegł zmiany w jej wyglądzie. Błada zwykle skóra twarzy nabrała koloru doskonałego make-upu, bez najmniejszych śladów po trądziku. Niebieskie, rozszerzone źrenice upodobniły się do letniego, arktycznego nieba, na firmamencie którego w zorzy zamiast gwiazd tańczyły mikroskopijne, ciemnoczerwone iskierki.

W ostatniej sekundzie zatrzymał auto z piskiem opon na przejściu dla

pieszych, na którym młoda kobieta pchała wózek dziecięcy. Widząc nadjeżdżający pojazd, stanęła jak wryta w szoku. Zderzak samochodu dotknął wózka i przechylił go niebezpiecznie na bok.

Teresa śmiała się i klaskała niczym mała dziewczynka, co chwilę uderzając dłońmi po kolanach.

Nazajutrz rozpoczęła pierwszą, samodzielną pracę. Trzy próbne miesiące. Trzy przełomowe miesiące, które – choć jeszcze nie zdawała sobie sprawy – odmieniły jej życie o sto osiemdziesiąt stopni.

Cały dzień zszedł jej na telefonowaniu i ustalaniu terminów na następne dwa tygodnie. Zanim tłumy labilnych i zestresowanych ludzi szturmem napłyną do jej gabinetu, postanowiła odwiedzić swoich przyszłych pacjentów w ich domach. Doktor Hawlett, widząc zaangażowanie asystentki, podsunął jej następny stos akt. Były to tym razem, z czego niezmiernie się ucieszyła, sprawy rodzinne. Małżeństwa szukające pomocy, takie, których więź przestała funkcjonować z różnych powodów. Jej zadaniem było znaleźć i zaproponować ich rozwiązanie. Głównym powodem rozpadów małżeństw była zdrada. Sklejenie takiej rysy, zdaniem jej przełożonego, było wręcz niemożliwe. Prędzej czy później zdradzona osoba wypomni taki uczynek i konflikt zaczyna eskalować na nowo. Wielu z nich działa w odwecie za wyrządzoną krzywdę i korzysta z pierwszej lepszej możliwości do znalezienia innego partnera. W takiej sytuacji najlepszym rozwiązaniem jest polecenie dobrego adwokata od spraw rozwodowych – zasugerował i położył parę wizytówek na jej biurku.

Następną grupą małżeństw z problemami były pary, których charaktery nie pozwalały na jakąkolwiek więź społeczną, czyli z reguły dwa alfa homo sapiens, które narzucały swoją wolę drugiemu partnerowi, co z czasem również, jak w przypadku zdrady, eskalowało i powodowało rozpad związku. Przekonanie jednego z nich do ugięcia się i poddania bywało trudne, ale nie niemożliwe. Zdarzały się małżeństwa, które za wszelką cenę chciały ratować związek i ustalały zakres obowiązków, do których drugi z partnerów się nie mieszał. Jej zadaniem miała być pomoc w rozdzieleniu tych zadań.

Najliczniejszą grupę stanowiły związki mające problemy finansowe. Codzienne konflikty z tego powodu eskalowały szybko i stawały się przyczyną alkoholizmu, rękoczynów i nieuchronnego rozpadu małżeństwa. Ludzie ci nie szukali pomocy psychologa z prostej przyczyny: nie było ich na to stać.

Do spraw rodzinnych należały również problemy wychowawcze. Okres pokwitania utkwił jej doskonale w pamięci. Wiedziała, jak trudno jest niektórym rodzicom przetrwać ten czas. Rozmowa z obcą osobą, jaką jest psycholog, staje się w wielu przypadkach jedynym rozwiązaniem.

Teresa z zadowoleniem spojrzała na spis terminów. Codziennie czekało na nią trzy do pięciu spotkań. Parę osób zdecydowało się na spotkanie w przychodni doktora Hawletta w jej gabinecie, ale większość z nich musiała niestety odwiedzić w domu. Nazajutrz miała trzy spotkania w różnych częściach miasta.

Same dojazdy metrem zajmą mi mnóstwo czasu – myślała. Wieczorem, z czego się najbardziej cieszyła, odwiedzi ją Steven. Na samo jego wspomnienie poczuła znowu przyjemne ciepło rozchodzące się od łona aż po piersi.

Zaproponowała mu kolację, którą sama przygotowuje. Gotowanie nie było jej mocną stroną, ale chciała mu zaimponować za wszelką cenę. Znalazła przepis na smażonego łososa, do tego włoski makaron oraz czerwone wino.

Zanim opuściła gabinet, doktor Hawlett zaproponował jej jeszcze uczestnictwo w rozmowie z jego pacjentką, na co chętnie się zgodziła.

Mrs York miała sześćdziesiąt dwa lata i była prawdziwą lady. Biżuteria wysadzana diamentami, jaką nosiła, ważyła co najmniej pół kilograma i była warta więcej, niż niektórzy ludzie zarabiali przez całe życie.

Doktor Hawlett, zanim zaprosił ją do środka, przywitał ją przed swoim gabinetem pocałunkiem w rękę. Na widok Teresy Mrs York przystanęła na parę sekund i obrzuciła ją zaciekawionym i jednocześnie wyniosłym spojrzeniem. Z obecności jeszcze jednej kobiety w gabinecie jej ulubionego „uzdrowiciela duszy”, jak nazywała doktora Hawletta, nie była zbyt zadowolona, czego nie starała się ukryć.

– Czyżby ta młoda osoba stanowiła rozwiązanie moich problemów? Jeżeli tak, to jest pan jasnowidzem, doktorze. Bo ja właśnie potrzebuję nowej sprzątaczkii. Muszę panu wszystko po kolei opowiedzieć. Pilnie potrzebuję pana doktora porady w tej sprawie.

Usiadła przed biurkiem, kładąc dłonie na blacie i demonstrując ogromne pierścienie.

– Ta młoda dama, którą chętnie teraz pani przedstawię, jest moją asystentką. Doktor Teresa Krammer. Poprosiłem ją o uczestnictwo w tej rozmowie, wyjaśniając, jak ważna jest dla mnie pani wizyta, Mrs York.

Razem z panią doktor Krammer postaramy się znaleźć jak najlepsze rozwiązanie pani problemów.

Teresa zrobiła dwa kroki w stronę lady York i podała jej rękę.

– Miło mi panią poznać, Mrs York.

– Mnie również. – Podała Teresie rękę, nie zadając sobie trudu odwrócenia głowy w jej stronę. – A propos nowej sprzątaczkii – zwróciła się do doktora Hawletta – musi pan wiedzieć, że sytuacja stała się nie do wytrzymania. Ja chyba przez nią zwariuję. Ta dziwka, przepraszam za wyrażenie, ale to prawda, pozwala sobie na wszystko. Pracuje u nas od sześciu miesięcy. Nie dosyć, że jest niedokładna – muszę po niej wszystko poprawiać, nie potrafi nawet dokładnie położyć poduszki na właściwym miejscu – to zaczęła zalecać się do mojego męża. Widziałam na własne oczy, co ta gówniara wyprawia.

– Przepraszam, że przerwę: mogę zaproponować coś do picia, Mrs York? Herbatę, kawę?

– Szklankę wody. Dziękuję.

Teresa wstała, podeszła do karafki z wodą, nalała do szklanki i postawiła ją na biurku.

– Na czym to ja skończyłam?

– Chciała nam pani właśnie opowiedzieć, co ta gówniara wyprawia.

– No właśnie! Najlepiej jak zacznę od samego początku. Otóż... – Przerwała na chwilę, by poprawić naszyjnik. Skóra na szyi i policzkach pani York zrobiła się czerwona, co wskazywało na podenerwowanie. – To było we wtorek w zeszłym tygodniu. Jak zwykle we wtorki od dziesięciu lat spotykam się z lady Carrington na lunchu. W połowie drogi zauważyłam, że zapomniałam mojej karty kredytowej, kazałam więc kierowcy wrócić do domu. Weszłam do salonu i zobaczyłam... – Trzęsącą ręką podniosła szklankę do ust i pociągnęła dwa głębokie łyki wody. – Ta ladacznica stała schylona przed otwartą witryną i wymachiwała piórami, rozdmuchując kurz po całym pokoju. Tyle razy mówiłam głupiej, że ma używać do ścierania kurzu wilgotnej szmatki, a nie strusich piór pamiętających moją prababcie. Tak mocno nachyliła się do przodu, że krótka spódniczka odsłoniła jej grzeszny, chudy tyłek, ukazując majtki. Mało tego: z boku stał mój niegodziwy małżonek i głąskał, jak gdyby nigdy nic, jej pośladki. Stałam chwilę jak wryta, nie mogąc wydusić z siebie słowa, i o mały włos nie dostałam zawału serca. Ale jak ta ladacznica posunęła się jeszcze dalej i

pozwoliła mu wsunąć dłoń pod jej majtki, przerwałam tę scenę i kazałam jej natychmiast wynieść się z mojego domu. Myśli pan, panie doktorze, że to zrobiła? Skądże znowu! Powiedziała, że jak ją wyrzucę, poda mnie do sądu i zrobi z tego skandal na całą Anglię. Wszystkie gazety nas obsmarują tak, że będziemy musieli ze wstydu wyprowadzić się za granicę. Nie wiem, co mam zrobić? Ja chyba przez nią oszaleję!

– Przede wszystkim proszę się uspokoić. – Doktor Hawlett wziął jej rękę w swoje dłonie. – Czy wydarzyło się coś, czym pani pokojówka mogłaby państwa szantażować? Rozmawiała pani z mężem, jak daleko posunął się... No wie pani, może to nie był pierwszy taki przypadek?

– Tak, pytałam go.

– I co?

– Milczy jak grób. Ani słowa nie powiedział. Nic, nic, nic! Co ja mam zrobić? Tamta jest prawie czterdzieści lat młodsza ode mnie... i na dodatek ładna. Stara łodyga nie może konkurować z kwiatkiem róży. – Po jej pulchnych policzkach stoczyły się dwie krople łez.

– Nie ukrywam, że sytuacja nie jest łatwa. Rozwiązanie będzie trudne, dopóki pani mąż nie zgodzi się na rozmowę.

– Otóż to. Od tamtego czasu nie zamienił ze mną słowa.

– A co z pokojówką?

– Wysłał ją zaraz na drugi dzień na urlop. Nie zdążyłam z nią porozmawiać.

– Hm... Obawiam się, że na razie zadbamy tylko o pani zdrowie. Prędeż czy później mąż zacznie rozmawiać i miejmy nadzieję, że sytuacja wyjaśni się po pani myśli. Proszę mu wytłumaczyć, że jego postępowanie jest niewłaściwe. Dobro i opinia rodziny mają priorytet. Przepiszę pani coś na uspokojenie. Proszę się u nas znowu zjawić, najlepiej jak najszybciej. Nie możemy dopuścić do tego, aby nabawiła się pani z tego powodu depresji. Lekarstwa, które pani przepiszę, pomogą pani odnaleźć wewnętrzny spokój, tak potrzebny w tej sytuacji. – Doktor wypisał receptę i podał lady York. – Krople proszę używać trzy razy dziennie. Dwadzieścia, maksymalnie trzydzieści kropli na łyżeczkę lub do herbaty.

Wstał, chcąc odprowadzić Mrs York do wyjścia.

– Pozwoli pan, doktorze, że ja odprowadzę Mrs York do wyjścia?

Nie czekając na zgodę, Teresa stanęła obok kobiety. Trochę zaskoczony propozycją swojej asystentki skinął potakująco głową.

Przeszły w milczeniu przez korytarz i stanęły przy windzie. Teresa nie nacisnęła guzika, tylko odwróciła się twarzą w stronę Mrs York, złapała ją za lewy łokieć i odwróciła w swoją stronę. Ta, zdziwiona reakcją asystentki doktora Hawletta, nie zdążyła zaprotestować. Kobiety stanęły twarzą w twarz, patrząc sobie w oczy.

– Chce pani dobrej rady? Rady, która raz na zawsze rozwiąże drążące panią troski i zmartwienia?

Mrs York nie mogła oderwać wzroku od oczu Teresy. Z lekko uchylonymi ustami wpatrywała się w nie niczym zahipnotyzowana. W przejrzystym błękitnie żrenic zobaczyła miliony iskierok podobnych do drobnych kryształów tańczących na firmamencie wszechświata, odbijających światło padające na nie z niewidzialnego źródła.

Skinęła potakująco, nie wypowiadając ani słowa.

Teresa nachyliła się do jej ucha i wyszeptała tylko jedno zdanie, po czym puściła ramię kobiety. Odwróciła się w stronę windy i nacisnęła przycisk. Drzwi otworzyły się w tej samej sekundzie. Mrs York zrobiła krok do przodu i zatrzymała się.

– I tak też zrobię. Dziękuję pani, pani doktor Krammer.

Ze zdenerwowaniem spoglądała na zegarek.

Dwie minuty po dziewiętnastej, a jego jeszcze nie ma. Może coś się stało? Nagła operacja lub musiał przejąć dyżur kolegi, który zachorował?

Po raz czwarty sprawdzała, czy wino ma odpowiednią temperaturę. Po raz dziesiąty poprawiała sukienkę. Dwa razy zakładała i ściągała naszyjnik z pereł. Przymierzyła wszystkie buty, zanim w końcu zdecydowała się na jedną parę.

Znowu zerknęła na zegarek.

To już trzy minuty po...

W tej samej sekundzie rozbrzmiał dzwonek. Biegiem puściła się do drzwi. Złośliwość rzeczy martwych ma to do siebie, że nigdy nie wiadomo, kiedy się ujawni. Wyciągając rękę w kierunku domofonu, przekrzywiła lewą stopę i runęła jak długa na podłogę. Z ulgą stwierdziła, że nic jej się nie stało. Wstając, podniosła wpięraw prawą nogę do góry. W tym momencie jej obcisła sukienka rozerwała się na rozcięciu aż do biodra. Podeszła do lustra i ze zgrozą przyglądała się nowej kreacji. Na przebranie się było za późno. Wyskubała tylko parę wystających nitek, zanim wpuściła do środka Stevena, który w tym czasie jeszcze parę razy dawał znać o sobie, naciskając coraz

dłużej przycisk dzwonka.

– Już myślałem, że zapomniałaś o naszym spotkaniu lub coś się stało.

Przyjrzał jej się przez chwilę uważnie, zanim ją pocałował.

– Nic się nie stało. Trochę byłem zajęta w kuchni. Sorry, że musiałeś czekać – skłamała.

Weszli do pokoju. Teresa podała mu otwieracz do wina i zapaliła świece na stole.

– Nalej wina, a ja podam jedzenie.

– W czymś ci pomóc?

– Tak. Jak się uporasz z butelką, włącz muzykę. Możesz wybrać coś, co ci się podoba.

– A co ty lubisz?

– Ja lubię wszystko. W końcu to są moje CD. Zauważyłeś moją nową kreację? – Teresa odsunęła się od stołu i zrobiła obrót na czubkach butów niczym baletnica. Spódniczka na głębokim rozcięciu podniosła się przy tym do góry, ukazując nagie biodro.

Steven o mało nie upuścił butelki z rąk.

– W sobotę byłem z kopciuszkiem w teatrze, dzisiaj mam księżniczkę przed sobą. Spałem z uroczą, pełną temperamentu dziewczyną, która w ciągu dwóch dni zamieniła się w Kleopatę.

– Nie czaruj! Kleopatra miała czarne włosy i żyła sześćdziesiąt lat przed narodzeniem Chrystusa. Miała pewnie nie więcej jak metr pięćdziesiąt wzrostu, co na owe czasy było normalne. Musisz porównać mnie z kimś innym.

– Nie mam cię z kim porównać. Nie widziałem nikogo, kto wygląda tak jak ty. Jak można przez dwa dni tak się zmienić?! Do diabła!

– Trafiłeś w dziesiątkę! Jestem diabłem żeńskiego rodzaju.

Steven nalał wino do kieliszków, wstał i podał jej szkło.

– Chcę cię teraz, przed jedzeniem, na przekąskę. Ich niech mnie żeński diabeł weźmie!

Teresa zamoczyła tylko usta i pokręciła przecząco głową.

– Najpierw kolacja, a później, jak wszystko grzecznie zjesz, zobaczymy.

Postawiła wino na stole i poszła do kuchni.

Jedzenie bardzo mu smakowało. Nie musiał udawać, że się nim zachwyca. Teresa zjadła ledwie połowę swojej porcji, a on już wciągał ustami ostatnią nitkę makaronu.

– Gotowy! To było wspaniałe! Łosoś rozpuszczał się w ustach. Kto cię tak nauczył przyrządzać jedzenie?

– Moja matka gotuje wyśmienicie. Trochę jeszcze pamiętam z dzieciństwa. Często stałyśmy obie przy piecu kuchennym i pokazywała mi, jak się gotuje, albo wypróbowałyśmy nowe potrawy z książki kucharskiej. Pewno nigdy jej nie dorównam, ale cieszę się, że ci smakowało.

– Za chwilę deser?

Podniósł lampkę do góry w jej stronę. Stuknęli się szklami.

– Deser tak, ale nie taki, o jakim myślisz. Lubisz lody? Przygotowałam waniliowe z gorącymi wiśniami.

– Uwielbiam!

Teresa przez chwilę zastanawiała się, zanim znowu podjęła rozmowę. Brakowało jej Cindy, z którą godzinami paplały o problemach, miłostkach lub o całym bożym świecie. Teraz został jej tylko Steven. Jeżeli jeszcze on ją opuści, nie pozostanie jej nic innego, jak tylko położyć się na sofie u swojego szefa.

– Mój ojciec wyjeżdża z Londynu... na zawsze – powiedziała cicho.

Steven podniósł głowę znad talerza. Pozostało na nim odrobinę sosu, który próbował bezskutecznie zebrać widelcem. Na ten widok Teresa wstała bez słowa, wzięła jego talerz i wyszła do kuchni. Wróciła z nową porcją i postawiła przed nim na stole. Uśmiechnął się do niej, dziękując.

– Mów dalej, proszę. Coś się stało, że zdecydował się na ten krok?

– Nie. A właściwie tak. Moja wina. Sama już nie wiem...

– Najlepiej zacznij od początku. Mamy przed sobą cały wieczór.

Nie patrzył na nią, nawijając makaron na widelec.

– Chciałam tak bardzo, aby moi rodzice znowu byli razem. Wymyśliłam to spotkanie z okazji ukończenia moich studiów. Wiedziałam... przeczuwałam, że mi nie odmówią i zjawią się oboje, a wtedy ich uczucia powrócą i znowu będą razem. Marzyłam o tym od dziecka. Śniłam, że kiedyś znowu będziemy jedną rodziną, ale nie sądziłam, że to potoczy się w takim kierunku.

– Twój ojciec wyjeżdża do twojej matki?

Tym razem podniósł głowę znad talerza i spoglądał jej w oczy.

– Tak. Do Polski. Teraz w ogóle ich nie będę widywać. Wiem, co mi powiesz... Nie jestem małym dzieckiem i sama dam sobie radę. Ale tak nie jest. Ojciec zawsze był w pobliżu, na każde moje zawołanie, o każdej porze.

Gdy go potrzebowałam, zjawiał się natychmiast. Teraz nie wiem, co zrobić. Z jednej strony cieszę się, że znowu będą razem, ale z drugiej... Matka nie chce tutaj żyć, ojciec chce opuścić Londyn. Uważa, że to nie jest miasto dla takiego starucha jak on. On wcale nie jest stary!

– Kiedy ma zamiar wyjechać?

– Za dwa tygodnie. Możesz sobie to wyobrazić, za dwa tygodnie! Spędzili ze sobą zaledwie parę dni i on rzuca wszystko. Całe swoje życie. Mnie zostawia tutaj i tak po prostu wyjeżdża!

– Nie przesadzasz odrobinę? Polska to nie koniec świata. Zechcesz, to odwiedzisz ich w każdej chwili.

– Mówisz jak oni. – Z nadąsaną miną wbijała widelec w kawałek ryby, z którego zrobiła się już papka. – Dostanę jego mieszkanie w Chelsea.

– W Chelsea? – powtórzył z niedowierzaniem, gwizdząc przy tym cicho.

– Apartament, prawie sto metrów kwadratowych.

– Czy to znaczy, że siedzę naprzeciwko milionerki? Taki apartament w Chelsea kosztuje ponad milion funtów.

– Dokładnie to dwa.

Steven znowu zagwizdał cicho.

– No to masz przynajmniej na otarcie łez. – Podniósł kieliszek z winem do góry. – Za twoje dwa miliony. Za twoje zdrowie!

– Za nasze zdrowie. – Teresa wzięła dwa małe łyki i wstała od stołu. – Teraz obiecany deser.

Steven podniósł się również.

– Mówiłam o lodach. Siadaj.

Wyszła ponownie do kuchni.

– Muszę ci coś wyznać – zaczął, nie podnosząc głowy znad salaterki z lodami. – Cindy zainicjowała to wszystko... to nasze spotkanie. Na pozór miało ono wyglądać spontanicznie, w rzeczywistości zaplanowała je szczegółowo. Nie to, żebym cokolwiek żałował lub żebyś o mnie źle myślała... Chcę tylko powiedzieć ci prawdę. Bilety do teatru kupiłem ja. Mówiła, że uwielbiasz teatr. Spotykałem się z nią często jeszcze przed wyjazdem do Afryki. Bardzo ją lubię jako moją kuzynkę i... nic więcej. Czasem miałem jednak wrażenie, że ona chciała... że oczekiwała czegoś więcej niż rodzinnej, przyjacielskiej więzi. Dałem jej wyraźnie do zrozumienia, że nie chcę iść z nią do łóżka. Sądzę, że była tym bardzo rozczarowana, może nawet rozgniewana. Pokłóciliśmy się wtedy ze sobą. Nie

spotykaliśmy się więcej od tego czasu. Zdziwiłem się więc bardzo, gdy zadzwoniła do mnie po moim powrocie z Afryki. Prosiła o spotkanie. Cały czas opowiadała tylko o tobie, chciała, abym cię poznał. Cholernie nalegała, żebym przyszedł. W końcu zgodziłem się, bo chciałem, żeby zostawiła mnie w spokoju.

– Co mam ci powiedzieć? Podziękować za łaskę, jaka mnie z twojej strony spotkała? – Teresa domyślała się, że wszystko to zaplanowała Cindy, ale nagła szczerość Stevena nie wpłynęła pozytywnie na jej humor. Zdała sobie sprawę, że stała się tylko narzędziem w jej rękach. Podrzuciła mu ją niczym ochłap mięsa na pożarcie lwu. Bliska wybuchu złości już miała ochotę zakończyć ten wieczór, wyrzucając go za drzwi.

Steven, nadal wpatrzony w talerzyk, nie podnosił głowy do góry. W chwili, w której łyżeczką gonił po talerzyku wiśnię, zadzwonił jego telefon.

– Sorry. – Sięgnął do kieszeni marynarki. – Słucham.... Tak, rozumiem... Bardzo pilne? Postaram się... Dziesięć minut. Przykro mi. Tak bardzo cię przepraszam. Nagły wypadek. Wszyscy lekarze są zajęci, potrzebują mnie natychmiast. Dziękuję za wspaniałą kolację.

Chciał ją pocałować w usta, ale Teresa odwróciła głowę w bok. Cały czar wieczoru prysnął niczym bańka mydlana. Przyjemne uczucie ciepła płynące z jej łona, towarzyszące jej od rana, zamieniło się w lodowate zimno.

Posprzątała ze stołu, rozebrała się i wzięła do sypialni akta pacjentów, których miała jutro odwiedzić. Przeglądała je po raz wtóry i co chwilę osuszała chusteczką nos i oczy. W chwili, kiedy chciała wyłączyć światło, zabrzmiał dzwonek. Wstała i podeszła do okna w kuchni. Przed drzwiami do klatki schodowej, w strugach deszczu stał Steven i spoglądał w jej stronę. Zasłoniła szybko firankę. Zrobiła dwa kroki do tyłu. Jej serce biło jak zwariowane. Przez moment stała nieruchomo. Dzwonek przy drzwiach rozbrzmiał na nowo, tym razem dłużej i głośniejsze niż za pierwszym razem. Podeszła do drzwi i nacisnęła przycisk w domofonie.

Rano, wychodząc z domu, zaglądnęła jeszcze raz do sypialni. Steven spał z głową na jej poduszce. Wyciągnęła z szuflady zapasowy klucz od mieszkania i położyła go na stole w kuchni. Cicho zamknęła drzwi za sobą.

Doktor Hawlett stał w drzwiach swojego gabinetu z filiżanką kawy w ręce, tak jakby oczekiwał na nią.

– Dlaczego, moja droga, nie skorzystasz z windy? Co prawda to tylko trzy piętra, ale wygodniej i szybciej. Z tą myślą chyba instalują te urządzenia, by

ułatwić nam życie.

– Traktuję chodzenie po schodach jak poranną gimnastykę. Trochę ruchu mi nie zaszkodzi – skłamała.

Od rana sama myśl o tym, że ma wsiąść do zamkniętej klatki bez okien, przerażała ją do tego stopnia, że ręce jej drżały, a zimny pot występował na czoło. Klaustrofobia! Miała do czynienia z ludźmi dotkniętymi tą dolegliwością podczas praktyk odbywanych w czasie studiów. Nigdy nawet by jej do głowy nie przyszło, że sama musi postawić sobie taką diagnozę.

Codzienna jazda metrem sprawiała jej przyjemność. Z zaciekawieniem obserwowała pasażerów. Czasami zamieniała z nimi parę słów, żartowała lub słuchała narzekania na rząd, nieporządek lub na coraz liczniej napływających do Anglii imigrantów. Tego ranka jednak z trudem postawiła nogę na stopniu wagonu. Do jej uszu nie dochodziła rozmowa pasażerów. Jedynym dźwiękiem, jaki rejestrowała, był szum pędzących wagonów. Wmawiała sobie, że jest to tylko krótkotrwała depresja spowodowana burzliwymi wydarzeniami ostatnich dni. Nie chciała uwierzyć w sen, w marę, jaką miała przed oczami. To coś, nierealne i absurdalne, zdawało się posiadać władzę nad nią, nad jej postępowaniem, nad jej życiem. Dyktowało jej warunki, które bez sprzeciwu przyjmowała, tak jak nagły wybuch złości lub napad śmiechu w samochodzie ojca.

Tej nocy straszna zjawą z jej snu stanęła znowu przez sekundę przed jej oczami. Ze strachu nie otworzyła ich. Zaciskała je tak mocno, jak tylko potrafiła, ale on nie zniknął. Wyszeptał coś bardzo cicho, tak cicho, że nie była w stanie usłyszeć, ale z ruchu jego ust wyczytała dwa słowa: „wspaniała dziewczyna”. Po czym zniknął błyskawicznie. Rano nie pamiętała tego wydarzenia, dopiero teraz, gdy stała przed swoim szefem, sen powrócił znowu do jej świadomości.

– Wejdz do środka na filiżankę kawy. – Skinął zapraszająco ręką. – Masz chyba jeszcze trochę czasu?

– Tak.

Na chwilę zostawił ją samą, po czym wrócił z filiżanką pachnącej kawy, którą postawił przed nią na swoim biurku.

– Mogę ci w czymś pomóc, zanim wyruszysz leczyć zbolale dusze naszych pacjentów. – Zaakcentował słowo „naszych”, dając jeszcze raz do zrozumienia, że traktuje ją jak swojego partnera. Przyglądał jej się przy tym uważnie.

– Dzisiaj... – Teresa otworzyła usta, ale przerwał jej w pół słowa.

– Z reguły nie przyglądam się młodym kobietom, nie ten wiek, poza tym dzisiaj można szybko być posądzonym o molestowanie seksualne, więc... Jednym słowem... co chciałem powiedzieć... z trudem cię poznaję! Nie myślałaś o karierze modelki? To komplement, moja droga. Strzeż się złych mężczyzn i uważaj na siebie. W metrze można natrafić na wielu różnych typów, zwłaszcza wieczorem. Masz samochód? Nie zawsze szybciej, ale bez wątpienia wygodniej i bezpieczniej.

– Nie, a właściwie tak. Ojciec chce mi podarować swoje auto.

– Ty nie chcesz?

– Nie zastanawiałam się nad tym, ale teraz, kiedy pan doktor o tym mówi, sądzę, że ma pan rację. Pomyślała ze zgrozą o zatłoczonym metrze.

– Skoro jedną sprawę mamy z głowy, powiedz mi, co ci leży na serduszku?

– Dzisiaj odwiedzę trzech pana pacjentów. – Podała mu kartkę z nazwiskami i adresami. – Może mi pan doktor coś o nich powiedzieć, coś, co być może ominął pan w swoich aktach... Osobiste wrażenia et cetera.

– Pani Nilsen. Poczciwa, starsza pani załamała się po śmierci męża. Wcale nie tak dawno od niej odszedł. Jestem przekonany, że warto ją odwiedzić i zobaczyć, w jakim stanie psychicznym się znajduje. Przepisałem jej środki antydepresyjne...

– Tak, wiem, to jest odnotowane w aktach.

– Pani Oldborn. Początki demencji. Poleciałem skontaktować się z neurologiem. Miała zgłosić się do mnie ponownie w zeszłym miesiącu.

– Zapomniała – dodała Teresa.

Oboje uśmiechnęli się.

– Tom McWinhorst. Ma za sobą dwie kuracje odwykowe. Alkohol, narkotyki. Pracuje jako broker na giełdzie. Słaby psychicznie, labilny. Wydaje mi się, że wybrał nieodpowiedni zawód. Żona, dwoje małych dzieci. Rozmawiałaś z nim?

– Tak. Sprawiał sympatyczne wrażenie. Zgodził się chętnie na rozmowę.

Przez parę następnych minut rozmawiali przede wszystkim o pogodzie i polityce, która ją w ogóle nie interesowała. Zgadzała się we wszystkim z opinią doktora, który szybko zorientował się, że jego rozmówczyni nie ma najmniejszego pojęcia, o czym on mówi.

Weszła do swojego gabinetu i stanęła jak wryta. Pod pustą ścianą stała

skórzana sofa, bardzo podobna do tej, jaką miał doktor Hawlett w swoim gabinecie. Obok niej stało wygodne krzesło z podłokietnikami. Odwróciła się do drzwi. Stał w nich jej szef z aktami pacjenta.

– Dzisiaj o piątej przyjmujesz tutaj swojego pierwszego pacjenta. – Podał jej teczkę. – I nie musisz dziękować. Coś mi po prostu wypadło. Powodzenia.

Oglądała nowe wyposażenie gabinetu. Dotknęła skóry na sofie, po czym położyła się na niej i zamknęła oczy.

Tak, pani doktor, od czasu wypadku nie mogę spać, trapią mnie wyrzuty sumienia. Za każdym razem, jak wsiadam do samochodu, widzę przed sobą tę biedną kurę, z której w następnej sekundzie zostaje kupa pierza na asfalcie. Czy może mi pani doktor pomóc i pozbawić mnie tych koszmarów? Tak bardzo chcę być znowu taka sama jak przed tym strasznym wypadkiem.

Ze strachem otworzyła oczy. Zdawało jej się, że zasnęła. Wyciągnęła z torebki telefon. Steven przesłał jej wiadomość.

„Zobaczymy się dzisiaj wieczorem? Oddam ci klucz”.

Przez chwilę zastanawiała się, po czym odpisała mu:

„Jest twój. Czekam”.

Wyszukała numer telefonu do ojca. Henry odebrał dopiero po dłuższej chwili.

Jak zwykle szuka po całym mieszkaniu swojej komórki.

– Co byś powiedział, gdybym cię teraz odwiedziła na chwilę?

– Powiedziałbym: przychodź!

– Za... – popatrzyła na zegarek – dwadzieścia minut.

– Kawa czy herbata? Zjesz ze mną śniadanie?

– Herbata... i bardzo chętnie.

Przejście na piechotę zajęło jej nieco więcej czasu. Weszła na pierwsze piętro nieco zdyszana. W mieszkaniu ojca wszędzie stały kartony, do których pakował swoje rzeczy.

– Jak matka zobaczy cię z tymi tobołami, to dostanie zawału serca. – Roześmiała się.

– Nie masz racji. Chodź, pokażę ci coś.

W kuchni na stole, gdzie stało przygotowane śniadanie, położył tablet.

– Co powiesz o tym?

Teresa zobaczyła nieduży dom ze szpiczastym dachem na tle malowniczego krajobrazu.

– Zobacz inne zdjęcia. – Ojciec pokazał następny obraz.

- Dom jest umeblowany. Mieszka tam ktoś?
- Przejmujemy tak, jak stoi, ze wszystkim. Parę kilometrów od Zakopanego. Co na to powiesz?
- Wygląda idyllicznie.
- Marta zarezerwowała go do mojego przyjazdu.
- Bardzo mądrze, w końcu ty będziesz finansował zakup. – Popatrzyła mu w oczy.
- Tak, oczywiście. Twoją matkę nie stać na taki dom. Dla mnie cena jest przystępna. Nie masz chyba nic przeciwko?
- Zrobisz, tato, jak uważasz. – Pocałowała go w policzek. – Chcę abyś... abyście byli szczęśliwi. Miała nadzieję, że ojciec nie podejmie rozmowy na temat jej zachowania w czasie ich ostatniego spotkania.
- Jest jakiś konkretny powód twojej niespodziewanej wizyty? – Ojciec popatrzył na nią uważnie.
- Chciałam cię po prostu zobaczyć. Dzisiaj mam moje pierwsze spotkania z pacjentami. Do pierwszej wizyty zostało mi jeszcze – popatrzyła na zegarek – około półtorej godziny. Przy okazji...
- A więc jednak jest okazja. – Henry uśmiechnął się
- No tak. Mówiłeś, że zostawisz mi samochód. Ta propozycja jest nadal aktualna?
- Henry wstał i wyszedł do pokoju. Po małej chwili wrócił, trzymając w ręku kluczyki i dokumenty auta.
- Mówiłem również, że zostawię ci to mieszkanie. Nic się nie zmieniło. – Położył przed nią klucze i dokumenty. – Samochód możesz wziąć od razu, ja będę korzystał z taksówek. Na mieszkanie musisz poczekać do mojego wyjazdu. Wylatuję trzeciego grudnia. Te rzeczy – wskazał głową kartony – zabiorą pod koniec tego tygodnia. Musisz mi coś obiecać. – Położył rękę na jej dłoni. – Chcemy, abyś na święta do nas przyjechała. Obiecujesz?
- A gdybym jeszcze kogoś z sobą wzięła?
- Czyżby...? Masz na myśli Cindy czy też tego doktoraka-rzeźnika, z którym byłaś umówiona?
- Cindy nie daje znaku życia, a Steven nie kroi, tylko usypia.
- To tym bardziej uważaj. Przyrowadź go w sobotę na herbatę. Możemy później razem gdzieś wyskoczyć na kolację. Co ty na to?
- Świetny pomysł. Porozmawiam z nim. – Ucieszyła się z propozycji ojca. Po śniadaniu ojciec odprowadził ją do garażu pod budynkiem, gdzie mogli

parkować samochody wyłącznie właściciele mieszkań. Teresa wiele razy brała od ojca samochód, zwłaszcza kiedy wyjeżdżał za granicę, lub robiła wypadki z Cindy. Henry wprowadził adresy jej dzisiejszych pacjentów do nawigacji i pokazał, jak ma się nią posługiwać, po czym się pożegnali.

Do domu wróciła o siódmej. Wyszła spod prysznic i stanęła przed zaparowanym lustrem. Z przymkniętymi oczami obmacywała prawą ręką ścianę w poszukiwaniu płaszcza kąpielowego. Nie usłyszała jego kroków. W chwili, w której Steven zasłonił jej od tyłu oczy, o mało nie dostała zawału serca.

– Witaj, kochanie.

Pocałował ją i nałożył na ramiona płaszcz.

– Nie rób tego więcej – odwróciła się do niego – jeżeli nie chcesz, abym umarła ze strachu.

Zaczęli się całować. Steven wziął ją na ręce. Teresa zamknęła oczy i wtuliła twarz w jego szyję. Nie otworzyła ich nawet wtedy, kiedy położył ją na łóżku i zdjął z ramion płaszcz kąpielowy. Rozkoszne, intensywne uczucie ciepła rozpląnęło się znowu spomiędzy jej ud i dotarło aż do serca uderzającego w szalonym tempie.

Leżeli obok siebie, nic nie mówiąc, tym razem to Steven miał zamknięte oczy. Teresa wpatrywała się w jego twarz.

– Miałam cudowny dzień. A jak tobie upłynął?

– Jak setki innych... z pewnym wyjątkiem. Zakończenie wydaje się perfekcyjne.

– Wydaje się czy jest?

– Dzień się jeszcze nie skończył. Ocenię jego finisz jutro. Miałabyś ochotę na pizzę?

– Tak, chętnie. Zamów do niej butelkę czerwonego wina.

Prawie pół godziny upłynęło, zanim zamówienie dotarło z pobliskiej pizzerii.

– Czekanie opłaciło się. Jest świetna! Opowiesz mi teraz, co robiłaś dzisiaj?

Steven nalał wino do kieliszków. Oboje siedzieli nago przy stole w kuchni.

– Rano wzięłam land rovera ojca. Jest sto razy wygodniejszy od metra. Do Polski go nie weźmie, więc teraz jest mój.

– Tam jeżdżą chyba po prawej stronie?

– Tak. Tam, jak również prawie na całym świecie obowiązuje ruch prawostronny, o czym przekonasz się w przyszłym miesiącu osobiście. Mamy zaproszenie na święta do moich rodziców w górach. Pojedziesz? Masz ochotę?

– W święta nie pracuję, a więc dlaczego nie? Chętnie.

– W sobotę idziemy do mojego ojca. Chce, byśmy razem spędzili wieczór i wspólnie zjedli kolację. Co ty na to?

– Oookej. Jak ty chcesz.

– Dlaczego ze wszystkim zgadzasz się ze mną?! Możesz mieć przecież własne zdanie i nie zgodzić się.

– Ja mam własne zdanie. Twój ojciec jest sympatyczny, więc chętnie zjem z nim kolację.

Popatrzył jej w oczy znad pizzy. Przez parę sekund nie mógł oderwać od nich wzroku. Ogniki, które zdawały się rozsiewać swój blask poza tęczęwki, przyciągały, wręcz hipnotyzowały go. Jednocześnie budziły w nim niepokój i strach. Jednak jak szybko pojawiły się, tak szybko zniknęły. Oczy Teresy nabrały znowu normalnego, łagodnego wyrazu. Potrząsnął lekko głową, jakby chciał obudzić się ze snu.

Zaczęła opowiadać mu o swoich spotkaniach z pacjentami. O tym, że na dojazdy do nich straciła ponad dwie godziny, o tym, że ma pierwsze terminy u siebie w gabinecie, że jest dzisiaj szczęśliwa i że może z nim spędzać każdy wieczór aż do końca życia.

Steven nie przerywał jej. Słuchał uważnie wpatrzony w jej twarz. Po chwili skierował wzrok na szyję i przesunął go coraz bardziej w dół. Podziwiał jej nagie ciało. Zdawał sobie powoli sprawę, że to, co na początku miało być nieznaczącym romansem, przeradza się w coś bardziej poważnego. Uzmysłowił sobie, że zależy mu na niej. Czekał, kiedy skończy opowiadać i zapyta go, czy zostanie u niej na noc. Pragnął tego. Nie miał ochoty ubierać się i wychodzić z ciepłego mieszkania.

Spoglądał na nią nadal, trzymając w palcach kawałek zimnej pizzy, kiedy wreszcie zapytała:

– Zostaniesz na noc?

– Tylko, jeśli tego chcesz.

– A ty chcesz?

– Nie mogłem doczekać się tej chwili, kiedy mnie wreszcie o to zapytasz!

– Czy to znaczy, że w ogóle nie słuchałeś tego, o czym mówię?

– Oczywiście, że słuchałem!

W rzeczywistości nie słuchał jej, błędząc myślami po Afryce. Czas spędzony tam powracał do niego nieustannie. Niekiedy śnił o tamtym okresie. O zachodzie słońca na sawannie lub grupce otaczających go dzieciaków, trzymających go nieustannie za rękę. Każdy z nich starał się za wszelką cenę dotknąć jego przerażająco białej w porównaniu z ich własną skóry. W każdym z takich snów Boby nie odstępował go na krok.

Teresa zaproponowała, żeby dokończyli wieczór przed telewizorem, i wzięła ze sobą butelkę z wypitym do połowy winem. Steven zgasił za sobą światło, wychodząc z kuchni.

W czwartek rano weszła do gabinetu swojego szefa na filiżankę kawy. Stało się to ich codziennym rytuałem. Przy okazji omawiali plany na cały dzień. Umościła się w fotelu.

Hawlett siedział za biurkiem z rozłożonym przed sobą „Timesem”, oparty na nim obydwoma łokciami.

– Czytałaś? – Wskazał palcem na krótki artykuł ze zdjęciem.

– Nie. Nie miałam jeszcze na to czasu.

Podał jej do ręki gazetę. Teresa zaczęła czytać na głos.

– Lord York napadnięty i pobity przez anarchistów po zakończeniu posiedzenia Parlamentu. W drodze do domu dwóch uzbrojonych, nieznanymi mężczyzn wyciągnęło na skrzyżowaniu lorda i pobiło go kijami golfowymi. Lord York przebywa w szpitalu. Jego życiu nie zagra...

Przerwał jej telefon, który rozdzwonił się na biurku doktora.

– Doktor Hawlett. – Przez moment słuchał w milczeniu. – Tak. Jest właśnie w moim gabinecie. Mrs York do ciebie – zwrócił się do Teresy i podał jej z pewnym zdziwieniem słuchawkę.

– Słucham, Mrs York.

– Czytałaś dzisiejsze gazety? Wiesz, co się stało?

– Właśnie mam w ręce. Przykro mi bardzo z tego powo...

– Co ty mi tutaj pieprzysz! – przerwała jej. – Musimy koniecznie się dzisiaj zobaczyć. O czwartej odbierze cię Nikolai.

– Jaki Nikolai?

– Mój szofer! Do czwartej. Bye, bye. – Odłożyła słuchawkę.

Teresa przez chwilę patrzyła na Hawletta.

– Chce się ze mną spotkać o czwartej.

– Odbierasz mi pacjentów. Odbierasz mi moich najlepszych pacjentów –

powtórzył, uśmiechając się przy tym.

Dzisiaj miała dwa spotkania z pacjentami na mieście i trzy u siebie w gabinecie.

Ostatnią pacjentką była czterdziestojednoletnia Mrs Kelvins, mająca problemy wychowawcze z szesnastoletnią córką. Znalazła u córki dwie nowe bluzki. Domyśliła się, że je ukradła, gdyż nie stać jej było na ciuchy, które kosztowały ponad dwieście funtów. Zagroziła, że powiadomi policję, jeżeli natychmiast nie odda ich z powrotem.

Teresa doradziła jej, by przekonała córkę do rozmowy z nią. Policja wydała się jej najgorszym rozwiązaniem. Próba zastraszenia córki spowodowałaby odsunięcie się od matki i utratę zaufania do niej.

Mrs Kelvins opuściła gabinet Teresy parę minut po czwartej. Wychodząc z niego, wpadła na mężczyznę stojącego w drzwiach.

Mężczyzna ubrany był w czarny garnitur i białą koszulę z krawatem. Miał około czterdziestu lat i był olbrzymiej postury. Teresa oceniła go na około dwa metry pięć centymetrów wzrostu, gdyż czubek jego głowy wystawał odrobinę ponad futrynę drzwi.

Odsunął się i przepuścił Mrs Kelvins, która z szeroko otwartymi oczami i podziwem malującym się na twarzy powoli przeszła obok, mierząc go od stóp do głowy. Już na korytarzu odwróciła się jeszcze raz w stronę Teresy, podniosła kciuk do góry, dając tym jednoznacznie do zrozumienia, jakie wrażenie wywarł na niej ten olbrzym.

– Mrs York czeka na panią – odezwał się z mocnym, rosyjskim akcentem. Wskazał na zegarek.

– Tak. Jestem gotowa.

Wyłączyła lampkę na biurku i zdjęła torebkę oraz skórzaną kurtkę z wieszaka. Zamknęła za sobą drzwi od gabinetu.

Nikolai, nie pytając o zgodę, wziął od niej kurtkę i pomógł jej się ubrać. Nie miała odwagi sprzeciwić się mu, nie odezwała się również, kiedy stanął przed windą i nacisnął guzik. Teresa czuła się przy nim bezpieczna i na chwilę zapomniała o swojej słabości do małych, zamkniętych pomieszczeń.

Jazda zajęła im prawie czterdzieści minut. Czas umilił jej telewizor umieszczony wewnątrz limuzyny oraz koktajl przygotowany przez Nikolaia.

Samochód zatrzymał się przed wejściem do posiadłości Yorków. Nikolai otworzył jej drzwi i pomógł wysiąść. Stanęła obok limuzyny i przez chwilę podziwiała roztaczający się przed nią widok na wspaniałą ogród, na którego

środku z fontanny wystrzeliwał w górę strumień wody, zamieniając się w ogromny, oświetlony wszystkimi kolorami tęczy parasol. Bodyguard, jakim był bez wątplenia Nikolai, stał również obok niej bez ruchu. Zdawałoby się, że on również podziwia ten niezwykły obraz.

– Jeszcze chwila i wrośnięcie mi tutaj przed wejściem! – Głos Mrs York obudził ich z zamyślenia.

Podbiegła do nich niczym młoda dziewczyna i objęła serdecznie Teresę.

– Wspaniała dziewczyna! – wyszeptała jej do ucha. Po czym odsunęła się na krok od niej i spojrzała Teresie prosto w oczy. Obie, niczym dwie bratnie dusze, zrozumiały się bez słów.

Zmiana, jaka zaszła w wyglądzie Mrs York, od razu uderzyła Teresę. Kobieta wyglądała o wiele młodziej niż na początku tygodnia w gabinecie Hawletta. Miała na sobie dzinsy z przetartym materiałem na kolanach, granatowy sweter z dużym dekoltem, a na stopach buty na płaskim obcasie. Na szyję narzuciła szal w taki sposób, by nie zasłaniał jej dużego, wyeksponowanego biustu.

– Niko – tylko ja go tak nazywam – doradził mi zainstalowanie oświetlenia w fontannie. Czyż to nie jest wspaniałe!? Potrafię godzinę spacerować z nim po ogrodzie – spojrzała z miłością na olbrzyma – i podziwiać ten widok. A teraz wejdźcie do środka, jeszcze mi się tutaj przeziębicie.

Teresa jakoś nie mogła sobie wyobrazić Nikolai'a leżącego z katarem w łóżku. Na widok dłoni Mrs York ściskającej jego rękę dotarło do jej świadomości, jaką rolę odgrywa szofer u jej boku.

Weszli do środka. W salonie czekał na nich przygotowany stół.

– Przyniosę czaj – oznajmił Nikolai i wyszedł z pokoju.

– Muszę ci przyznać, moja droga, że w ciągu zaledwie paru dni moje życie zmieniło się całkowicie. Znowu nabrało sensu, uroku i... nie sądziłam, że zaznam jeszcze raz tej przyjemności... tej przyjemności bycia w ramionach młodego, atrakcyjnego mężczyzny. Jestem realistką i wiem, że nic nie jest wieczne, ale korzystam z tego, co mi pozostało. Za pieniądze można wiele kupić... nawet iluzję szczęścia. Nie interesuje mnie dzisiaj, co jutro powiedzą inni. Wyrzuciłam wszystkich! Dałam im odprawę i wysłałam do diabła. Niko zajmuje się teraz całym tym kramem. Nikt nie płacze się po moim domu. Jeśli czegoś potrzebujemy, zamawiam firmę lub sprzątaczkę. Zrobią swoje i wynoszą się do czorta – jak mówi Niko. Czyż on nie jest wspaniały?!

Dziękuję losowi, że mnie nim obdarzył. Pracuje u nas od roku, ale dopiero teraz odkryłam ten skarb. Dzięki tobie i nim... – przerwała na chwilę.

Do salonu wszedł Nikolai z dzbankiem herbaty w jednej i półmiskiem z ciastem w drugiej ręce.

– Usiądź z nami. – Wskazała mu miejsce obok siebie. – Nie mamy tajemnic, prawda? – Tym razem zwróciła się do Teresy.

– Tak. Nie mamy – odpowiedziała Teresa niepewna, o jakie tajemnice chodzi jej rozmówczyni.

– I to, o czym rozmawiamy, nie opuści tego domu?

– Oczywiście, Mrs York. Potraktuję tę wizytę zawodowo. To, o czym rozmawiam z moimi gośćmi w gabinecie, nie wychodzi poza niego. – Celowo użyła słowa „gość”, a nie „pacjent”, dając tym samym do zrozumienia, jak bardzo ceni jej znajomość.

– Tak, Kathrin. Na mnie możesz przecież liczyć. Zrobię wszystko, co zechcesz. – Mocny głos Nikolaia rozniósł się w salonie.

– O tym wiem, a o tym wszystkim, co sobie życzę, porozmawiamy później. – Roześmiała się i pocałowała go w usta.

Teresa na ten widok doznała uczucia niesmaku. Miała nadzieję, że Mrs York nie zaproponuje jej teraz kawałka ciasta. Mogłoby utkwic jej w gardle.

– Napijmy się teraz po kieliszku cherry. Za nasze spotkanie i... wspólne interesy.

Nikolai bez wstawania od stołu sięgnął po karafkę znajdującą się po przeciwnej stronie i rozlał likier do trzech kryształowych lampek. Wszyscy troje opróżnili szkła do dna. Olbrzym bez pytania napełnił je znowu do pełna.

– U nas to taka tradycja. Szkło nie powinno stać na stole puste.

– Skoro tradycja, to musimy ją podtrzymywać – skomentowała Mrs York.

– Wspaniała posiadłość, Mrs York. Po raz pierwszy jestem w tak cudownym domu. Jak długo pani w nim mieszka?

– Tutaj jestem dla ciebie Kathrin. Skończmy z tym formalizmem. – Podniosła kieliszek w górę. Wypili do dna. Znowu Nikolai uzupełnił je aż po brzeg. – Urodziłam się tutaj. Mój prapradziadek wybudował ten zamek na początku dziewiętnastego wieku. Bo musisz wiedzieć, że to był prawdziwy zamek. W czasie wojny część z niego uległa zniszczeniu i nigdy nie została odbudowana. To, co zostało, przysparza mi wystarczająco wiele pracy i kłopotów. Utrzymanie go kosztuje majątek. A teraz do rzeczy, moja kochana. Gazety wypisują o anarchistach, ale to kompletna bzdura. Niko pomógł mi

zrealizować plan, który mi podsunęłaś. Dwóch typów gotowych na wszystko za parę funtów wybiło mu resztę jego starej, bezużytecznej męskości i roztrzaskało kolana kijami golfowymi. Już nigdy nie obejrzy się za młodą pokojówką... już nigdy nie wstanie o własnych siłach na nogi.

Po poniedziałkowej wizycie u doktora Hawlleta Mrs York rozplakała się w czasie jazdy do domu. Nikolai na ten widok zatrzymał samochód i zaproponował pomoc w rozwiązaniu „problemów rodzinnych”, jak to nazwał wtedy. Kathrin nie zadawała pytań, jakim cudem wpadł na pomysł, że dręczą ją tego rodzaju kłopoty. Spytała po prostu, czy zna kogoś dyskretnego, kto dałby nauczki jej mężowi.

– Jak duża ma być ta nauczka, Mrs York? – zapytał tylko.

– Zrób z niego eunucha i roztrzaskaj mu kolana. Zapłacę, ile zechcesz.

– Pani szczęście jest moim szczęściem. I ono będzie dla mnie największą nagrodą.

We wtorek wieczorem Rosjanin zniknął na parę godzin. W środę rano oznajmił Mrs York, że po posiedzeniu Parlamentu jej mąż nie wróci do domu. W południe Kathrin wyjechała z Nikolaiem oraz ze swoją kuzynką lady Smothby do Bloomsbury, gdzie spędzili prawie cały wieczór. Dokładnie do chwili, w której szofer odebrał telefon i oznajmił im o wypadku, jaki spotkał jej szanownego małżonka.

Dwóch typów zajechało drogę limuzynie lorda, po czym obezwładniło kierowcę i wjechało jego autem do ciemnej uliczki. Tam wyciągnęli przerażonego i błagającego o litość małżonka Mrs York ze środka i rzucili na drogę. Jeden z nich objął prawą ręką, niczym kleszczami, jego szyję. Lewą ręką zamknął mu usta, żeby nie był w stanie wydobyć z siebie głosu. Drugi z napastników ściągnął z niego spodnie, po czym uderzał go kijem golfowym na przemian w kolana i pomiędzy nogi tak długo, aż kości nabrały krystalicznego charakteru, a członek zamienił się w krwawy strzęp ludzkiego ciała.

Skinęła głową w stronę Nikolai. Ten sięgnął ręką do marynarki i wyciągnął ze środkowej kieszeni białą kopertę, którą położył przed Teresą.

– Za dobre rady przywykłam się rewanżować. Nie musisz dziękować. To ja jestem twoją dłużniczką. Gdybyś kiedyś potrzebowała pomocy, możesz na nas liczyć.

– Chętnie pomagam potrzebującym. Na zdrowie! – Olbrzym opróżnił kieliszek, nie oglądając się na kobiety.

– Czyż on nie jest słodki? – Kathrin westchnęła z podziwem.

Wizyta Teresy trwała niecałą godzinę. Podczas niej Mrs York opowiadała jej o całej rodzinie i powinowactwie z rodzinami królewskimi w Europie. Następnie odprowadziła Teresę do limuzyny. Rosjanin otworzył drzwi i stanął z boku.

Zanim Teresa wsiadła do środka, Kathrin objęła ją serdecznie i wyszeptała do ucha:

– On był u mnie! Powiedział... powiedział, że za każdy „dobry” uczynek wynagrodzi mnie odrobiną młodości. – Przejechała wierzchem dłoni po policzkach, jak gdyby na dowód tego, jak bardzo się zmieniła.

– Mnie obiecał urodę w zamian za strach i niekończącą się mękę, jaką jest jego władztwo.

Teresa patrzyła z auta w stronę malejącej sylwetki Mrs York. Po chwili opuściła w dół lusterko schowane w podsufitce. Przyjrzała się sobie uważnie.

– Za każdy dobry uczynek wynagrodzi mnie odrobiną młodości.

– Czy coś pani do mnie mówiła, Miss Krammer? – zapytał Nikolai, odwracając głowę w jej stronę.

– Nie, nie, tylko tak do siebie. Czy... czy uważasz mnie za atrakcyjną kobietę?

– Jest pani najpiękniejszą kobietą, jaką spotkałem. Może mi pani wierzyć, Rosjanie nie kłamią.

– Rosjanie zbyt mało mówią. Omijają umiejętnie nieprzyjemne dla nich tematy. Zawieź mnie do domu.

– Tak, Miss Krammer. Czy ma pani ochotę czegoś się napić?

Nie czekając na odpowiedź, nacisnął przycisk w kokpicie. Spod monitora wysunął się barek. Teresa przez chwilę zastanawiała się nad wyborem alkoholu. Ze szklanego pojemnika wyciągnęła parę kostek lodu i wrzuciła do szklanki, po czym zalała go whisky.

Skoro mnie zawiezie... Potrzebuję dzisiaj czegoś mocniejszego!

Nikolai zatrzymał się przed wejściem do jej domu i odprowadził aż do drzwi. Teresa lekko chwiała się i potykała.

– Czy wszystko okej, Miss Krammer? Zaprowadzić panią na piętro?

– Wszystko w porządku. Poradzę sobie. Dziękuję, Niko.

– Do zobaczenia, pani doktor.

Odwrócił się i podszedł w stronę auta. Obserwował ją, dopóki nie zniknęła za drzwiami.

W mieszkaniu ściągnęła buty i rzuciła je w kąt. Kurtka, którą powiesiła byle jak, zsunęła się sama z wieszaka. W pokoju opadła bezwładnie na fotel. Z torebki wyciągnęła kopertę, którą dał jej Nikolai. Rozerwała bok i wyciągnęła czek.

– A niech mnie szlag trafi! Chyba zrobię sobie jeszcze jednego drinka – odezwała się sama do siebie na głos.

W tej samej sekundzie wytrzeźwiała całkowicie. Parę razy zerkała na cyfry wpisane w prawym, górnym rogu czeku. Piętnaście tysięcy funtów. Nagle zdała sobie sprawę, że Rosjanin nie zapytał jej o adres.

Skąd wiedział, gdzie mieszkam? Skąd wiedział, że mieszkam na piętrze?

Gęsia skórka pojawiła się jej na przedramionach.

Nazajutrz obudziła się w ubraniu, przykryta kołdrą. Trzymając się za obolałą głowę, weszła do pokoju. Podniosła ze stołu czek opiewający na piętnaście tysięcy funtów. Powoli wydarzenia z poprzedniego dnia zaczęły wracać do jej świadomości. Oprócz jednego faktu.

Jak znalazłam się w łóżku?

W sobotę odebrała Stevena o piątej. Tylko raz była u niego w mieszkaniu, choć trudno było nazwać jeden pokój, będący jednocześnie garderobą, sypialnią i garażem dla roweru, mieszkaniem. Twierdził, że to mu wystarczy. Może kiedyś, kiedy trochę więcej zarobi i będzie stać go na coś większego, kupi inne – na razie był zadowolony z tego, co ma.

Wcale się nie dziwiła, że chętniej przebywa u niej niż w swoim gniazdku, czego mu zresztą nigdy nie zarzuciła. Wręcz przeciwnie. Jej uczucie sympatii z dnia na dzień stawało się coraz mocniejsze. Była szczęśliwa w jego towarzystwie, czuła się bezpiecznie i nie tak samotnie. Chciała, by to uczucie towarzyszyło jej codziennie.

Po godzinnej jeździe zatłoczonymi ulicami zaparkowała samochód w garażu pod budynkiem. Postanowiła, że nie wspomni nikomu o czwartkowej przygodzie, jak również o czeku, który potraktowała jako wynagrodzenie za poradę psychologa.

W dzisiejszej „London Times” przeczytała, że: „Stan zdrowia lorda jest nadal bardzo ciężki, ale niezagrażający życiu. Jego żona czuwa nieustannie u boku męża”. Na zdjęciu pokazano Kathrin z ogromną troską na twarzy, siedzącą na krawędzi łóżka i trzymającą dłoń lorda. Za nimi widziała postać ogromnego mężczyzny, którego głowa nie została sfotografowana, gdyż najprawdopodobniej kamera nie mogła objąć całej sylwetki.

Przywitała ojca pocałunkiem w policzek. Steven podał mu rękę i coś wybełkotał pod nosem. Wyglądał na nieco zdenerwowanego. Teresa szepnęła mu do ucha:

– Spokojnie. Mój ojciec nic ci nie zrobi. Nie prosisz mnie przecież o rękę. Idziemy tylko na kolację.

– Słyszałem, że za tydzień opuszcza pan na stałe Anglię – zwrócił się do Henry’ego i nie czekając na odpowiedź, dodał: – Właściwie to chciałem bardziej uroczyście w restauracji, ale skoro Teresa zaczęła ten temat... – Odwrócił się tym razem w stronę osłupiałej Teresy, wyciągając jednocześnie z kieszeni marynarki małe, czerwone pudełeczko. – Nie wiem, kiedy nadarzy się jeszcze taka okazja, że znowu spotkamy się razem. Szkoda, że twoja matka nie jest dzisiaj obecna, ale myślę, że to również kiedyś nadrobimy wspólną, uroczystą kolację. Chciałbym cię prosić w obecności twojego ojca, abyś wyszła za mnie. – Podał jej pudełko.

Teresa stała parę sekund osłupiała i patrzyła na niego z niedowierzaniem. Otworzyła opakowanie. Ich oczom ukazał się złoty pierścionek z oczkiem wysadzonym wspaniałym diamentem. Jego szlifowane powierzchnie odbijały światło żyrandola i rzucały w postaci migoczących ogników na ścianę.

Rzuciła mu się na szyję.

– Synu! Ale narzuciłeś tempo, niech cię... – Henry poklepał go po ramieniu i podał rękę.

Teresa odstąpiła od niego na krok. Łzy popłynęły jej po policzkach i zaczęła pociągać nosem. Tylko jedna myśl przebiegła jej, niczym błyskawica, przez głowę:

Nie będę sama! Nie zostanę w tym ogromnym mieście sama. Ktoś mnie kocha, ja kogoś kocham.

Zrobiła to, czego w żadnym wypadku robić nie powinna. Wierzchem dłoni wytarła nos, następnie zapłakane ze szczęścia oczy. Szminka z górnej wargi zakreśliła dziwne łuki pod nosem, a tusz do rzęs rozmazał się, nadając jej strasznego wyglądu postaci z filmów grozy.

– Czy to znaczy, że się zgadzasz? – zapytał dla formalności niczym sędzieja pytający oskarżonego o przyznanie się do winy, oczekując wyraźnego i głośnego „tak”.

– A jak myślisz, baranie, czemu beczę?! Tak! Jak chcesz, dam ci to na piśmie.

Kolejnym błędem było ponowne wtulenie się w szyję Stevena, który

zareagował na ten przejaw czułości za późno. Nie zdążył powstrzymać jej twarzy podążającej nieuchronnie w kierunku jego niebieskiej koszuli.

Z nich wszystkich jedynie Henry zachował zimną krew. Wyciągnął z barku butelkę szampana, otworzył i rozlał go do kieliszków.

– Zamiast pożegnalnej, mamy kolację zaręczynową. Wasze zdrowie. – Podał im lampki. – Obawiam się, że w takim stanie nigdzie nie wyjdziecie. Synu, nie obrazisz się, że cię tak nazywam? – Steven zaprzeczył. – W sypialni, w szafie znajdziesz jeszcze jakąś koszulę. Ty, kochanie, musisz również doprowadzić się do porządku. Z czarownicą nie wpuszczą nas do żadnego lokalu.

Teresa i Steven spojrzeli na siebie i wybuchnęli jednocześnie śmiechem.

Dwa tygodnie po wyjeździe ojca do Polski wprowadziła się do nowego mieszkania wraz z Stevenem. zaproponowała mu wspólne zamieszkanie jeszcze na pożegnalnej kolacji, w dniu jego oświadczyn. Była zdania, że lepiej, jak to zrobi w obecności Henry'ego niż bez jego wiedzy. Ojciec oświadczył, że naturalnie nie ma nic przeciwko temu, a wręcz przeciwnie. Poza tym ona była już oficjalnie właścicielką tego mieszkania. Jego adwokat zadbał o stronę prawną tej zmiany.

Praca pochłonęła Teresę tak bardzo, że już na początku grudnia z radością stwierdziła, że ma na tyle umówionych terminów w swoim gabinecie, że nie musi tracić czasu na wizyty domowe u pacjentów.

Szybko zorientowała się, że porady, które jej szczególnie odpowiadały, to sprawy rodzinne oraz trudna młodzież, jak często rodzice nazywali swoje potomstwo. Jej zdaniem nie było trudnych dzieci, tylko nieprzygotowani do opieki dorośli, którzy w pewnym momencie zauważali, że ich pociechy wymykają się im spod kontroli. Wtedy wielu z nich na gwałt, jak ostatniej deski ratunku, szukało pomocy psychoterapeuty.

Młodzi ludzie, którzy na początku przychodzili z rodzicami (o ile w ogóle dawali namówić się na taką wizytę), często zwracali się do niej z pytaniem, czy mogliby porozmawiać w cztery oczy. Rodzice reagowali niezbyt przyjaźnie na tę prośbę, gdyż obca osoba, do której sami się zwrócili, przejmowała nagle ich rolę. Domyślała się, że tę reakcję zawdzięcza swojej młodości. Młodzież traktowała ją jako partnera do rozmowy, nie jako autorytet rodzicielski lub osobę dorosłą.

Parę dni przed świętami i planowanym wraz z Stevenem wyjazdem do Polski odebrała telefon od Esther McWinhorst, żony jednego z jej pierwszych

pacjentów, Toma McWinhorsta. Prosiła o rozmowę. Głos kobiety co chwilę załamywał się. Sprawiała wrażenie osoby bardzo potrzebującej pomocy. Teresa domyślała się słusznie, że chodzi o jej męża. Mrs McWinhorst prosiła o spotkanie w restauracji oddalonej zaledwie o dwie ulice od Mansell Street, przy której znajdował się gabinet Teresy.

Nie musiała długo szukać. Samotna kobieta siedząca w rogu sali przy dwuosobowym stoliku rzucała się każdemu, kto tam wszedł, w oczy. Jej kamienna twarz zwrócona była w stronę okna, do przechodzących obok niej ludzi i setki samochodów pędzących nieustannie zatłoczoną ulicą.

Teresa stanęła przed kobietą, która w pierwszej chwili jej nie dostrzegła, zajęta swoimi myślami i troskami, co można było wyczytać z całej jej postaci. Jaki rodzaj smutku trapił tę młodą jeszcze kobietę, wskazywała wpięta w kołnierzyk białej bluzki krepa.

Oceniała ją na około trzydzieści osiem lat. Ładną twarz z pierwszymi zmarszczkami na czole zdobił delikatny makijaż. Starannie dopasowane okulary z czarną delikatną oprawą nadawały jej jeszcze bardziej inteligentnego, wzbudzającego szacunek wyglądu. W jej ciemnych, długich, zaczesanych i spiętych z tyłu włosach widoczny był srebrny niczym świąteczna lameta kosmyk, który zaczynał się nad czołem i znikał w grubej kitce na karku.

– Mrs McWinhorst? – odezwała się do niej, wyrywając ją z zadumy i wyciągając jednocześnie dłoń w jej stronę. – Teresa Krammer. Doktor Teresa Krammer – poprawiła się.

Tytuł doktora, który stał się jej pierwszą i dla większości pacjentów najważniejszą częścią nazwiska, ciągle jeszcze był jej obcy. Potrzebowała czasu, aby się do niego przyzwyczaić. Jej pacjenci pomagali jej w tym bez wątpienia. Prawie wszyscy zwracali się do niej „pani doktor”, nie wymieniając przy tym nazwiska.

Kobieta podała rękę bez słowa i wskazała głową na krzesło naprzeciwko. Przez parę sekund przypatrywały się sobie w milczeniu. Teresa zastanawiała się, w jakim celu poprosiła ją o spotkanie. To, co się stało, nie miało z nią nic wspólnego, nie mogła być obarczana śmiercią męża pani McWinhorst. Tak! Była pewna, że odebrał sobie życie, że nie poradził sobie z nałogiem, który stał się jego przekleństwem. W swojej krótkiej praktyce jako studentka psychiatrii stykała się z ludźmi uzależnionymi od silnych, twardych narkotyków. Często były to młode osoby, którym środki stymulujące

(amfetamina, metamfetamina, ecstasy) odbierały zmysły. Wyniszczały ich psychicznie, fizycznie i pchały nieuchronnie w kierunku przepaści, gdzie czyhała śmierć. Tylko nielicznym udawało się skończyć z nałogiem. Najlepszą metodą okazywała się zmiana środowiska, wyjazd na drugi koniec kraju lub nawet za granicę, byle jak najdalej od dotychczasowego życia, uzależnionych przyjaciół oraz znanych dilerów.

Zmiana pracy była pierwszym i właściwym krokiem, na jaki zdecydował się Tom McWinhorst.

Esther podniosła torebkę i położyła ją na kolana. Ze środka wyciągnęła parę karteczek i podała Teresie.

– Znalazłam to w jego biurku. Nawet nie zadał sobie trudu, aby je wykupić.

Teresa przeglądnęła recepty i oddała je z powrotem.

– Wystawiła je klinika, w której odbywał kurację pani mąż. Tego rodzaju leki antydepresyjne wystawiają z reguły szpitale. Leczenie depresji jest długotrwałe i odbywa się pod okiem psychiatry. Doktor Hawlett skierował pani męża na leczenie odwykowe. Polecił mu Sheffield, gdzie ordynatorem jest jego przyjaciel ze studiów. Z tego, co widzę, mąż nawet nie wyjechał z Londynu.

– Zdecydował się na leczenie ambulatoryjne. Mówił, że nie chce opuścić rodziny. Oszukiwał nas! Twierdził, że jest zdrowy i nigdy już nie sięgnie po kokainę. Kłamał do końca.

– Skoro tak, to również mnie okłamał. Zamiast niego...

– Ja jestem zamiast niego – przerwała jej. – Prosiłam o to spotkanie w nadziei, że pomoże mi pani znaleźć odpowiedź: dlaczego? Kochałam go takim, jaki był. Kochałam go w trudnych momentach, kiedy nie mógł sobie ze sobą poradzić. Zostawił nas tak po prostu, egoistycznie, bez szansy, bez alternatywy. Czyja to wina? Moja? Wasza? Lekarzy, którzy zbyt mało uczynili, aby mu pomóc? – Z torebki wyciągnęła chusteczkę i przetarła załzawione oczy.

Teresa wzięła jej dłoń i uścisnęła ją ze współczuciem.

W tej chwili pomyślała o Stevenie. O swoim związku z mężczyzną, którego poznała tak niedawno, a który tak bardzo zmienił jej życie. Gdyby go w tej chwili straciła, chyba oszalałaby z rozpacz. Uwielbiała wieczory, tak cudowne jak ten wczorajszy, kiedy siadali razem w salonie przytuleni do siebie. On kładł głowę na jej udach i obejmował mocno w talii. Słuchali

muzyki, pili wino, rozmawiali cicho lub po prostu patrzyli poprzez okno na panoramę oświetlonego miasta. Gdy opowiadał, pokój zamieniał się w salę kinową, a okno stawało ogromnym ekranem, w którym widziała sceny z dzieciństwa Stevena, obrazy z Afryki lub szpital pełny potrzebujących pomocy pacjentów. Pośrodku nich jej ukochany, spokojny i niosący ukojenie półbóg (ze względu na swój młody wiek nie dojrzał jeszcze do roli boga). Jego historie były tak realne, pełne życia, że jej wyobraźnia przenosiła ją w świat tych opowiadań. Postacie stawały przed nią jak żywe, na wyciągnięcie dłoni, niczym trójwymiarowy film. Co chwilę przecierała z wrażenia skórę na rękach, na której pojawia się z podekscytowania gęsia skórka. Widziała Stevena ze swoim bratem Tomem oraz grupą dzieciaków kąpiących się w strumyku. Chłopcy spędzali co roku, aż do śmierci Toma, wakacje u rodziny na wsi. W opowiadaniach z czasów studiów, z pobytu w Afryce lub pracy w szpitalu Boby odgrywał jedną z czołowych ról. Przyjaciela Stevena poznała podczas przeprowadzki. On i koledzy ze szpitala pomagali mu przewieźć jego cały dobytek, który zmieścił się w małym aucie dostawczym.

W myślach nazwała Boby'ego węzem. Jego delikatna, lśniąca skóra i elastyczne ruchy ciała, w którym – zdawać by się mogło – nie było kości, przypominały jej tego właśnie gada. Nie odrywał wzroku od Stevena, gotowy spełnić każdą jego zachciankę. Teresa nigdy nie spodziewała się, że stanie się zazdrosna o swojego chłopaka z powodu jego kolegi.

Uwielbia zapach Stevena. To bez wątpienia ta chemia spowodowała, że zakochała się w nim bez pamięci. Rano, kiedy budzi się sama bez niego, zanim wstanie z łóżka, kładzie głowę na jego poduszkę i wdycha z zamkniętymi oczami ten zapach, niczym ćpun chcący upoić się narkotykiem, którego dawka musi wystarczyć na cały dzień. Gdyby go w tej chwili straciła, chyba oszalałaby z rozpacz. Doskonale rozumiała więc swoją rozmówczynię.

Esther mocno uścisnęła podaną jej rękę.

– Tak mi przykro, że obarczam panią moim smutkiem, ale nie mam nikogo, z kim mogłabym teraz porozmawiać. Dzieci są jeszcze zbyt małe i dopiero później uświadomią sobie stratę ojca.

– Moim obowiązkiem jest pomagać ludziom w trudnych sytuacjach życiowych. Cieszę się, że poprosiła pani o spotkanie ze mną. Co do odpowiedzi na pani pytanie: dlaczego, muszę przyznać, że musiałabym lepiej poznać pani męża. W czasie pierwszej i jedynej rozmowy z nim miałam

wrażenie, że rozmawiam z osobą, która mocno stąpa po ziemi i wie, czego chce oraz czego oczekuje od niego rodzina. Powiedział mi, że ma za sobą trudny okres, ale dopiero teraz cieszy się każdym dniem spędzonym z wami i to dodaje mu wytrwałości.

Kobiety odsunęły się nieco od stolika na widok kelnerki, która zdjęła z tacy dwie filiżanki herbaty i talerzyki z szarlotką, najwidoczniej zamówione wcześniej przez Esther McWinhorst.

– Tak, to był krótkotrwały i niestety przejściowy okres po zakończeniu terapii. Mąż był szczęśliwy i bardzo optymistyczny. Nowa praca sprawiała mu satysfakcję i wydawało nam się, że zaczęliśmy nowe, lepsze życie. Aż do tego wieczoru... dwa tygodnie temu. Rozmawiał długo z kimś przez telefon. Mnie powiedział tylko tyle, że to był stary znajomy, z którym jutro spotka się po pracy. Na drugi dzień przyszedł późno do domu. Od razu zauważyłam, że coś jest nie tak. Kłamał, że musi brać metadon i po nim czuje się źle. Gdybym zostawiła go w spokoju... może nie doszłoby do tego? Już sama nie wiem! Pokłóciliśmy się wtedy strasznie. Przyznał się, że zaczął od nowa. Prosił o wybaczenie. Płakaliśmy oboje. Tak bardzo chciałam mu pomóc. Zawiodłam go tak samo, jak on zawiódł nas. – Łzy na nowo popłynęły z jej oczu. – Tydzień temu policja znalazła go martwego w aucie. Na siedzeniu obok leżał ten list. – Podała go Teresie.

Teresa przez chwilę wahała się. Nie była pewna, czy powinna przeczytać list, który nie zaadresowano do niej i na dodatek był listem pożegnalnym samobójcy. Trzymała go w ręku i patrzyła pytająco w oczy Esther.

– Tereso, chcę abyś go przeczytała, może wtedy uda się nam zrozumieć...
– Esther przeszła na mniej oficjalny ton, zwracając się do niej po imieniu, jak gdyby chcąc ją tym zachęcić do podjęcia decyzji.

Teresa, zanim rozłożyła kartkę, zapytała:

– W jaki sposób?

Esther w pierwszej chwili nie rozumiała, o co jej chodzi, ale zanim Teresa wyjaśniła jej swoje pytanie, odpowiedziała:

– Beretta, dziewięć milimetrów. Trzymał ten cholerny pistolet – jak mówił – na wypadek napadu, ale tak naprawdę może już od zawsze myślał, że rozwali sobie nim łeb. Wsadził lufę w usta. Kula rozbiła tylną szybę w naszym i przednią w samochodzie zaparkowanym z tyłu. Mózg i krew zalały cały środek auta, które stoi jeszcze na parkingu policyjnym. Nadaje się tylko na złom. Nikt mi nie da za niego złamanego pensa.

Teresa jeszcze raz spojrzała uważnie na kartkę papieru. Dopiero teraz zauważyła na nim drobne krople krwi. Upuściła go na stół. Wzięła do rąk dwie papierowe serwetki, które posłużyły jej zamiast rękawiczek i rozłożyła kartkę papieru. Zaczęła czytać półgłosem:

– Jeżeli masz go w ręce, mnie już nie ma! Chcę tylko przeprosić, wyjaśnić, pożegnać się z wami. Przepraszam, że sprawiłem wam więcej bólu niż radości. Że nie poradziłem sobie z nałogiem, który był dla mnie torturą w ostatnich latach życia.

Teresa przebiegła wzrokiem tekst, nie zwracając większej uwagi na jego znaczenie. Odczuwała zażenowanie całą tą sytuacją. Nie miała ochoty czytać listu pożegnalnego samobójcy, który adresowany był do jego najbliższych. Miała wrażenie, że rozdrapuje czyjeś świeże rany.

Popatrzyła na zegarek, dając Esther wyraźnie do zrozumienia, że przekroczyła w tej chwili czas, jaki dla niej przeznaczyla.

– Szukasz odpowiedzi na pytanie: dlaczego? Masz je przecież przed sobą.
– Podsunęła jej kartkę. – Każdy dorosły człowiek, sięgając po narkotyki, zdaje sobie sprawę z tego, co robi. Depresja, na jaką cierpiał Tom, była tego konsekwencją. Nie możesz obwiniać siebie za to, co się stało. Gdybyś kiedyś potrzebowała rozmowy, zapraszam do mojego gabinetu.

Z torebki wyciągnęła wizytówkę i podała jej. Pociągnęła dwa łyki herbaty z filiżanki i odsunęła ją oraz talerzyk z ciastkiem na bok. Pożegnała się, podając rękę, i szybko wyszła z restauracji. Za rogiem budynku przystanąła na chwilę i głęboko wciągała chłodne, grudniowe powietrze w płuca. Łzy spływały jej po policzkach. Świadomość tego, że Esther próbowała zrzucić winę za śmierć męża na jej barki, nie opuszczała jej przez następne parę dni.

Święta Bożego Narodzenia nadeszły w tym roku o wiele szybciej niż zazwyczaj. Całkowicie pochłonięta pracą Teresa jeszcze dwie godziny przed odjazdem na lotnisko pakowała swoje i Stevena rzeczy do walizki. Ten dopiero w ostatniej chwili wpadł do domu i ledwie zdążył się przebrać do wyjazdu.

Wylądowali w Krakowie dzień przed Wigilią. Rodzice Teresy nie mogli doczekać się ich przylotu i przybyli godzinę wcześniej na lotnisko, aby ich odebrać.

Połączenie leków łagodzących objawy choroby wysokościowej oraz uspokajających okazało się niezbyt korzystną dla Teresy miksturą. Z samolotu wyszła na miękkich nogach i musiała trzymać Stevena pod ramię,

aby nie upaść. Postanowiła, że podczas lotu powrotnego skorzysta z jego rady i zamówi sobie, jeszcze zanim wejdą do samolotu, podwójnego drinka.

– Bardzo żałujemy, że nie możemy was dłużej gościć. Trzy dni to naprawdę niewiele, aby wam pokazać Kraków i okolice – odezwał się Henry w samochodzie. – Marta zrobiła małą listę z najciekawszymi jej zdaniem miejscami, które powinniście koniecznie zobaczyć. Szkoda... Szkoda... Szkoda – powtórzył parę razy, chcąc podkreślić wagę utraconej szansy.

– Mój samarytanin ma tylko trzy dni wolnego – odezwała się z tyłu Teresa, odstawiając od ust butelkę wody mineralnej. Czuła się jeszcze trochę oszołomiona niczym po dwóch dużych lampkach wina. Lekki zawrót głowy z każdym łykiem wody powoli ustępował. – Nikt nie chciał się z nim zamienić. Nawet Bobby nie chciał! – dodała z wyraźną złośliwością.

– Jak mógł się ze mną zamienić, skoro również musi pracować – odezwał się Steven z dziwnym grymasem na twarzy wyrażającym oburzenie.

U Teresy, która ten temat uważała jeszcze za niezakończony, wywołało to rozbawienie.

– A więc on również pracuje? Jaki dziwny zbieg okoliczności. On również musi pracować! – Uśmiechnęła się w jego stronę.

Steven nie odezwał się więcej, nie podejmując rzuconej mu rękawicy.

– Kto to jest, ten Bobby? – zapytała ją matka szeptem po polsku.

– Kolega ze studiów. Razem byli w Afryce, teraz pracują razem. Tylko że Steven usypia, tamten tnie. Jest chirurgiem – wyszeptała jej również do ucha.

– Jesteś zazdrosna? – Marta próbowała z niej wyciągnąć trochę więcej informacji o tajemniczym lekarzu.

– Nie. Nie wiem. Może trochę.

Matka popatrzyła jej w oczy.

– Tak. Do cholery! Jestem o Stevena zazdrosna. – Teresa pociągnęła łyk z butelki.

– To tamten jest...?

– Nie jestem pewna – wzruszyła ramionami – ale wydaje mi się, że gdyby miał do wyboru rozebrać mnie lub jego – skinęła głową w stronę narzeczonego – wybrałby bez wątpienia Stevena.

– Ja też. – Szturchnęła żartobliwie córkę w bok. Obie zaczęły chichotać.

– Do domu czy na Rynek!?! – odezwał się głośno z przodu Henry, oczekując najwidoczniej natychmiastowej decyzji.

Teresa zerknęła na zegarek. Dochodziła dopiero dwunasta.

– Na Rynek! Zawieź nas, tato, do centrum. Ostatnio byłam tam...

– Trzyście lat temu – dokończyła za nią Marta.

Henry, który poruszał się po Krakowie i okolicach równie dobrze jak po ulicach Londynu, przejechał zjazd na Chyżne i Zakopane i udał się w stronę centrum stolicy Małopolski.

Na pobliskich polach leżały resztki śniegu, który spadł przed paroma dniami, a teraz topniał przy dodatnich temperaturach. Słońce z trudem przebijało się przez zamglone niebo. Im bliżej zatłoczonego miasta, tym trudniej znajdowało lukę w niebie, by rzucić promyk światła na przednią szybę samochodu.

Henry zaparkował auto w pobliżu dworca kolejowego. To, że znalazł tam miejsce, było niemal cudem.

– Chcę tylko pójść na Rynek. Tak bardzo pragnę go znowu zobaczyć. Chcę zobaczyć Sukiennice oraz obrazy dawnych mistrzów malarstwa, na których uwidocznili wszystkie konie z Małopolski, a może i z sąsiednich województw. Pamiętasz, mamó? Zawsze je podziwialiśmy. Albo te malowane lakierami samochodowymi w aerozolu. To było niesamowite!

– Już od lat nie widziałam, aby ktoś tutaj malował je tą metodą. Zanieczyszczenie powietrza w Krakowie jest tak duże, że straż miejska z pewnością nie zezwoliłaby na malowanie obrazów w ten sposób.

– Chcesz precla? – Teresa zwróciła się do Stevena po polsku i nie czekając na odpowiedź, pobiegła w stronę starszej kobiety sprzedającej je z oszklonego wózka.

– What? – Wytrzeszczył ze zdziwienia oczy. – What is pretzla?

Z pomocą pospieszył mu Henry, starając się mu wytłumaczyć po angielsku, co to jest precel. Zanim mu się to udało, Teresa stanęła znowu przy nich, wciskając każdemu do ręki po jednym, tradycyjnym, krakowskim wypieku.

W Sukiennicach nie ominęła ani jednego stoiska. Na każdym musiała dotknąć i obejrzeć przeróżne pamiątki i biżuterię. Po godzinie skierowali się do wyjścia. Steven trzymał w ręku reklamówkę wypełnioną zakupami, które Teresa zrobiła z myślą o zabraniu ich do Anglii.

– Teraz jestem szczęśliwa.

Objęła Stevena za szyję i pocałowała gorąco w usta. Odczuwała przyjemne, nieznane jej do tej pory uczucie zadowolenia, wręcz szczęścia podczas kupowania wszystkich tych rzeczy, których na dobrą sprawę nie

potrzebowała.

Odwróciła się instynktownie w przeciwną stronę i wtedy zobaczyła ją po raz pierwszy. Szła powoli w jej stronę, spoglądając przelotnie na towar rozłożony w oknach wystawowych butików. Teresa oceniła ją na około dwadzieścia do maksymalnie dwudziestu pięciu lat. Jej twarz o niespotykanej urodzie zdobił lekki, beztroski uśmiech człowieka, którego życie układa się po jego myśli. Uśmiech kogoś, kto osiągnął wszystko, a teraz korzysta z darów otrzymanych od losu. Dziewczyna miała na sobie krótkie, prześliczne futro z soboli, mieniące się w świetle kolorami brązu, beżu i jasnego popiołu. Obcisła spódniczka uwidoczniała jej kształtne pośladki. Nogi zakrywały grube, czarne, przeplatane srebrną nitką pończochy. Wysokie, czarne buty na obcasie sięgały do kolan. Czarne, gęste, lekko kręcone włosy spadały jej na ramiona.

W momencie kiedy się mijaly, przystanęły na chwilę naprzeciwko siebie, patrząc sobie w oczy. Czarnowłosa piękność lekko skłoniła głowę w stronę Teresy, jak gdyby chciała ją pozdrowić, i odsłoniła w uśmiechu rząd ładnych, białych zębów.

Przy ostatnim stoisku zatrzymali się na chwilę. Tym razem Steven przyglądał się jedwabnym szalikom. Razem z Henrym dyskutowali o wyborze odpowiedniego, pasującego do jego płaszcza koloru. Marta wzięła ich oboje pod rękę i weszła z nimi do środka, twierdząc, że tam znajdą coś, co się mu spodoba. Teresa w tym czasie wyszła na zewnątrz i spoglądała w kierunku pomnika Adama Mickiewicza oraz licznych turystów fotografujących się przy nim.

Nagle ktoś musnął jej rękaw. Zanim ją jeszcze zobaczyła, instynkt mówił jej, że to nie może być nikt inny, jak tylko ta piękna dziewczyna, którą spotkała przed paroma minutami.

Tak, to była ona. Przystanęła znowu, tylko na krótką chwilę, ponieważ tym razem szła w towarzystwie o wiele starszego od niej, eleganckiego mężczyzny. Włożyła Teresie w dłoń karteczkę papieru i odeszła tak samo szybko i niespodziewanie, jak się pojawiła.

Kartka złożona była na połowę. Teresa rozłożyła ją na dłoni. Serce biło jej jak szalone. Czuła się jak Kopciuszek, na którego uwagę zwrócił książę z bajki. Nagle jej policzki pokrył rumieniec. Domyślała się, czym zajmuje się dziewczyna, ale nie tego oczekiwała od niej. Zmięła papier i rzuciła go na ziemię.

Rodzice i Steven wyszli z Sukiennic i rozglądali się. Na jej widok Steven z daleka pokazał swój zakup. Szalik rzeczywiście był ładny. Delikatny materiał niczym żywa istota rozkładał się na jego ręce. Teresa dotknęła go i musiała szczerze przyznać, że wybór był doskonały. Owinęła go wokół jego gołej szyi.

– Pasuje do twoich oczu. – Pociągnęła go za koniec szalika i przysunęła jego głowę do siebie.

– Zmarzłaś z pewnością. Masz rumieńce na twarzy. – Marta zerknęła na nią z troską. – Chcesz, abyśmy teraz pojechali do domu?

– Przejdźmy się jeszcze troszkę, a później pojedziemy. – Włożyła rękę do kieszeni płaszcza. – Zdaje się, że coś mi wypadło.

Odwróciła się i wróciła parę kroków do tyłu. Podniosła z ziemi pomiętą karteczkę. Wyprostowała ją i schowała do portfela.

Piętrowy dom rodziców okazał się wspaniałą willą położoną na wzgórzu niedaleko Zakopanego. Ojciec przebywał w nim cały czas, Marta natomiast przyjeżdżała do niego tylko na weekend ze względu na pracę. W czerwcu, po zakończeniu roku szkolnego, postanowiła przejść na emeryturę i przeprowadzić się do niego na stałe.

Tej nocy ochłodziło się i zupełnie nieoczekiwanie, wbrew prognozie pogody, spadł śnieg. Widok z tarasu na zalesione, pokryte śniegiem wzgórza i majestatycznie wyglądające Tatry był tak wspaniały, że postanowili zjeść na nim śniadanie.

– Może was to trochę zdziwi, że w jedne święta mówimy już o następnych – Marta zaczęła z pewnym zażenowaniem – ale z Henrym zaplanowaliśmy, że w Wielkanoc weźmiemy ślub. Mało tego... Henry zaproponował...

– To może ja dokończę, bo to właściwie jest mój pomysł. Z Martą myślimy, że skoro wy też, to może by tak razem... tutaj? Co wy na to? Byłoby wspaniale! Rodzinny ślub, wspólne wesele.

Zapanowało przez chwilę kłopotliwe milczenie. Teresa spojrzała pytająco na Stevena. Ten z kolei unikał jej wzroku.

– Nie ukrywam, że zaskoczyłeś nas teraz całkowicie – rzekł w końcu. Nie rozmawialiśmy jeszcze na ten temat i trudno jest dać nam natychmiast jasną odpowiedź. Sądzę, że musimy wcześniej rozwiązać parę problemów, jakie stanowią odległość z Anglii tutaj, moja rodzina, nasi znajomi i temu podobne. Nie liczyliśmy jeszcze wszystkich, ale wydaje mi się, że na nasz ślub chcielibyśmy zaprosić wiele osób, prawda? – zwrócił się do Teresy.

Teresa nadal milczała. Zamiast niej odezwał się Henry:

– Zastanówcie się. Nie musicie dać nam odpowiedzi natychmiast. Co do przewiezienia twoich krewnych i waszych przyjaciół tutaj, to zostaw to mnie.

Teresa wiedziała, że dla ojca nie ma spraw nie do załatwienia. W każdej chwili gotowy był zamówić nie tylko autobus, ale i samolot, by przewieźć wszystkich gości.

Steven do tej pory nie przedstawił jej swoich rodziców i to ją bardzo bolało. Byli w końcu zaręczeni i wypadałoby pokazać rodzicom swoją narzeczoną. Chyba, że... jego zamiary wobec niej nie były szczerze.

Po śniadaniu pomogła matce w kuchni przygotować potrawy wigilijne oraz piec świąteczne ciasta. Henry pojechał do Zakopanego, twierdząc, że ma parę spraw do załatwienia. Natomiast Steven przesiedział cały ten czas na tarasie owinięty grubym kocem, zafascynowany widokiem gór, jakiego jeszcze do tej pory nie miał okazji oglądać.

– Zanieś mu, zanim nam tam zamarznie na kość. – Marta podała córce herbatę w kubku z dodatkiem rumu. Spojrzała na zegarek. – Za jakąś godzinkę można by zacząć ubierać choinkę. Co ty na to? – Dała jej do zrozumienia, że byłaby wdzięczna, gdyby oboje z Stevenem przejęli tę pracę.

– Załatwione. Zaraz go stamtąd przepędzę.

Steven leżał na drewnianym leżaku i wpatrywał się w oddalony stok narciarski. Z tej odległości narciarze wyglądali niczym drobinki poruszające się po ośnieżonej górze. Słońce, które wyszło spoza niewielkiej chmurki, opalało mu twarz i pokrywało rumieńcami policzki.

Teresa podała mu kubek bez słowa. W duchu chciała, żeby natychmiast pociągnął z niego potężny łyk gorącej herbaty i poparzył sobie nią usta. Steven razem z kubkiem złapał jej dłoń, ale ona wyciągnęła ją delikatnie. Jego wahanie co do propozycji rodziców, by razem wyprawić wesele, zabolalo ją bardzo i tkwiło w niej niczym drzazga w sercu. Czula się tak, jakby dzisiaj odrzucił jej miłość.

– Henry kiedyś był inny... – zaczęła.

– Wszyscy kiedyś byliśmy inni. Zmieniamy się z wiekiem, dojrzewamy, starzejemy. Tego chyba nie muszę ci udowadniać. – Poprawił się na leżaku i przystawił delikatnie usta do brzegu kubka.

Teresa z rozczarowaniem zauważyła, że się nie poparzył.

– Jak jeszcze razem mieszkaliśmy w Krakowie, przed ich rozwodem, ojciec zabierał mnie regularnie na mecze Wisły. Opowiadał mi, że zawsze

był niepoprawnym, angielskim kibolem i piłka nożna to jego żywioł. Matka mówiła mi, że znowu zaczął chodzić na mecze i tym razem zabiera ją ze sobą, chociaż ona... no wiesz, zupełnie się piłką nie interesuje. Ja myślę, że chodzi na te mecze tylko i wyłącznie dla niego. Miałam dwanaście lat, gdy na jednym z takich meczów doszło do bijatyki niedaleko miejsca, gdzie siedzieliśmy. Jeden z kibiców pchnął drugiego i ten upadł na mnie. Przewróciłam się i zaczęłam ze strachu płakać. Ojciec dorwał tamtego, który sprowokował awanturę, i stłukł go na kwaśne jabłko. Nikt nie stanął w jego obronie, ale ja myślę, że gdyby nawet, to Henry pobiłby ich wszystkich.

– Czy to znaczy, że mam się teraz bać? – Steven odłożył kubek na drewnianą podłogę i podniósł się z leżaka.

– Gdyby to był Henry sprzed piętnastu lat, to tak, z pewnością tak. Złoiłby ci skórę, potem związał jak cielaka i przywiązał do haka w swoim pikapie, a następnie przeciągnął cię po tych wspaniałych wzgórzach. Bo on, w odróżnieniu do ciebie, kocha swoją Teresę!

– Ja też cię Kocham! Przepraszam. – Podeszedł do niej, złapał ją za ręce i klęknął przed nią. – Zrobimy tak, jak zechcesz.

Teresa dostrzegła kątem oka Martę, która stała za firanką i przecierała załamane oczy. Nie widziała jednak z okna szelmowskiego uśmiechu i rozbawionych, chłopięcych, niebieskich oczu Stevena.

– Ale tak na wszelki wypadek radziłabym ci nie zostawać z nim sam na sam. A teraz musimy ubrać choinkę! Robiłeś już to kiedyś?

– Niczego innego nie robiłem chętniej w święta niż przyzdabianie choinki. Razem z bratem... – przerwał na chwilę – gdy jeszcze żył, później nigdy więcej. – Wstając z kolan, wziął ją na ręce. – Mamy chwilę? – Zaczął całować jej szyję.

– Godzinę.

– To musimy się pospieszyć.

Podeszedł razem z nią do drzwi na końcu tarasu, prowadzących do ich sypialni. Teresa nacisnęła stopą klamkę i otworzyła je, popychając obiema nogami.

Najpiękniejszym prezentem świątecznym po wigilijnej kolacji okazała się przejażdżka saniami zaprzężonymi w dwa potężne, pociągowe konie, jaką zorganizował Henry. Później Marta zaproponowała, by wzięli udział w pasterce w zabytkowym, drewnianym, zakopiańskim kościele. Po powrocie do domu mężczyźni ustawili na tarasie metalowy koksownik, który w lecie

spełniał rolę grilla, i rozpalili w nim węgiel drzewny. Przesiedzieli na tarasie owinięci w koce, popijając grzane piwo, jeszcze prawie dwie godziny. Teresa oświadczyła, że przedyskutowali propozycję rodziców (godzinna dyskusja przed ubieraniem choinki) i cieszą się niezmiernie, że będą mogli razem z nimi w Święta Wielkanocne wziąć ślub.

Henry zniknął na chwilę i wrócił, trzymając w dłoni dwa cygara.

– Trzymam je na specjalną okazję. Nikaraguańskie. Najlepsze, jakie do tej pory paliłem. Dzisiaj bez wątpienia jest taka okazja. – Podał jedno z nich Stevenowi. – Witaj w rodzinie!

– Dziękuję. Muszę przyznać, że po raz drugi w krótkim czasie zakochałem się. Po raz pierwszy w waszej córce – pocałował Teresę – a po raz drugi w tej przepięknej okolicy. Cieszę się, że przyjedziemy tutaj już wkrótce i będziemy mogli razem z wami obchodzić naszą wspólną uroczystość.

Mężczyźni objęli się. Steven poczuł się niczym w objęciach niedźwiedzia i ze zgrozą stwierdził, że jest o dobre pół głowy niższy od przyszłego teścia. Przypomniał sobie opowiadanie Teresy o zdarzeniu na stadionie piłkarskim.

Do Londynu wrócili wieczorem drugiego dnia świąt. Steven nazajutrz rozpoczął pracę, a Teresa postanowiła pojechać do swojego gabinetu, aby przygotować akta pacjentów, którym terminy wizyt ustaliła w styczniu, zaraz po Nowym Roku. Po drodze kupiła „Daily Express”. Przeglądając strony, trafiła na wiadomość o śmierci lorda Yorka. Pod jego zdjęciem opisano w skrócie życiorys i zasługi lorda.

„Zmarł w szpitalu na nagłe zapalenie płuc. [...]. Lekarze nie mogli nic dla niego zrobić. [...]. Wdowa, Mrs York, pogrążyła się w głębokiej żałobie. [...] Parlament stracił oddanego i wiernego ojczyźnie członka Izby Lordów”.

Teresie przed oczami stanęła wizyta w posiadłości Yorków. Uświadomiła sobie też, że to ona pośrednio przyczyniła się do upadku lorda, a tym samym może i do jego śmierci. Co do żałoby Kathrin miała poważne wątpliwości. Słuszne zresztą, jak się już po trzech tygodniach okazało.

W ten dzień wyszła do pracy jak zwykle o ósmej rano bez śniadania. Steven spał jeszcze po dyżurze, więc cicho opuściła mieszkanie. Ze skrzynki wyciągnęła parę listów i wchodząc po schodach na górę do gabinetu, sortowała je. Większość z nich zawierała reklamy, ale jeden zaadresowany był na jej nazwisko i wysłany został z Las Vegas. Od razu, wchodząc do gabinetu, otworzyła go i wyciągnęła zdjęcie oraz krótki liścik.

Fotografia przedstawiała Kathrin, którą Nikolai trzymał na rękach niczym

małą dziewczynkę. Było to bez wątpienia zdjęcie ślubne, na co wskazywał ich ubiór oraz widoczne na palcach ślubne obrączki.

„Moja droga” – zaczęła czytać napisane na małej kartce słowa Kathrin. – „Jak się domyśliłaś, zrobiłam to! Wyszłam za mąż i jestem szczęśliwa nad życie. Myślę o Tobie często i będziemy z Niko cieszyć się, gdy znów u nas zagościsz. Zostaniemy w Vegas do końca stycznia. Odezwę się po powrocie. Do zobaczenia w Londynie. Ściskamy serdecznie: Kathrin i Nikolai”.

Trochę zaskoczyło ją tempo, w jakim Kathrin podjęła tę decyzję. Była pewna, że po powrocie do Anglii tutejsze gazety rozszarpia ją, nie pozostawiając na niej suchej nitki.

Tego dnia dwóch pacjentów odwołało spotkania, prosząc o inne terminy. Wolny czas, jaki niespodziewanie miała do dyspozycji, postanowiła wykorzystać na zrobienie zakupów i zapełnienie świecącej pustką lodówki. Ponieważ Steven jeszcze spał, otworzyła cicho drzwi wejściowe i weszła do mieszkania. Z sypialni dobiegł ją znajomy odgłos ich łóżka, muzyki i podniecone, głębokie oddechy Stevena. I jeszcze jednej osoby.

Postawiła siatki w przedpokoju i stanęła w uchylonych drzwiach prowadzących do sypialni.

Jej narzeczony klęczał z lekko podniesioną głową do góry, z zamkniętymi oczami i opierał dłonie na czarnych pośladkach Boby’ego. Ich skóra pokryta była potem, co wskazywało na to, że akcja rozgrywa się już od dłuższego czasu.

Kurczowo złapała się futryny. Pokój zaczął wirować jej przed oczami. Cofnęła się do przedpokoju i łapiąc się rękami raz jednej, raz drugiej ściany, niczym pijana weszła do salonu. Przed komodą usunęła się na kolana. Otworzyła dolną szufladę i wyrzuciła stertę papierów, przykrywających tekturowe pudełko, na podłogę. Wyciągnęła je i położyła na kolana. Jeszcze do wczoraj była zła, że ojciec nie pozbył się tego pistoletu. Teraz nie miała o to do niego pretensji i postanowiła z niego zrobić pożytek.

W życiu wszystko ma jakiś sens. Nazywała to przeznaczeniem. Nigdy nie użyła tego słowa wobec swoich pacjentów, aby nie podkopać w ich oczach swojego racjonalizmu, ale w głębi ducha wierzyła w nie, tak jak w bezsilność i rozpacz, jakie często niesie ze sobą nasza egzystencja.

Bez wątpienia Henry zostawił go, aby zrobiła z niego pożytek. Rozwali im łby!

Wyjęła pistolet ostrożnie z kartonu, nieco zaskoczona jego ciężarem.

Zawsze sądziła, widząc, z jaką łatwością w filmach posługują się nią aktorzy, że broń jest lekka. Zanim ujęła rękojeść, przez chwilę oglądała pistolet. Palcami lewej ręki delikatnie gładziła metal, niczym kruche i bezcenne dzieło sztuki, podziwiając jego wykonanie. Nagle wydało jej się, że to, co za chwilę zrobi, jest czymś mistycznym, nieuniknionym, być może nawet pięknym. Nie dopuściła do siebie myśli, że za zamordowanie Stevena i jego przyjaciela wyląduje na długie lata w więzieniu. Podejdzie do niego i wypowie słowa, które poruszą go, wstrząsną jego duszą i ogarną nieskończonym smutkiem i żalem za to, co jej zrobił. Powie mu: „Kochałam cię bardziej niż siebie samą. Zabiłeś moją miłość, zabiłeś mnie, a teraz ja zabiję ciebie!”. W duchu słyszała jego błaganie o litość, o wybaczenie, ale postanowiła, że pozostanie bezlitosna.

Nagle usłyszała krzyk Boba, który najprawdopodobniej doznawał szczytu rozkoszy, o jaką przyprawił go jej ukochany. Tym razem bez zastanowienia, szybkim krokiem weszła do sypialni i stanęła za plecami Stevena. Jego dłonie obejmowały tym razem ramiona Boba. Palce wbił tak mocno w jego ciało, że pozostawiły na skórze czerwone, podłużne ślady.

Przystawiła lufę pistoletu do skroni Stevena i w chwili, kiedy odwrócił głowę w jej stronę, odciągnęła kurek pistoletu, tak jak to nie raz widziała w filmach.

Bob nadal wydobywał z siebie stłumione krzyki, nie zdając sobie sprawy, że seans został niespodziewanie zakończony.

– Zamknij się wreszcie! – zwróciła się do niego.

Na widok Teresy z pistoletem odruchowo podniósł ręce do góry, przez co stracił równowagę i oboje ze Stevenem runęli jak dłudzy na siebie.

Bardzo chciała, by zaczęli wic się ze strachu i szlochając, błagać ją o darowanie im życia, ale oboje leżeli bez ruchu. Po chwili Steven zaczął naciągać na siebie zsuniętą kołdrę.

Bob również odwrócił powoli głowę w jej stronę. W jego twarzy nie zobaczyła ani odrobiny strachu. Wręcz przeciwnie. Jego czarne oczy błyszczały blaskiem płomienia piekielnego, który już kiedyś widziała w swoich koszmarach. Na jego twarzy pojawił się szyderczy, prowokujący uśmiech. Jak gdyby chciał jej powiedzieć: „Naciśnij na spust. Na co czekasz?! Strzelaj!”.

Jej wyciągnięta do przodu ręka zaczęła drżeć od ciężaru trzymanej broni. Podparła ją drugą. Palec coraz bardziej napierał na spust. Czuła delikatny

opór metalu. Już niemal słyszała huk wystrzału. Oczami wyobraźni widziała krew tryskającą po białych ścianach sypialni.

Nagle, tuż przed całkowitym naciśnięciem spustu, dobiegły do niej z ledwo poruszających się ust Bobby'ego słowa – kiedyś już przez kogoś wypowiedziane zdanie: „Kiedyś naciśniesz spust i ja przyjdę po ciebie”.

To był on! Zjawił się w jego postaci, by mnie sprowokować i mną zawładnąć. Ten biedny umarłak nawet nie wie, kto nim manipuluje, kto się za tym kryje. Władca ciemności wydaje rozkazy, pociąga za sznurki. Oni tylko skaczą jak arlekinowie w teatrze życia.

– Posłuchaj mnie, proszę... – Steven próbował ją uspokoić. – Tak mi przykro. Nie chciałem...

– Fuck yourself! – Ściskając nadal mocno pistolet w prawej dłoni, wystawiła środkowy palec lewej w jego stronę. – Piętnaście minut i nie chcę cię w tym domu więcej widzieć. Ani śladu po tobie. Czego nie zdążysz zabrać, wyrzucę przez okno.

Opuściła broń i wybiegła z mieszkania.

Na klatce schodowej sąsiad na widok Teresy z pistoletem w ręce rzucił się na posadzkę, zasłaniając głowę rękami.

– Proszę mnie nie zabijać! Mam dwoje małych dzieci.

Jeszcze bardziej przywarł do ściany, podkulając nogi, aby zrobić jej więcej miejsca na przejście.

– Stul mordę! Wszyscy jesteście tacy sami. Gównowarciu!

Kopnęła go w gołe nogi i pobiegła na dół, do garażu, gdzie zaparkowała samochód. Wyciągnęła klucz z kurtki i kierując go na wszystkie strony, naciskała nerwowo przycisk otwierający auto. W szoku zapomniała, gdzie go zaparkowała. Land rover ojca stał zaledwie dwa metry przed nią. Wsiadła do niego, położyła pistolet na kolanach i zasłoniła twarz rękami. Krzyk rozpaczony wyrwał jej się z płuc. Zaczęła uderzać pięściami o kierownicę z taką siłą, że jej dłonie zrobiły się czerwone i z trudem rozprostowała obolałe palce. Nadal nie mogła uwierzyć w to, co się wydarzyło. To było jak zły sen, który ją nawiedził, tylko tym razem okazał się o wiele straszniejszy od marzy nocnej, gdyż był jak najbardziej realny.

Wzięła broń w obie dłonie i wsadziła lufę do ust. Zanim nacisnęła spust, zerknęła do lusterka. Za jej samochodem ktoś zaparkował auto dostawcze. Przez głowę przeszło jej opowiadanie Esther McWinhorst o samobójstwie męża. Kula z jego pistoletu zniszczyła auto stojące za nim. Uchyliła prawą

szybę, trzymając broń w lewej ręce, głęboko wciągnęła powietrze w płuca i przystawiła lufę do skroni. Bez chwili zastanowienia nacisnęła na spust.

Zdziwiony doktor Hawlett podniósł głowę znad biurka. Teresa bez pukania wpadła do jego gabinetu. Rozebrała się i rzuciła kurtkę na krzesło, położyła się na sofie, a dłonie splótła na brzuchu. Zanim podniósł się, ponownie wstała, nalała do szklanki wody z karafki i wypła ją, nie odrywając szkła od ust. Położyła się znowu w tej samej pozycji.

Doktor podszedł do niej, przysunął wolne krzesło do sofy i przyglądał się jej uważnie przez chwilę w milczeniu. W końcu delikatnie złapał jej zaczerwienione i opuchnięte dłonie.

– Wyjął wszystkie naboje z magazynka – zaczęła cicho, ale z wyraźnym wyrzutem w głosie.

– Chciałaś kogoś skrzywdzić? Co się stało?

Teresa pokręciła przecząco głową.

– Chciałam ich zabić, ale nie mogłam. Zabrakło mi odwagi. Zresztą i tak bym tego nie zrobiła. W pistolecie nie było kul. Ojciec zostawił broń bez naboji.

– Ktoś cię napadł i broniłaś się? Masz opuchnięte dłonie.

– Pojechałam na zakupy, później do domu – zaczęła od początku. – W mieszkaniu zastałam Stevena w naszym... w moim łóżku ze swoim przyjacielem. Nie wiem, od jak dawna trwa ich związek, być może dłużej od naszego. Ja służyłam tylko jako przykrywka przed jego przyjaciółmi i znajomymi, chciał ukryć swój homoseksualizm. Dlaczego nie powiedział mi tego? Chcieliśmy się przecież pobrać.

– Nie ukrywam zaskoczenia faktem, który mi przedstawiłaś. Różne są tego powody. Na pierwszym miejscu konserwatywne wychowanie rodziców, następnie religia zabraniająca takich związków, presja środowiska, miejsce pracy, przyjaciele, a chyba najważniejszy w tym wszystkim jest słaby charakter takiej osoby. Ale przecież nie muszę ci, moja droga, o tym wszystkim opowiadać.

– Chciałam ich zabić! Ojciec zostawił...

Teresa opowiedziała całe zdarzenie, łącznie z jej nieudaną próbą samobójstwa.

Doktor Hawlett wstał i podszedł do szafki z lekarstwami. Podszedł do niej, trzymając w dłoni małą buteleczkę z pigułkami. Nalał wody do szklanki.

– Weź teraz dwie. Zawiozę cię do domu.

Teresa kręciła przecząco głową.

– Nie chcę słyszeć sprzeciwu. – Przez chwilę zastanawiał się. Teresa wzięła z ociąganiem tabletki i połknęła je, popijając wodą. – Ale zanim pojedziemy, jest coś, o czym chciałbym ci opowiedzieć. Ojciec wyznał mi krótko przed śmiercią coś, co mnie zaszokowało. Ten spokojny, miły i uczynny człowiek miał tajemnicę, której nikomu do tamtej pory nie ujawnił. W czasie drugiej wojny światowej służył w piechocie. Miał wtedy dwadzieścia trzy, może dwadzieścia cztery lata, gdy w czterdziestym czwartym roku jego batalion stacjonował w Belgii, a następnie we Francji. Pewnego dnia, wczesnym rankiem, kiedy było właściwie wiadomo, że losy wojny są już przesądzone, ich oddział zwiadowczy natrafił na liczniejszy od nich pluton wroga. Wykorzystując całkowite zaskoczenie, zaatakowali tamtych i wystrzelali co do jednego. Tamci nie zdążyli nawet sięgnąć po broń. To nie była walka. To była egzekucja... morderstwo, jak to określili. Wielu z nich klękało przed nimi z podniesionymi do góry rękami i błagało o darowanie życia. Czy to byli źli ludzie? Mordercy kobiet i dzieci? On sądził, że to byli tacy sami żołnierze jak on. Pewnie marzyli o tym, by po zakończeniu wojny wrócić do swoich rodzin, żon i dzieci. Od tamtego dnia zaczęły prześladować go koszmary. Co noc widział ich twarze... przerażenie w ich oczach. Niektórzy z nich byli jeszcze właściwie dziećmi. Przyniósł ze strychu, aby mi udokumentować wiarygodność swojego opowiadania, starannie owinięty w prześcieradło karabin maszynowy, który udało mu się zachować po wojnie. Powiedział mi tamtego dnia: „Nie zrób czegoś, co zniszczy całe twoje życie. Tamto wydarzenie zniszczyło moje. Często myślałem o samobójstwie, ale byłem tchórzem i nigdy się nie odważyłem. Później poznałem twoją matkę i moje życie nabrało jakiegoś sensu. Tylko te przeklęte koszmary pozostały do dziś!”

– Ja nie chciałam ich zabić z premedytacją. Coś weszło we mnie, tyle złości i rozczarowania. Sama nie wiem, dlaczego sięgnęłam po pistolet, naprawdę nie wiem... – Po policzkach Teresy popłynęły łzy bezsilności i ogromnego smutku.

– Chciałem tylko przez tę historię powiedzieć: podziękuj Najwyższemu – głową wskazał sufit – że twój ojciec wyciągnął kule z magazynka. W innym wypadku zraniłabyś lub może nawet zabiła dwoje ludzi i zniszczyła przy tym swoje życie. Jesteś wspaniałą, atrakcyjną, młodą kobietą, która odnajdzie drogę i szczęście w życiu. Kiedyś zaświeci słońce tylko dla ciebie. Tego

jestem pewny! – Pogładził delikatnie jej obolałe dłonie. Teresa uśmiechnęła się smutno do niego.

– Ludzkość być może za parę tysięcy lat doczeka się następnego stopnia ewolucji. A wiesz, po czym go rozpoznają? – Teresa zaprzeczyła. – Znikną niektóre słowa. Takie jak: zemsta, mord, prowokacja... – Pomógł wstać jej z sofy. – A teraz zawiozę cię do domu pod warunkiem, że coś mi obiecasz. – I nie czekając na jej odpowiedź, dodał: – Nie zrobisz żadnego głupstwa?!

– Obiecuję. Nie zrobię.

Jeszcze tego samego wieczoru zadzwoniła do matki. Opowiedziała jej o wydarzeniach tego dnia. Co chwilę szlochała. Matka z trudem starała się opanować swój głos. Na zakończenie rozmowy oznajmiła córce:

– Tęsknimy bardzo za tobą. Ja mieszkam jeszcze w Krakowie, ale za sześć miesięcy wyprowadzam się do naszego domu. Przyjedź do nas, proszę. Znowu będziemy jedną rodziną. Obiecuję ci to. Przejmiesz moją pracę, mieszkanie...

Rozdział drugi. Kraków. Podwójne życie

Wydarzenia tego poranka prześladowały ją cały cholerny dzień, jak określiła ten poniedziałek. Ciągłe stawała jej przed oczami wścibska sąsiadka, która najwidoczniej nie miała lepszego zajęcia od obserwowania lokatorów. Jej kiepskiego humoru nie potrafił poprawić taksówkarz, który najwidoczniej się do niej zalecał i z którym umówiła się na jutro, a właściwie nawet na cały tydzień. Obiecał, że rano ją odbierze i zawiezie do szkoły, bo jemu i tak jest po drodze. Nie chciał nawet grosza. Teresa nie zgodziła się na to. Zostawiła mu dziesięć złotych, co i tak było tylko połową tego, co mu się należało.

Gdy wysiadała, jeszcze raz ponowił swoją ofertę:

– Jutro rano czekam na panią!

Teresa uważniej mu się przyjrzała. Mężczyzna był bardzo przystojny. Jasne, lekko kręcone włosy, trzydniowy zarost, który dodawał mu jeszcze więcej urody, i do tego uśmiechnięte, błękitne oczy... Coś przemknęło jej w głowie. Po raz pierwszy odkąd rozstała się ze Stevenem.

W szkole uczniowie jakby wyczuli instynktownie chandrę, jaka towarzyszyła ich pani od angielskiego (jak ją nazywali), i zachowywali się nadzwyczaj cicho. Wszyscy słuchali skoncentrowani jej wykładu na temat londyńskiego metra i różnicy w nazewnictwie pomiędzy językiem amerykańskim a angielskim.

Dwóch uczniów sprawiało jej jeszcze do niedawna sporo problemów. Jak Teresa szybko zauważyła, rywalizowali pomiędzy sobą, który z nich bardziej zwróci na siebie uwagę reszty klasy. Były to najczęściej głośne dowcipy na temat innych uczniów lub pod jej adresem, co o mały włos nie wyprowadziło jej z równowagi. Któregoś dnia kazała jednemu z nich zostać w klasie, podczas gdy innych puściła na przerwę. Usiadła na stole przed nim, zakładając wyzywająco nogę na nogę. Jej spódniczka podniosła się w górę,

ukazując kształtne uda.

Maurycy Bagiński spoglądał na nią z cwaniackim uśmiechem. Pod tą powłoką dostrzegła kłębek nerwów, które starał się ukryć. Położyła mu rękę na ramieniu.

– Wiesz, dlaczego chciałam, żebyś został w klasie?

– Nie... nie wiem – jąkał się. – Bo lecisz na mnie?

– Wiesz, co ja z takim gównem jak ty robię? – Ścisnęła mu ramię tak mocno, że przechylił się na jedną stronę.

– Nie wiesz, kim jest mój ojciec! Jak będzie chciał, to załatwi cię tak, że cię ze szkoły na zbity pysk wywalą.

– A ty masz pojęcie, kim jest mój facet?! Jak mu opowiem, że mnie taki jeden gnój z mojej klasy molestuje, to dorwie cię kiedyś w ciemnym zaułku i wybiję wszystkie zęby. Tobie i twojemu kumplowi, jak nie przestaniecie przeszkadzać mi w pracy. Zrozumiałeś, co do ciebie powiedziałam? – Podniosła rękę w górę i o mało nie przyłożyła mu w łeb.

– Tak – odpowiedział cicho, chowając głowę w ramiona.

– Spróbuj jeszcze raz, a gwarantuję ci, że twój ważny tatuś odwiedzi szybciej, niż ci się zdaje, dyrektora szkoły w jego gabinecie.

Więcej nie spróbował. Mało tego, chłopak stał się jednym z lepszych uczniów w klasie. Teresa w czasie tej rozmowy o mało nie straciła panowania nad sobą i zdawała sobie sprawę, że nie był to właściwy środek wychowawczy.

Z drugiej strony – jak później rozważała to zajście, które nie było profesjonalnym podejściem psychologa do pacjenta – strach okazuje się najstarszą i najskuteczniejszą metodą wychowawczą. Czy można wychować więźnia?

Resocjalizacja. Zastanawiała się nad nią niejednokrotnie. Zapytała kiedyś o to wykładowcę na psychologii, ale nawet on nie potrafił jednoznacznie udzielić odpowiedzi. Jego zdaniem można zadać innemu człowiekowi lub zwierzęciu ból fizyczny i do tego stopnia upokorzyć go, że będzie chodził przed tobą na kolanach, lecz kiedy wyjdzie na wolność, istnieje duże prawdopodobieństwo, że zabije cię bez mrugnięcia powieką.

Ostatnie dziesięć minut każdej lekcji rezerwowała na fragment filmu w oryginalnej, anglojęzycznej wersji. Zadaniem uczniów było wynotowanie jak najwięcej nieznanymi, nowych słów, które omawiali krótko na początku następnej lekcji.

Zanim opuściła szkołę, dyrektor poprosił ją o rozmowę z jedną z uczennic. Dziewczyna już po raz kolejny przysłała z siniakami do szkoły. Tym razem tłumaczenia w rodzaju „przewróciłam się na rowerze” żaden z nauczycieli nie wziął na serio. Jej zadaniem było wyciągnięcie z niej informacji, który z rodziców to robi i dlaczego. Tylko na tej podstawie dyrektor mógł podjąć odpowiednie kroki.

Dziewczyna weszła do gabinetu ze spuszczoną głową, zaciskając nerwowo palce. Gdyby niedola miała imię, nazywałaby się w tamtej chwili Lucyna Metich.

Teresa podeszła do niej i delikatnie podniosła jej twarz do góry. Podbite oko, rozcięta warga i spuchnięty nos wyraźnie wskazywały na to, że ktoś ją uderzył parę razy w twarz. Objęła ją serdecznie i mocno przytuliła do siebie. Do tego stopnia zrobiło jej się żal dziewczyny, że łzy same potoczyły jej się po policzkach i spadły na włosy o wiele niższej od niej uczennicy.

– Opowiesz mi wszystko, Lucynko?

– Tak – wyszłochała dziewczyna w jej piersi.

Powód tych okaleczeń był prosty. Prosty jak alkoholizm, który zamienia ludzi w agresywne zwierzęta. Ojciec był kochanym człowiekiem, dopóki się nie napił.

Uspokajała ją, jak tylko mogła, i zapewniła, że ojciec nic jej więcej nie zrobi. To, że powiedziała jej prawdę, pozwoli prawdopodobnie załatwić sprawę bez ingerencji policji.

– Mój własny ojciec bije mnie bez powodu. Prędzej wskoczę do Wisły, niż tam wrócę! – Wycierała rękawem zasmarkany nos.

– Masz jeszcze jakąś rodzinę, u której mogłabyś się zatrzymać?

Teresa zauważyła, że dziewczyna myśli zupełnie poważnie, aby sobie coś zrobić, i że w żadnym wypadku nie powinna zostać sama. Skierowanie jej natychmiast do szpitala pogorszyłoby tylko całą i tak trudną sytuację.

– W Krakowie nie mam nikogo. W Skawinie mam dziadków od strony mamy.

– A co robi twoja matka? Czy też jak ojciec...?

– Pracuje jako ekspedientka w Kauflandzie. Przychodzi późno do domu. Ojciec, odkąd stracił pracę, codziennie pije i nas terroryzuje. Jest coraz gorzej... – Lucyna znowu opuściła głowę na piersi.

– Możemy zadzwonić do niego? Dasz mi jego numer telefonu?

Dziewczyna skinęła głową i napisała numer komórki ojca na podanej

przez Teresę kartce. Teresa usiadła za biurkiem dyrektora i wystukała podany jej numer. Dopiero po dłuższej chwili mężczyzna odebrał telefon. Wyjaśniła mu powód tej rozmowy i zagroziła mu, że jeżeli nie zgłosi się do niej za dwie godziny, to bez zastanowienia wyśle po niego radiowóz policyjny z oskarżeniem o pobicie córki. Podała mu adres przychodni i swoje nazwisko. Kazała dziewczynie poczekać na korytarzu i poprosiła dyrektora o rozmowę.

– Jak to się stało? A może raczej, pani Tereso, kto to zrobił?

Dyrektor rozpiął marynarkę i powiesił ją na jednym z krzeseł, które stały obok jego biurka. Usiadł naprzeciwko i machnął ręką na widok podnoszącej się od biurka Teresy, jak gdyby chciał jej dać do zrozumienia, że w tej sprawie ona o wszystkim decyduje. Czerwcowe słońce wlewało się do gabinetu, wypełniając go letnim ciepłem.

– Jej ojciec. Bije ją, jak się napije, a wygląda na to, że robi to codziennie. Lucyna nie chce wrócić do domu. Zagroziła, że popełni samobójstwo. Sam pan rozumie, że nie możemy tego tak zostawić. Zaczęliśmy tę sprawę i musimy ją dokończyć, inaczej będziemy mieli na sumieniu losy tej biednej dziewczyny.

Teresa usiadła i odruchowo sięgnęła do torebki. Miała ochotę zapalić. Sprawdziła jednak tylko, czy ma papierosy. Wbiła sobie do głowy, że ją to uspokaja. Palenie nie uspokaja. Jako psycholog wiedziała o tym doskonale. Jeden papieros i lampka wina wieczorem stały się jednak codziennym rytuałem. Siadała wygodnie w fotelu, kładła nogi na ławie, zamykała oczy i delektowała się nim niczym junkie trawką. W takich momentach przenosiła się w wyobraźni na cudowną plażę porośniętą palmami kokosowymi. Słońce i delikatna bryza od morza muskały jej nagie ciało leżące na rozgrzanym piasku. Kiedyś wyjedzie w takie miejsce. Może tam znajdzie spokój, szczęście oraz miłość. Kto wie...

– Zupełnie się z panią zgadzam. Naszym obowiązkiem jest pomóc temu dziecku. Co pani radzi? Dyrektor przysunął się krzesłem w jej stronę, włożył rękę do szuflady biurka i czegoś najwidoczniej szukał. Po chwili wyciągnął ją i splótł dłonie na blacie.

– To już nie jest dziecko, panie dyrektorze. Pamięta pan? Radzę, żebyśmy wyszli na jednego do palarni i tam porozmawiali. Moje nerwy mnie dzisiaj zawodzą. Najchętniej wzięłabym takiego drania i sprąła mu tak samo gębę, jak on to zrobił swojej córce.

Wiedziała, że dyrektor popała. Ukrywał to, ale przed spostrzegawczymi

nauczycielami trudno było cokolwiek zataić.

– Nerwy pani puszczają, pani Tereso? Czy to może mroki ludzkiej duszy, które stara się pani u swoich pacjentów przeświecić?

– Nie. A właściwie, tak. Czasem myślę, że dobrze byłoby pewne rzeczy skasować ze swej pamięci i zacząć od nowa. Staram się rozgraniczać życie prywatne od zawodowego, ale to nie zawsze funkcjonuje.

Nagle poczuła potrzebę zwierzenia się i zrzucenia z siebie balastu, który się w niej nagromadził. Nigdy z nikim nie rozmawiała na temat swojej pracy. Nawet w rozmowach z rodzicami starała się unikać tego tematu.

– Kto uważnie słucha, ten wszystko pamięta. Czy o to chodzi? – Kochanowski wyjął z szuflady paczkę lucky strike'ów i włożył je do kieszeni marynarki.

– Tak. Mniej więcej tak. Jak na przykład komuś, kto spowodował nieumyślnie wypadek, w którym zginęła cała rodzina, wytłumaczyć, że nie jest mordercą? Musi z tym żyć, nie ma innego wyjścia. Kiedyś zacznie normalne życie, ale świadomość pozostanie.

– Ale czy on jest mordercą, czy zabójcą? – Wziął Teresę pod rękę i poprowadził w stronę drzwi.

– To zależy, jak zdefiniujemy słowo morderca. – Teresa założyła torebkę na ramię.

– Pozostańmy przy nieumyślnym zabójstwie. Morderstwo brzmi brutalnie i kojarzy się z premedytacją. Wypadek drogowy, w którym sprawca prowadzi samochód pod wpływem alkoholu, jest morderstwem. I proszę skończyć z tym panem dyrektorem. Wszyscy nazywają mnie Wacław.

A za plecami: Waciu. Teresa uśmiechnęła się w jego stronę.

Przeszli obok zdziwionej Lucyny, która pewnie pomyślała, że zostawią ją teraz samą. Dyrektor odwrócił się w jej stronę, jak gdyby dopiero co ją zauważył.

– Zostaniesz tutaj. Za parę minut jesteśmy z powrotem.

– Tak, panie dyrektorze. – Dziewczyna schyliła głowę i spojrzała na swoje stopy.

Już na dole, przed budynkiem, gdzie znajdowała się palarnia, Teresa przedstawiła mu swój plan.

– Metich przyjdzie do mnie dzisiaj do przychodni – popatrzyła na zegarek – o trzeciej. Porozmawiam z nim, ale to nic nie zmieni. Ten człowiek potrzebuje długotrwałej terapii. Krótko mówiąc, trzeba go na jakiś czas

zamknąć. Takie decyzje wydaje sąd. Z reguły trwa to długo, a my nie możemy tracić czasu. Najlepszym wyjściem byłoby, gdyby podpisał zgodę na leczenie i pojechał natychmiast do zakładu. Z tym z kolei też mogą być problemy. Jak znaleźć zakład, który przyjmie go od zaraz?

Przez chwilę palili w milczeniu.

– To nie jest aż taki problem, jak się pani wydaje. – Uśmiechnął się pod nosem i zagasił niedopałek papierosa w stojącej popielniczce. – Trochę witaminy Z jak znajomości otwiera wszystkie bramy. Lucyna zostanie w szkole i będzie odrabiała lekcje aż do chwili, kiedy jej ojca od pani zabiorą.

– Kto go ode mnie zabierze? – Nie ukrywała zdziwienia.

– Przyślę straż miejską. Na wszelki wypadek, gdyby mu coś wpadło do głowy i miał zamiar się ulotnić, każę im go przyprowadzić. Pani zadaniem jest uzyskanie jego pisemnej zgody na leczenie. Kiedy podpisze, otworzy pani drzwi i wpuści do środka przedstawicieli władzy. Oni zajmą się resztą. Chodźmy na górę. Muszę zadzwonić do znajomego.

Punktualnie o trzeciej usłyszała pukanie do gabinetu. Nie czekając na odpowiedź, dwóch strażników miejskich wprowadziło do środka chwiejącego się Meticha.

– Dzień dobry, pani psycholog. – Jeden z nich uśmiechnął się do Teresy. – Przyprowadziliśmy go, jak było z panem dyrektorem Kochanowskim uzgodnione. Ociągał się nieco, ale mu grzecznie wytłumaczyliśmy, że to tylko i wyłącznie dla jego zdrowia.

W strażniku miejskim rozpoznała Mariana Ugodę, któremu przed rokiem wydała opinię zezwalającą na wykonywanie tej pracy.

– Dzień dobry, panie Marianie. Dziękuję. Zostawcie nas na chwilę samych?

– Gdyby coś się działo, proszę wołać. My stoimy za drzwiami, pani Tereso. Odwracamy się – zwrócił się tym razem do stojącego pośrodku nich Meticha.

Kolega wyciągnął kluczyk z kieszeni i odpiął mu kajdanki. Przez chwilę przyglądali się Metichowi i jego zachowaniu, po czym wyszli z gabinetu.

– Proszę podejść, panie Metich.

Mężczyzna miał około czterdziestu lat, był niskiego wzrostu i zaniedbany. Z daleka dobiegł do jej nozdrzy nieprzyjemny zapach potu, alkoholu i moczu, dlatego też nie poprosiła go, aby usiadł na którymś z krzeseł stojących obok jej biurka.

– Córka już któryś raz z rzędu przychodzi do szkoły posiniaczona. Dzisiaj wyznała nam, że pan ją bije. Leje pan własne dziecko bez powodu. Może mi pan to wytłumaczyć? Dlaczego, na miłość boską, pan to robi?

Na biurku Teresy leżał wypisany wniosek o skierowanie go do zakładu psychiatrycznego na leczenie odwykowe. Tam miał zostać tylko parę tygodni, później czeka go długotrwała terapia AA, którą Teresa prowadziła dwa razy w tygodniu.

– No i co? Biję, bo moja, inaczej bym nie bił. – Metich stał skurczony i drapał nerwowo przedramię raz lewej, raz prawej ręki.

Teresa wiedziała już, że Metich podpisze skierowanie, nawet gdyby miała zawołać strażników i oni pomogliby mu trzymać w ręku długopis. W razie czego pozostawała jeszcze opcja, że pacjent jest niebezpieczny i zagraża otoczeniu. Na przykład rzuca się na psychoterapeutę... Strażnicy potwierdziliby jej zeznanie.

– Dwa wyjścia, panie Metich. Leczenie i późniejsza terapia, którą ja prowadzę. Obiecuję, że zrobimy wszystko, aby pan znowu zaczął normalne życie.

– Albo co? – Podniósł głowę i popatrzył w nią przekrwawionymi oczami.

– Albo wsadzę cię na długi czas za kraty! Na twoim miejscu nie zastanawiałabym się nawet minuty. – Odwróciła wniosek w jego stronę i położyła przed nim długopis.

Metich podszedł chwiejnym krokiem do biurka.

– Gdzie mam podpisać?

Teresa wskazała palcem miejsce. Mężczyzna wziął pomiędzy trzęsące się palce długopis. Lewą dłoń trzymał prawą rękę, aby opanować przez chwilę drgania, i zakreślił bazgroły, których nikt nigdy by nie odczytał.

– Pomoże mi pani? – Spojrzał na nią, tym razem błagalnym wzrokiem.

– Tak, obiecuję.

Nagle jej złość minęła. Zrobiło jej się go żal. Podeszła do drzwi i poprosiła do środka strażników. Na widok kajdanek, które chcieli mu założyć, zwróciła się do Ugody:

– Nie potrzeba. Prawda, panie Metich, że nie potrzeba?

– Tak. Nie potrzeba.

Jeszcze tego samego dnia umówiła się z Olgą o czwartej w kawiarni, w domu handlowym „Jubilat”. W pamięci powracała często do pierwszego spotkania sprzed ponad trzech lat. Po powrocie do Polski już po miesiącu

przejęła po matce nauczanie języka angielskiego w gimnazjum. Marta nie czekała do końca roku szkolnego z przeprowadzką, lecz już na początku marca wyprowadziła się do ich nowego domu pod Zakopanem.

Któregoś dnia znalazła w portfelu karteczkę, którą dostała od nieznajomej dziewczyny w Sukiennicach. „Szukam koleżanki”. Tak bardzo potrzebowała wtedy kogoś, z kim mogłaby porozmawiać o swoich problemach, kogoś, z kim mogłaby wyskoczyć do kina lub po prostu pochodzić po sklepach.

Też tak bardzo szukam koleżanki!

Zdawała sobie sprawę, o jaki rodzaj koleżeństwa chodziło tej uroczej dziewczynie, kiedy ich drogi przypadkowo skrzyżowały się. Może to właśnie podświadomie stało się powodem, że wtedy podniosła kartkę z ziemi i schowała do portfela. Zrobić coś szalonego! Odskoczyć od wytyczonej drogi, od stereotypów, od normalnego, nudnego życia. Nie myślała o konsekwencjach. Ktoś, kto gotowy jest przyłożyć sobie pistolet (bez naboju) do skroni, nie zastanawia się specjalnie nad konsekwencjami takiego czynu. Ten ktoś jest szalony.

Jestem szalona.

Zadzwoiła pod podany numer. Po trzech sygnałach wyłączyła komórkę. Po minucie rozbrzmiał jej telefon.

– Słucham. – Jej głos drżał ze zdenerwowania.

– Dzwoniłaś, skarbie? – Głos Olgi miał wyraźny, ale bardzo miły, melodyjny, rosyjski akcent.

– Chyba się pomyliłam. My się nie znamy. A właściwie to spotkałyśmy się jeden raz...

– Angielka? – przerwała jej. – Nie pamiętam cię. Z reguły faceci dzwonią do mnie i proszą o spotkanie. Ale jak chcesz, nie widzę problemu. – Wymówiła te zdania na wydechu, nie robiąc przerwy między wyrazami.

– To nie to. Dałaś mi karteczkę z twoim telefonem. Szukasz koleżanki. Tak napisałaś: „Szukam koleżanki”. Tak się składa, że ja też teraz...

– Przed świętami na Rynku! To ty. Nie rozdaję karteczek z moim telefonem, ale ty jesteś taka śliczna. Jak laleczka Barbie. Masz czas?

Teresa miała go pod dostatkiem. Już po godzinie siedziały naprzeciwko siebie w kawiarni, a po następnych piętnastu minutach trzymały się za ręce niczym rodzone siostry, które spotkały się po latach rozłąki.

– Ja pracuję od roku w Polsce i patrz, jak mi się powodzi. Mam wszystko, czego zaprawdę.

Teresa dotknęła sobolego futra, które Olga również tym razem miała na sobie. Miękką, delikatną sierść rozeszła się, robiąc miejsce na jej palce. Przyjemne uczucie ciepła ogarnęło jej dłoń. Teresa miała ochotę wtulić w nie twarz i zamknąć z rozkoszy oczy.

– Ale nie zawsze było tak dobrze. Miałam siedemnaście lat, gdy zaczęłam pracować w agencji, która wynajmowała modelki do zdjęć i na prezentację odzieży. Z początku wszystko było fajnie. Pieniądze też dostawałam dobre. Myślałam, że tak będzie zawsze, dlatego przerwałam szkołę. Później zarabiałymy coraz mniej, pomimo tego że roboty ciągle przybywało. Agencja pożyczała nam chętnie kasę na życie, ciuchy i zabawę. Młode dziewczyny chcą się trochę zabawić, to chyba normalne. Któregoś dnia oznajmili nam, że czas zwrócić pieniądze. Jak nam policzyli wszystko, to każda z nas musiała im oddać ponad dziesięć tysięcy dolarów. Skąd miałyśmy wziąć tyle forsy?! Powiedzieli, że możemy szybko je zarobić, tylko musimy zająć się od czasu do czasu facetami, którzy dobrze płacą za towarzystwo ładnych dziewczyn. W dzień byłyśmy modelkami, w nocy kurwami. A pieniędzy jak nie było, tak nie było. Przed wyjazdem miałam już dwadzieścia tysięcy dolarów długu. Uciekłam, bo powiedzieli, że mnie zabiją, jak nie oddam. Teraz to co innego. Tutaj ja dyktuję ceny i nikt nas nie okrada. Zobaczysz sama, po dwóch miesiącach nie będziesz wiedziała, co z taką kasą zrobić! Jesteś taka ładna, najbogatsi będą się o ciebie bili. Zobaczysz.

Teresa słuchała jej z niedowierzaniem i strachem. Olga traktowała ją jak koleżankę po fachu, a ona jeszcze nie wiedziała, czy odważy się na taki krok. Póki co opowiedziała jej o swoim życiu w Anglii, o nieudanym związku ze Stevenem zdradzającym ją ze swoim przyjacielem, co było powodem, że wróciła do Polski, do rodziców. Opowiedziała jej również o czymś, czego nie zdradziła nawet Cindy.

– Wiesz, ja nie byłam taka święta, za jaką mnie wszyscy uważali. Na studiach również nie byłam zbyt dobra, no wiesz, właściwie to byłam najsłabszą studentką. Ale podsłuchałam kiedyś taką jedną, co przez telefon paplała o tym, że zaliczyła egzaminy, bo wcześniej zaliczyła docenta. Wcale nie była ładna, więc pomyślałam, że jak ona może tak zaliczać, to ja też spróbuję. Od tamtej pory zaliczałam bez problemów. Jedynie angielskiego musiałam się uczyć. Ta profesorka wołała studentów – Kłamała jak z nut, patrząc Oldze prosto w oczy. Chciała jej koniecznie zaimponować i

zaprezentować taki obraz siebie, jaki mógłby być godny uwagi doświadczonej w dziedzinie zdobywania mężczyzn nowej koleżanki.

– To masz doświadczenie. Ale musisz pamiętać o jednym, oni płacą i musisz robić, co chcą, albo stracisz klientów. Wszystko jasne?

Teresa nie była pewna, czy naprawdę wszystko jest takie jasne, ale skinęła głową.

– A teraz – Olga spojrzała na zegarek – musimy lecieć. O szóstej umówiłam cię z klientem. Milioner i na dodatek przystojny. Nie musisz się o nic martwić. Ja cię zawiozę i będę na ciebie czekała. Jesteś umówiona na godzinę i musisz pilnować, żeby nie zostać dłużej. Nie bój się, wszystko będzie dobrze. Myśl o pieniądzach, jakie zarobisz. A facetom to musisz tylko w mózgach namieszać. A wiesz, gdzie oni je mają? No pewnie, że wiesz – między nogami. Niektórzy mają małe mózgi, inni nieco większe, krzywe lub proste, grube albo chude, ale wszyscy są przez nie sterowani. Nie zapomnij zakładać im na ich mózgi czapeczek, inaczej możesz nabawić się kataru. – Wyciągnęła z torebki pudełeczko i włożyła je Teresie do ręki. – I jeszcze jedno. Nie możesz pracować jako Teresa, to brzmi zbyt porządnie, poza tym nikt nie musi znać twojego prawdziwego imienia. Masz jeszcze jakieś inne lub może jakieś ci się podoba? Zaraz cię przechrzcimy.

– Na drugie mam Amanda. – Bała się, że zaraz zemdleje. Pociągnęła ostatni łyk zimnej już kawy.

– Amanda to ładne imię. A więc wstawaj, Amando. – Jeszcze raz zerknęła na zegarek, który wskazywał za dwadzieścia szóstą.

Wyszła wtedy od rzekomego, przystojnego milionera już po czterdziestu minutach. Olga czekała na nią w samochodzie i paliła papierosa.

– Co tak szybko? Wyrzucił cię? – zapytała zdenerwowanym głosem.

– Nie, zasnął. Co miałam robić?

Teresa wzięła od niej bez pytania zaczętego papierosa i zaciągnęła się mocno. Zaczęła kaszleć i krztusić się dymem.

– To dobrze. Jak śpią, to są szczęśliwi. – Olga odebrała od niej papierosa. – Palić to ty się dopiero musisz nauczyć. To nie jest takie łatwe, jak by się wydawało. A o pieniądze nie musisz się martwić, dostajesz je ode mnie, a ja się z nimi rozliczam. – Wyciągnęła plik zwiniętych w rulon banknotów i podała Teresie. – Pięć stów. Przelicz.

Teresa schowała pieniądze, nie odwijając rulonu.

– I jeszcze coś mam dla ciebie. – Sięgnęła na tylne siedzenie. – Prezent.

Będzie pasować, bo jesteśmy takie same wysokie, jak siostry. – Objęła ją i przystawiła twarz do jej policzka.

Na widok futra Teresa zaniemówiła. Przyłożyła do niego twarz i upajała się jego puszystością i ciepłem.

– Nie mogę, ja naprawdę nie mogę. To takie drogie futro.

– Ono jest od serca, na dowód naszej przyjaźni, teraz i na zawsze. Musisz je wziąć.

Teresa założyła je od razu, postawiła kołnierz do góry i zamknęła oczy. Olga wyrzuciła niedopałek przez okno i ruszyła.

Przez prawie pół roku nie spotykały się ze sobą. Olga nadal prowadziła agencję, a Teresa usamodzielniała się, kończąc jednocześnie przyjaźń, jaka je łączyła. „Przyjaźń” to zbyt górnotne słowo dla relacji, jaka je łączyła. Kropką nad „i”, która spowodowała, że ich drogi rozeszły się, było ostatnie zlecenie Olgi. Nie przedstawiając jej żadnych szczegółów, zawiozła ją pewnego styczniowego wieczora na prywatne przyjęcie do willi, gdzieś pośrodku lasu, i zostawiła na pastwę losu trzem bydlakom, którzy okazali się wrednymi, perwersyjnymi sadystami. Oprócz niej na przyjęciu znajdowało się jeszcze parę innych dziewczyn. Wśród nich dwie nie były z całą pewnością pełnoletnie. Jedną z nich upili, wlewając na siłę zawartość butelki wódki do gardła. Dziewczyna płakała i broniła się bezskutecznie. Wszystkie pozostałe przyglądały się tej scenie, sparaliżowane ze strachu, bojąc się stanąć w jej obronie. Następnie rozebrali ją i przywiązali nagą do krzesła. Jeden z nich oświadczył, że spotka to każdą, która nie spełni ich zachcianek. Teresa nie zapomniła do tej pory tego typu o mocnej budowie ciała, w okularach z cienką, złotą oprawką i o dziwnym akcencie, którego pochodzenia nie mogła rozszyfrować. Złapał ją wtedy za szyję i zaczął wlec po schodach na górę, gdzie, jak się domyślała, znajdowały się inne pokoje, w których na pewno nic dobrego się nie działo.

Zapytała go, czy może wziąć ze sobą butelkę szampana, którą wypiją wspólnie w pokoju. Jej spokój i opanowanie zbiły go zupełnie z tropu. Zatrzymał się na schodach i zwolnił uścisk. Pchnął ją w stronę salonu i kazał się pospieszyć. Teresa wzięła pierwszą lepszą butelkę z barku i weszła za nim po schodach na górę. W chwili kiedy odwrócił się do niej plecami, zamykając drzwi od pokoju, rozbiła butelkę na jego głowie. Upadł nieprzytomny pod drzwiami, tarasując swoim potężnym ciałem wyjście. Z wielkim trudem przesunęła go na bok i zeszła ostrożnie na dół. Udało jej się

niepostrzeżenie wydostać na zewnątrz. Zadzwoiła do Olgi i zagroziła jej, że jeżeli jej natychmiast nie odbierze, następnym telefonem powiadomi policję. Olga najwidoczniej czekała w samochodzie w pobliżu, gdyż zjawiała się w niecałe pięć minut. Ledwo wjechała na główną drogę, Teresa kazała jej się zatrzymać. Wyjęła nóż z torebki i przystawiła jej do gardła.

– Ty suko! Wiedziałaś, co nas tam czeka. Wystawiłaś nas na pożarcie tym zboczeńcom.

O mały włos nie straciła wtedy panowania nad sobą i nie pocięła jej twarzy ostrym niczym brzytwa nożem.

– O niczym nie wiedziałam! – Olga przysięgała na wszystko, co dla niej święte, że nie miała pojęcia, co ci goście wyprawiają.

Teresa nie wierzyła jej słowom. Kazała zawieść się do domu i zostawić na zawsze w spokoju.

Kiedy nagle Olga zadzwoniła do niej, prosząc o spotkanie, trochę się zdziwiła i nieco zaniepokoiła. Tym razem jej była koleżanka kazała na siebie długo czekać. Po pół godziny wstała, zamierzając odejść, ale Olga stanęła niczym zjawa przed nią. Objęła ją serdecznie, jak gdyby nic się między nimi nie zmieniło. Teresa domyśliła się, że specjalnie przyszła później lub może nawet obserwowała ją z daleka i podeszła do niej w ostatnim momencie.

Przez pierwsze dziesięć minut paplała o tym, jak wspaniale jej się powodzi, kupiła nawet nowy samochód z otwieranym dachem, i że muszą się koniecznie się kiedyś razem przejechać na wycieczkę poza miasto.

– A co u ciebie? Nadal pracujesz?

– Tak, nic się nie zmieniło. Nadal pracuję w szkole, trochę dorabiam w przychodni... Wszystko jest w porządku.

– Nie to miałam na myśli. Przyjdź znowu do mnie, tak dobrze nam przecież było. – Olga patrzyła jej prosto w oczy. W jej spojrzeniu było coś, co Teresę trochę zaniepokoiło: chłód.

– Po co mam wracać? Zarobiłaś na mnie majątek. Nie wystarczy ci, chcesz jeszcze więcej!?

– Nie musiałaś się o nic troszczyć, ja wszystko załatwiałam. Terminy, klientów, hotele, nawet cię zawoziłam, jak było trzeba. Byłyśmy prawdziwymi przyjaciółkami.

– Prawdziwymi przyjaciółkami? Tobie tylko o kasę chodzi, o nic więcej. Poza tym dobrze mi teraz, damę sobie radę bez ciebie i twojej przyjaźni. – Teresa starała się opanować i nie podnosić głosu, aby niepotrzebnie nie

zwracać uwagi innych gości na siebie.

– Tobie też tylko o kasę chodzi. Przyznaj. Inaczej nie robiłabyś tego, lecz żyła z twojej skromnej wypłaty.

– Skąd wiesz, co robię? Może teraz wystarczy mi moja wypłata.

– Nie udawaj świętojebliwej! Myślisz, że nie wiem, co robisz?

– Nie wiem, co wiesz, i kto ci coś naopowiadał. Nie wchodzę ci w drogę i ty nie wchodź w moją. – Teresa wiedziała, że jeszcze chwila i straci panowanie nad sobą. Postanowiła skończyć tę rozmowę. – Rozstańmy się w zgodzie. – Podała Oldze rękę.

– Jak chcesz. – Olga przysunęła twarz do niej i zanim zdążyła zareagować, objęła ręką jej głowę i przystawiła usta do jej ust.

Nie broniła się przed tym nieoczekiwanym gestem, sądząc, że jest on wyrazem pojednania. Musiała w duchu przyznać, że ma przed sobą mistrzynię pocałunku. Poczowała ciepło i delikatność jej wilgotnych ust. Olga rozsunęła językiem jej wargi i wsunęła go w usta. Teresa nie uciekała przed nim, pocałunek sprawił jej nieoczekiwaną przyjemność. Zamknęła oczy i odwzajemniła go. Przez chwilę marzyła o tym, by zaraz wsiadły do samochodu i pojechali do niej, by tam dokończyć ten rozkoszny romans. Rozbierze ją, rozplecie jej gęste włosy i będzie pieścić jej piękne ciało.

Przy stoliku obok dwie nastolatki z szeroko otwartymi ze zdumienia oczami przypatrywały się tej scenie. Dziewczyny złapały się za ręce i popatrzyły sobie w oczy, jak gdyby nagle zebrały się na odwagę, by wyrazić sympatię, jaką do siebie czuły.

Teresa otworzyła oczy i jej marzenie ulotniło się jeszcze szybciej, aniżeli zaczęło.

Olga cały ten czas spoglądała na nią. Jej zimne spojrzenie mroziło krew w żyłach. To nie była miłość ani pożądanie, lecz złość, pogarda, wręcz nienawiść.

Teresa odepchnęła ją od siebie energicznie. Rozstały się bez słowa. Tym razem na zawsze.

Z Dzidźkiem umówiona była o siódmej na przystanku tramwajowym oddalonym dwie przecznice od jej osiedla. Spotkała się z nim już parę razy i zaliczała go do najlepszych klientów. Miał forsę w brud. Nie handlował z nią, lecz płacił bez zająknięcia i tak już mocno zawyżoną cenę za usługę. Dzidziu potrzebował pilnie porady psychologa, natomiast Teresa wykorzystywała świadomie jego upośledzenie, zarabiając na nim mnóstwo

kasy.

Wszyscy oni tykają inaczej.

Nie spotykała się z normalnymi gośćmi. Szukała lub raczej wybierała ciekawe przypadki, jak nazywała tych szaleńców, którzy gotowi byli oddać się całkowicie w jej władanie.

Autonepifilia była rodzajem dewiacji, która prześladowała Radka alias Dzijdiek – jak sam się nazywał – od młodszych lat. Dzijdiek miał swój dom przy drodze wylotowej do Tarnowa, gdzie zabierał ją na takie właśnie spotkania lub, jak je nazywała Teresa, seanse. Podczas ich pierwszego spotkania wytłumaczył, na czym polega jej rola. Po tym jak założył pieluchę i wsadził smoczek w usta, wszystko było jasne.

Dzijdiek urodził się na wsi w biednej, chłopskiej rodzinie jako drugie dziecko. Starsza o pięć lat siostra miała za zadanie zajmować się braciszkiem, kiedy rodzice pracowali w polu. Najczęściej nie miała na to ochoty. W takich wypadkach kładła nagiego dzidziusia na wiązce siana i uciekała do koleżanek, z którymi mogła przynajmniej pobawić się lalkami. Chłopak na utrapienie rodziców jeszcze w pierwszej klasie szkoły podstawowej robił pod siebie. Lanie, jakie dostawał za to od ojca, jeszcze pogarszało sprawę. Po ukończeniu szkoły podstawowej jego bezdzietna ciotka (siostra matki) wzięła chłopaka do siebie, widząc w nim potencjał i nieprzeciętne zdolności do nauki. Radek po ukończeniu studiów z dyplomem inżyniera zaczął pracę w firmie państwowej, a po paru latach, nie widząc tam perspektyw dla siebie, założył własną firmę produkcyjną i nawet ożenił się. Małżeństwo rozleciało się stosunkowo szybko, w odróżnieniu do firmy, która z roku na rok rozwijała się coraz lepiej.

Jego była żona parę razy przyłapała go siedzącego w pieluszce i ze smoczkiem w ustach. Najpierw brała to jako żart z jego strony, ale szybko zorientowała się, że Radkowi brakuje „piątej klepki”, jak to określiła, i odeszła od niego.

Teresa zrobiła błąd podczas ich pierwszego spotkania, chcąc porozmawiać z nim na temat jego „lekkiego odchylenia”. Dzijdiek szybko przekonał ją o braku sensu takiej rozmowy, mówiąc jej bez ogródek:

– Ja ci, kurwo, płacę za usługę, a nie za gadanie!

A płacił słono. Kasowała go podwójnie i traktowała jak śmiecia, co jeszcze bardziej doprowadzało go do ekstazy.

Poniedziałek nie miał nic wspólnego z piękną pogodą zapowiedzianą

przez spikera radiowego. Wszystko układało się nie po jej myśli. Również spotkanie z Dzidźkiem było, jak je później określiła, „posrane”.

Radek raczkował nago z założoną na grubym tyłku pieluchą, która co chwilę zsuwała mu się na kolana, i ze smoczkiem w ustach. Chodziła za nim i od czasu do czasu podciągała mu ją na swoje miejsce, głaszcząc po łysinie. On natomiast w dowód całkowitego oddania wyciągał smoczek z ust i całował jej stopy ubrane w buty na wysokim obcasie. Aż do chwili, kiedy przypadkowo jego kolano wylądowało na palcach jej stopy. Sycząc z bólu, Amanda odruchowo kopnęła go w tyłek. Dzidziek padł na brzuch, pierdząc przy tym głośno. Smród wypełnił salon, po którym właśnie raczkował, co jeszcze bardziej doprowadziło ją do furii. Kopała go w tyłek niczym opętana, klnąc i wyzywając od najgorszych sukinsynów. Radek nie bronił się, tylko zwinął się w kłębek niczym embrion. Wsadził rękę w pieluchę i kiedy rozdawała kopniaki raz w lewy, raz w prawy półdupek, masturbował się. Prawie jednocześnie ze szczytowaniem na pielusze pojawiła się brązowa plama. Ostatni kopniak wylądował na jego brzuchu.

– Teraz posprzątaj po sobie! Na mnie nie licz.

Podeszła do krzesła, na którym położył swoje rzeczy. Z portfela wyjęła plik banknotów. Odliczyła należność i schowała pieniądze do torebki.

– Stówa ekstra za gówno.

Radek nie odzywał się. Podeszła do niego. Miał zamknięte oczy i uśmiech na twarzy. Oddychał równomiernie.

– Jak śpią, są szczęśliwi – powtórzyła na głos słowa Olgi.

Nie spał! Odrobina wstydu, jaka mu jeszcze pozostała, nie pozwoliła spojrzeć jej w oczy.

Wyszła przed dom i zadzwoniła po taksówkę. Mimowolnie odwróciła głowę w stronę domu. W oknie zobaczyła jego postać. Obserwował ją. Na jej widok zasłonił firankę i uciekł w głąb pokoju, co wprawdzie wywołało lekki śmiech, a następnie wybuch. Stała przed bramą domu i skręcała się ze śmiechu do tego stopnia, że kierowcy przejeżdżających samochodów oglądali się za nią.

Z nieukrywanym zdziwieniem jeszcze tego samego wieczora odebrała wiadomość, w której prosił ją o następne spotkanie.

Długo nie mogła zasnąć tej nocy. Myślami ciągle wracała do Londynu, do szczęśliwych momentów, które spędziła ze Stevenem. Tak bardzo pragnęła wtulić się w jego ramiona i wypłakać cały swój ból i cierpienie.

Po krótkiej chwili powróciła przed jej oczy postać sąsiadki klęczącej nad swoimi wymiocinami oraz Lucynka z siniakami na twarzy.

Obudziła się już o szóstej rano zrana potem. Zapomniany sen powrócił do niej znowu tej nocy i przypomniał o istnieniu prześladowającego ją demona. Tym razem we śnie klęczała przed nim niczym przed bogiem i prosiła o przebaczenie i danie jej szansy na nowe życie, na okrucieństwo miłości, do której tak strasznie tęskniła. Szatan w postaci mężczyzny ze śniadą cerą i krótko przyszyżoną brodą, ubrany w skórzaną, czarną marynarkę, spod której wystawał ośli, śmiesznie krótki ogon, oraz w czarne, również skórzane spodnie, śmiał się z niej szyderczo, poniżając ją jeszcze bardziej.

– Twoja prośba nie jest wystarczająco szczerą! Okaż mi więcej skruchy i poddania. Zrobiłem z ciebie to, czym teraz jesteś. To, czym chciałem, byś została!

Teresa objęła jego nogi i całowała wysokie, ubrudzone gnojem cholewki jego kozaków. Nagle zobaczyła w jego dłoni zwinięty w kłębek pejcz, do którego w odstępnie kilku centymetrów przymocowane były metalowe kulki, mające za zadanie rozerwać skórę w strzępy.

Rozwinął pejcz i przesuwając go powoli po jej drżącym ze strachu ciele. Nie mogła wydusić z siebie głosu. Bała się uderzenia, które okaleczy ją okrutnie.

– Jeszcze przez cztery dni zostaniesz nią. Później wyzwolę cię.

– Kim zostanę, panie? Kim jestem, panie?

Zamiast odpowiedzi powietrze przeszył świst wprawionego w ruch z ogromną siłą pejcza. Metalowe kulki, pędzące z prędkością kul pistoletowych, rozcięły jej koszulę wzdłuż pleców. Upadła nieprzytomna pod jego stopy.

Tego ranka siedziała w kuckach pod prysznicem, obejmując kurczowo kolana i poruszając bezwarunkowo całym tułowiem do przodu i tyłu. Mokra koszula, przecięta równym cięciem wzdłuż pleców, odkrywała cały widoczny pod skórą kręgosłup.

Samotność! Depresja! Może już początek paranoi. Cztery dni, powiedział cztery dni... a co dalej? Co stanie się ze mną?! Zwariuję! Nie mam siły zacząć od nowa. Nie chcę zaczynać od nowa!

Odkręciła kurek z zimną wodą. Termiczny szok o mało nie zatrzymał pracy serca. Wyskoczyła spod zimnego strumienia i zrzuciła z siebie rozerwaną koszulę.

Słuchała w milczeniu radia, jak co dnia. Czoło podparła prawą dłonią i

zamknęła oczy. Wydarzenia wczorajszego dnia niczym film o strasznym scenariuszu przebiegały jej jeszcze raz przez głowę. Nie była w stanie przełknąć nic na śniadanie. Jajecznice wrzuciła do kosza na śmieci, a dwie kanapki zapakowała w aluminiową folię i włożyła do torebki.

Zanim wyszła z mieszkania, odwróciła kartkę w kalendarzu.

Wtorek, dziewiętnasta... Uśmiechnęła się odrobinę do siebie. Lubiła spotkania z nim. Czuła się po nich jak po rozmowie z doktorem Hawlettem. W pełni wyzwolona, wręcz beztraska. Z tą małą różnicą, że nie musiała z czegokolwiek i nikomu się spowiadać. Jedynym jej obowiązkiem było zamknąć oczy i rozkoszować się. Przenieść się w inną przestrzeń, w inny czas.

Zeszła szybko po schodach i zatrzymała się niedaleko windy, dokładnie w miejscu wczorajszego zdarzenia. Mimowolnie rozejrzała się wokoło i nie widząc nikogo, odetchnęła z ulgą. Po Dorocie nie było śladu.

Krzysztof czekał na nią, stojąc przed taksówką. Na jej widok twarz rozjaśniła mu się uśmiechem. Teresa podeszła do niego ostrożnie, jak gdyby z obawą, że zaraz rzuci się na nią i zacznie witać lub może nawet ścisnąć niczym starą znajomą czy wręcz jak przyjaciółkę. Traktowała ludzi z zawodowym dystansem. To ona dyktowała i wytyczała granice w kontaktach z innymi, a nie odwrotnie.

Jeżeli chodzi o taksówkarza, pomyliła się. Co prawda stanął przy bocznych drzwiach i otworzył przed nią drzwi auta z rutyną i uprzejmością, z jaką traktował większość klientów, ale nie odbiegało to od norm *savoir-vivre*'u.

– Tydzień zaczął się wspaniale, a jak się skończy, pani...? – zapytał, siedząc już za kierownicą.

– Nie wiem, proszę mi powiedzieć. Nie wydaję długoterminowych prognoz. – Zastanawiała się, czy ma mu zdradzić swoje imię. Z pewnym wahaniem dodała: – Pani Teresa. Lub, jeśli pan woli, panna Teresa.

– Panna Teresa brzmi zdecydowanie lepiej. – Zatrzymał się przed czerwonym światłem i podał jej jedną z wizytówek włożonych do przypiętego pudełeczka przymocowanego do kokpitu. – Tak jak pani wczoraj powiedziała: tydzień będzie wspaniały! Pod jednym warunkiem: że da się pani namówić na kawę z ubogim, samotnym taksówkarzem.

Teresa patrzyła na niego z rozbawieniem. Jego ubiór, ogromny złoty sygnet z rubinowym oczkiem oraz chronograf wysadzany szlachetnymi

kamieniami wskazywały na coś zupełnie odmiennego.

– A więc ubogi pan taksówkarz chce mnie zaprosić na randkę? „Pan Krzysztof Karpiński” – przeczytała jego nazwisko z podanej wizytówki.

– Byłby to dla mnie zaszczyt... Czy to dla pani Teresy okrutny mezalians?

– Nie uznaję takich bzdur. Nikt nie powinien czegoś takiego uznawać. W dzisiejszym świecie o wartości człowieka decydują inne walory, niekoniecznie majątek lub pochodzenie. – Zauważyła, że taksówkarz wybrał inną, nieco dłuższą drogę, ale nie zwróciła mu na to uwagi.

– Zgadzam się zupełnie z panią. Nie wszyscy jednak są tego samego zdania. Sytuacja materialna odgrywała i nadal odgrywa decydującą rolę w życiu i stosunkach społecznych...

– Od dawna jeździ pan taksówką? A może to tylko takie hobby? – przerwała mu.

– Od trzech lat pracuję jako taksówkarz. Ojciec mnie wkręcił na swoje miejsce. Pracował ponad dwadzieścia lat tutaj, w Krakowie, za kółkiem. Przeszedł na emeryturę. Ja studiuje zaocznie i tą pracą finansuję swoją naukę. Zostały mi jeszcze dwa semestry.

Krzysztof podrapał się po brodzie. Robił to zazwyczaj, aby ukryć zakłopotanie, tym razem było nim małe kłamstewko. Jego ojciec tylko w początkowych latach jeździł taksówką. Ostatnie dziesięć spędził za biurkiem, dysponując małą, własną flotą samochodów przewożącą pasażerów.

– A później?

– Studiuje ekonomię. Trochę interesuje mnie polityka... Zobaczymy. A pani? Co pani robi?

– Już dojeżdżamy. – Ręką wskazała budynek szkolny.

Ledwo Krzysztof zatrzymał samochód przed wejściem na dziedziniec, a do szyby z jego strony zapukał zziębnięty gość. Uchylił okno.

– Panie kie..., panie..., zawiezie mnie pan do Katowic na lotnisko?

Starszy mężczyzna odpiął jedną ręką guzik przy kołnierzyku koszuli, drugą poprawił torbę, która zsuwała mu się z ramienia.

– Coś pan!? Toż to kawał drogi!

– Ja wiem. Ale spieszę się cholernie. Autobus mi uciekł. Zapłacę dobrze...

– No dobra. Niech będzie. – Do Teresy puścił oko i uśmiechnął się szeroko.

Podawała mu banknot. Krzysztof wyraźnie obrażony odsunął jej dłoń.

– W takim razie do jutra. Dziękuję za podwiezienie.

– Do jutra, pani Tereso. Siadaj pan – rzekł do gościa, który stał nadal z boku. – Samolot nie będzie czekał.

Ostatnie dni zajęć w szkole wszyscy traktowali nieco ulgowo. Oceny z przedmiotów nie były co prawda jeszcze wystawione, ale każdy z uczniów miał świadomość swojej wartości w oczach nauczycieli. Niektórzy otrzymali jeszcze końcową szansę na poprawę. Teresa z dumą mogła stwierdzić przed dyrektorem, że nie ma żadnych zastrzeżeń do swoich podopiecznych. Nieliczni brali nawet dodatkowe lekcje angielskiego. Byli to z reguły uczniowie mający rodziny w krajach, w których obowiązywał język angielski i do których wyjeżdżali na wakacje. Z tymi właśnie mogła swobodnie rozmawiać po angielsku, co jeszcze bardziej motywowało pozostałych do nauki.

Pod koniec pierwszej lekcji do klasy wszedł dyrektor i poprosił ją na parę słów na korytarz.

– Matka Lucyny jest w moim gabinecie. Dobrze byłoby, aby pani wytłumaczyła całą tę sytuację. – Dyrektor z pewnym zakłopotaniem pocierał skroń.

– Sprawia problemy?

– Nie. Sądzę, że nikt jej nie poinformował dokładnie. Ona nawet nie wie, gdzie jej mąż się znajduje i co się z nim dzieje.

– Czy wie dlaczego...?

– Tak. To jej Lucyna wytłumaczyła. Możemy teraz? – Ręką wskazał w kierunku gabinetu. – Może pani teraz przerwać lekcję?

– Chodźmy. To nie potrwa długo. Mam nadzieję...

Na ich widok kobieta wstała z krzesła i odwróciła się do Teresy.

– Wczoraj wieczorem Lucyna opowiedziała mi, co się stało: że mąż ją uderzył i pani kazała go zamknąć. Czy to nie jest przesada? Ludzi się tak po prostu nie zamyka w więzieniu czy gdzie on tam teraz jest. – W jej twarzy widoczne było zdenerwowanie i oburzenie sytuacją. – Ja tego tak nie zostawię, proszę mi wierzyć! Oczekuję wyjaśnienia, inaczej zaraz udam się na policję i oskarżę was o przemoc i bezprawie wobec męża. – Kobieta była bliska płaczu. W jej zmęczonych oczach widniała rozpacz i desperacja.

Teresa musiała rozładować napięcie, jakie mogła przynieść dalsza rozmowa.

– Bardzo nam przykro z tego powodu... To było jedyne wyjście i jedyne rozwiązanie tego problemu. Proszę mi uwierzyć. Pani córka nie opowiedziała

pani, jak sędzę, całej prawdy.

– A więc słucham. Proszę mi ją teraz opowiedzieć. Nie wyjdę stąd dopóki...

– Ja na sekundkę przepraszam. Proszę usiąść. – Dyrektor wskazał pani Metich miejsce i wyszedł z gabinetu.

Cholerny tchórz – pomyślała Teresa. Jak przychodzi co do czego, to się zmywa.

– Po pierwsze pani mąż nie uderzył Lucyny. On ją pobił! Po drugie nie po raz pierwszy, tylko któryś już z kolei. Dziwi mnie, że pani wcześniej tego nie zauważyła. Może pani również ją bije i wydaje się to pani czymś zupełnie normalnym?

– Nie! Przysięgam, że nigdy jej nie zbiłam. Jak była mała... czasem klapsa, ale to chyba normalne...

– Lucyna zagroziła, że jak będzie musiała iść do domu, to prędeż wskoczy do Wisły. Mówiła kiedyś pani o samobójstwie?

– Nigdy! Na miłość boską, nawet by mi to na myśl nie przyszło.

Zapanowało krótkie milczenie. W tym momencie wszedł dyrektor, a za nim sekretarka z tacą, na której stał dzbanek kawy i filiżanki. Sekretarka postawiła tacę na biurku i podniosła dzbanek, chcąc rozlać kawę.

– Ja to zrobię. Dziękuję, pani Małgosiu.

Uśmiechnął się do młodej sekretarki, patrząc jednocześnie w jej oczy. Pani Małgosia odwzajemniła uśmiech. Nie spuściła wzroku. Ich spojrzenia przez chwilę spotkały się. Teresie nie umknęło uwagi lekkie mrugnięcie oka sekretarki.

– Pani mąż jest w dobrych rękach. Z takim problemem boryka się wielu ludzi i wielu z nich staje na własnych nogach, pod warunkiem że otrzymuje wsparcie w gronie najbliższych, w gronie rodziny. Dam pani adres ośrodka, w którym mąż przebywa.

Otworzył szufladę biurka i przekładał papiery w poszukiwaniu notatek. Teresa zauważyła, że kartka papieru z zanotowanym adresem i numerem telefonu leży przed nim na blacie.

– O to panu chodzi? – Podsunęła mu papier.

– Tak. Dokładnie o to. – Podał ją kobiecie. – Ma pani prawo spotykać się z mężem, kiedy tylko pani zechce.

– Może nam pani opowie, jak doszło do tego, że mąż zaczął... Mam na myśli alkohol, przemoc wobec córki, w stosunku do pani...?

Metich wahała się z odpowiedzią. W końcu zaczęła opowiadać o problemie, jakim bez wątpienia stał się alkoholizm męża. Już po kilku minutach napięcie widoczne na jej twarzy i towarzyszące tej rozmowie zniknęło. Na jego miejscu pojawiła się ulga, jaką odczuwa się przy zrzucaniu ciężaru z barków.

Czekał na nią w umówionym miejscu. Wsiadła do samochodu, zapięła pas i poprawiła okulary. Peruka i duże okulary przeciwsłoneczne stały się nieodzownymi akcesoriami w jej drugim życiu, w życiu kobiety, którą stawała się wieczorem. Amanda była inna. Była taka, jaką sobie wymarzyli inni, taka, za której posiadanie oddaliby wszystko.

Upłynęło trochę czasu, zanim opanowała swoją rolę perfekcyjnie. Wystarczyła chwila, parę spojrzeń, krótka rozmowa i potrafiła nieomylnie ocenić faceta, stając się dla niego marzeniem, za które słono płacił.

A klienci płacili za marzenia, za chwile, za złudzenia, których im nikt do końca życia nie odbierze. Coś, co posiada się na co dzień, przestaje być marzeniem. Dla nich była tylko dotykiem cudownego obrazu, piękna, podmuchem ciepłego, krótkotrwałego zefirku.

Andrzej był jej pierwszym i stałym adoratorem. Gdy żona urodziła drugie dziecko, stał się jej obojętny. Jego adoracje i próby podjęcia normalnego, jak wcześniej, pożycia seksualnego odrzucała chłodno, twierdząc, że nie ma już na to ochoty. Zajmowała się dziećmi i on musiał ją zrozumieć. Jednak nie potrafił i nie chciał.

Przez pewien czas podawał żonie do jedzenia lub napojów przed spaniem krople nasenne. Była to nieszkodliwa, lecz skuteczna waleriana. Podwójna dawka powalała ją po krótkim czasie z nóg. Uwielbiał te chwile, w których mógł z nią robić wszystko, na co tylko pozwalała mu ochota i fantazja. Sprawa wydawała się biec po jego myśli, dopóki żona nie znalazła w szufladzie napoczętej buteleczki z kroplami walerianowymi. Połączyła szybko swoje nagłe napady senności z tym lekarstwem. Opróżniła buteleczkę i naląła do niej herbaty, po czym obserwowała uważnie męża. Zauważyła, jak wlewał dwie łyżeczki do jej soku pomarańczowego. Po wypiciu go, udawała niesamowitą senność. Andrzej zaniósł ją do sypialni. W chwili kiedy zaczął ją rozbierać, otworzyła oczy i zrobiła piekielną awanturę. Od tamtej chwili Amanda zaspokajała jego potrzeby związane ze zboczeniem, jakim stała się bez wątpienia somnofilia, czyli dewiacja seksualna objawiająca się doznaniem rozkoszy z kobietą, która udaje sen. Jedynym jej zadaniem było,

po wypiciu lampki wina, zamknąć oczy i rozkoszować się chwilą pozorowanego zmęczenia. Przeistaczała się w rolę śpiącej królowej.

Andrzej był przystojnym, wysokim, zadbanym mężczyzną w średnim wieku, co ułatwiało jej bez wątpienia takie spotkania. Często zadawała sobie pytanie, co spowodowało, że jego żona nagle stała się zupełnie wobec niego obojętna. Raz zasugerowała mu, aby namówił ją na wizytę u lekarza. Odmówił, twierdząc, że teraz ma ją – Amandę – i dobrze mu z tym.

Zasnęła! Tym razem zasnęła naprawdę.

Koszmar nocny, spotkanie z Olgą i dołek psychiczny, w jaki wpadła, dały się jej we znaki. Obudził ją, głaszcząc delikatnie po twarzy. Złapała jego rękę, nie otwierając oczu, których powieki ciążyły niczym ołów. Błogie, prawie zapomniane uczucie sytości promieniowało od łona i obejmowało jej piersi z twardymi, podnieconymi sutkami. Była pewna, że jak je otworzy, zobaczy Stevena. Zaraz dotknie jego twarzy, poczuje smak jego ust, zapach jego skóry.

– Już dziewiąta. Przepraszam, że cię wcześniej nie obudziłem, ale spałaś tak słodko.

Andrzej siedział ubrany i dwoma rękami obejmował jej dłoń. Na jego twarzy widoczne było zakłopotanie. Bał się jej reakcji. Ciągłe jeszcze miał przed oczami awanturę, jaką zrobiła mu żona, kiedy dowiedziała się, w jaki sposób ją wykorzystuje. Zagroziła mu wtedy, że oskarży go o gwałt i odbierze wszystko: dzieci i dom, a jego puści z torbami. Przepraszał ją na kolanach, obiecując, że to się już więcej nie powtórzy.

Do świadomości Teresy dotarły jego słowa. Wyswobodziła dłoń z jego uścisku, a czar prysnął niczym bańka mydlana.

– Potrzebuję parę minut. Zawieziesz mnie do miasta?

Wstała, owinęła się prześcieradłem i udała w stronę łazienki, nie czekając na skiniecie głową lub odpowiedź.

Następnego dnia stała na przystanku, rozglądając się za taksówką. Krzysztof spóźniał się. Z oddali zobaczyła czerwony autobus i zdecydowała się wsiąść. Autobus zatrzymał się obok niej. Kierowca otworzył przednie drzwi. Teresa przepuściła dwie starsze kobiety i postawiła nogę na stopniu. W tej samej chwili taksówka zajechała drogę autobusowi i cofnęła prawie przed jego maskę. Krzysztof wysiadł i podszedł do niej.

Kierowca autobusu, widząc taksówkarza, odezwał się do Teresy:

– Widzę, że mam konkurenta, z którym nie mogę rywalizować, ale

zapraszam panią następnym razem.

– Ta pani zamówiła już kursy do końca roku. Musisz pan długo czekać. – Krzysztof podał Teresie rękę.

– Ale ja nic nie zamawiałam ani nic nie obiecywałam, panie Krzysztofie. – Teresa zeszła ze stopnia na chodnik. – Przepraszam pana – odezwała się do kierowcy autobusu, który tylko skinął głową z wyrozumieniem.

– Nie odpalił dzisiaj! Bateria poszła. Sąsiada poprosiłem o pomoc i zapaliliśmy go na kabel. Stąd to spóźnienie.

– Nic się nie stało. Ja przecież do tej pory jeździłam tym autobusem i mogę z niego dalej korzystać. – Teresa usiadła wygodnie i w duchu pomyślała, że niechętnie przesiadłaby się znowu do tak często zatłoczonego miejskiego środka komunikacji.

– Sama pani nie jeździ autem? – Krzysztof szybko ruszył, nie chcąc zatrzymać autobusu.

– Kiedyś jeździłam, ale od trzech lat nie siadłam za kierownicę.

– Wypadek?

– Tak można by to nazwać. Przez wiele lat mieszkałam w Anglii.

– Stąd ten melodyjny akcent! – przerwał jej w połowie zdania.

Teresa popatrzyła na niego nieco zdziwiona.

– Nie sądziłam, że ktoś to jeszcze zauważy. W każdym razie moja pierwsza jazda w Krakowie zakończyła się fiaskiem. Wyjechałam z ronda pod prąd i w ostatniej chwili, chcąc uniknąć wypadku, zjechałam na chodnik i zmiotłam z niego parę kubłów na śmieci.

– Zabrali pani prawo jazdy?

– Nikomu nic się nie stało, więc obeszło się bez kłopotów. Policjant radził mi wykupić parę jazd i poćwiczyć z instruktorem.

– Ma go pani przed sobą, pani Tereso. Chętnie pomogę. Pracowałem jako instruktor nauki jazdy. To nic trudnego, zobaczy pani. Przy okazji chętnie zaproszę na kawę. – Odwrócił głowę w jej stronę i patrzył uważnie w jej oczy, oczekując aprobaty.

– Stop!! – krzyknęła, zasłaniając twarz rękami.

Samochód zatrzymał się z piskiem opon centymetry przed stojącym na czerwonym świetle autem.

– Kawa tak. Jazda zdecydowanie nie!

– Skoro żyjemy, może przeszlibyśmy na ty? – Podał jej rękę. Teresa podała mu również swoją.

– W przyszłym tygodniu zaczynają się wakacje. Wytrzymasz bez tej kawy jeszcze parę dni?

– Mam inne wyjście?

– Oduść.

Zatrzymał się przed szkołą, wziął jej dłoń i jeszcze raz głęboko popatrzył jej w oczy.

– Nawet gdybym miał miesiąc czekać, wytrzymam. Są chwile w życiu każdego człowieka, na które czeka bardzo długo. Niekiedy tylko je przegapia.

– A może ja jeżdżę z przyszłym prezydentem, tylko jeszcze nic o tym nie wiem? – Roześmiała się w głos i objęła go za ramię, tak jak obejmuje się dobrego znajomego, z tą tylko różnicą, że uścisk ten trwał nieco dłużej, niż to zazwyczaj bywa.

Przysunęła twarz powoli do jego policzka i otarła się o niego. Czuła jego przyjemny zapach, czuła jak wstrzymuje oddech.

– Dzięki za podwiezienie. Do jutra. – Pociągnęła za klamkę i popchnęła drzwi.

Krzysztof, będąc pod wrażeniem tego gestu, nie odezwał się słowem. Dopiero kiedy zatrzasnęła drzwi, dodał:

– Jutro będę wcześniej, tylko wymienię dzisiaj ten pieprzony akumulator.

W szkole zarówno wśród uczniów, jak i nauczycieli dało wyczuć się pewne odprężenie, jakie niosły z sobą zbliżające się wakacje. Nikt z grona pedagogicznego nie zadawał prac domowych i nie męczył swoich podopiecznych sprawdzianami. Teresa fragmenty filmów do nauki angielskiego wydłużyła do pół godziny. Resztę czasu opowiadała o Anglii i latach spędzonych w Londynie.

– Dlaczego wróciła pani do kraju? Przecież tam miała pani wszystko. – Z tym pytaniem spotykała się często. Niektórzy z uczniów nie potrafili zrozumieć, że ktoś występuje przeciwko trendowi panującemu od dziesięcioleci i wraca z wymarzonej Anglii.

– Tutaj mam to, co najcenniejsze. Swoją rodzinę. Poza tym kto inny uczyłby was tak dobrze języka angielskiego?

Po takiej odpowiedzi z reguły nikt nie podważał jej decyzji.

Po ostatniej lekcji została jeszcze chwilę w pokoju nauczycielskim, ponieważ dyrektor poprosił ją o rozmowę. Zamiast niego do drzwi zapukała Lucyna Metich.

– Czy mogę pani przeszkodzić, pani Krammer? – Lucyna sprawiała całkiem inne wrażenie aniżeli w poniedziałek. Z uśmiechem na twarzy rozglądała się żywo po pokoju. W całej jej postaci widoczna była zmiana.

– Wejdz, proszę. – Teresa wstała, wzięła ją za rękę i posadziła na krześle.
– Co się stało, Lucynko?

– Nic się nie stało. Ja tylko chciałam przekazać podziękowania od mojej mamy i... ode mnie też.

– Jak się ojciec czuje?

– Mama mówiła, że dobrze. Ja tam nie byłam.

– Przebaczysz mu? – Teresa z uwagą przypatrywała się jej.

– Nie. Nigdy mu tego nie zapomnę. – Na jej twarzy pojawiła się powaga i zdecydowanie.

– Chcesz, abyśmy o tym porozmawiały, jak będziesz gotowa? Czas leczy rany. Może już za parę dni spojrzysz na to z innej perspektywy.

– A nikt się o tym nie dowie?

– Nikt. Obiecuję. – Teresa z uśmiechem podniosła dwa palce do góry.

– To dobrze, bo ja bym nie chciała...

– Nikt nie chce, aby jego prywatne sprawy stały się przedmiotem rozmowy. Dlatego wiele osób decyduje się na taką rozmowę z kimś zaufanym...

– Takim jak pani?

– Takim jak ja. Masz jeszcze zajęcia? – Lucyna skinęła głową. – To zmykaj teraz. W przyszłym tygodniu skontaktuję się z tobą. Dobrze?

– Tak. Dziękuję pani raz jeszcze.

Teresa odprowadziła ją na korytarz. Przez okno w drzwiach gabinetu Kochanowskiego zobaczyła siedzącą na jego biurku sekretarkę. Oboje śmiali się do siebie i coś opowiadali, jak gdyby świat wokół nich przestał istnieć. Teresa cofnęła się do pokoju, wzięła swoje rzeczy i wyszła ze szkoły.

Od roku, raz w tygodniu przychodziła do niej na terapię pacjentka, którą poznała, a właściwie o niej wyczytała w „Gazecie Krakowskiej”, zanim ją zobaczyła. Wzmianka o wypadku, jaki spowodowała, wstrząsnął z pewnością wieloma osobami, które o nim czytały lub słyszały.

„Zofia F. wjechała na skrzyżowanie przy czerwonym świetle, wymuszając pierwszeństwo. Nadjeżdżający opel astra, chcąc uniknąć zderzenia, wjechał prosto pod stojący na przystanku tramwaj. Prowadzący pojazd Mieczysław S. zginął na miejscu. Jego dwoje dzieci w wieku czterech i sześciu lat

odwieziono w ciężkim stanie do szpitala. Jak nas poinformował ordynator, doktor Andrzej Muszyński, dzieci poddano natychmiast operacji i obecnie znajdują się pod intensywną opieką. Sprawczynię wypadku również przewieziono do szpitala. Zofia F. doznała ciężkiego szoku. Z doniesień świadków wynika, że kobieta najprawdopodobniej nie rozpoznała światła „oślepiąca słońcem”.

Czteroletnia dziewczynka zmarła po tygodniu, chłopak przeżył ją o cztery dni. Żona i matka dzieci nie okazała po sobie nawet w najmniejszym stopniu cierpienia, jakie rozrywało jej serce. W dwa dni po wspólnym pogrzebie popełniła samobójstwo, oblewając się benzyną, a następnie podpalając się w swoim nowo wybudowanym domu.

Zofia Furman skierowana została do szpitala psychiatrycznego, z którego wyszła po sześciu miesiącach. Depresja, w którą wpadła, wymagała dalszej opieki psychoterapeutycznej.

Na młodej jeszcze twarzy czterdziestodwuletniej Zofii rysowało się zmęczenie, cechujące osoby znajdujące się pod wpływem ciężkich stanów psychicznych. Efekty depresji i lekarstw, jakie zażywała, uwidoczniły się w jej matowych, pozbawionych siły życiowych oczach.

Już w czasie pierwszego spotkania i rozmowy z Zofią Teresa zauważyła, że jej przyszła pacjentka widzi w niej powiernika swoich zmartwień i kłopotów niekoniecznie związanych z wypadkiem. Był on tylko kroplą, która przelała kielich i spowodowała jej załamanie psychiczne.

Podczas pierwszych sesji trzymała ją kurczowo za rękę, opowiadając o pracy i życiu przynoszącym jej utrapienie. Teresa miała wrażenie, że cały ten brud, jakim ją obdarza pacjentka, przechodzi i zakorzenia się w jej własnej psychice. Któregoś dnia odrzuciła jej dłoń, grożąc, że jeżeli jeszcze raz ją dotknie, przerwie natychmiast terapię.

Tego dnia zaplanowała ostatnie spotkanie przed zbliżającymi się wakacjami. Ustaliła z nią jeszcze dwa we wrześniu i zapowiedziała, że na tym zakończą kontrakt terapeutyczny.

W tym dniu ze zdumieniem zauważyła rozpromienioną twarz pacjentki. Nie dając po sobie niczego poznać, poprosiła ją, aby usiadła, wiedząc doskonale, że zaraz i tak dowie się o przyczynie tej nagłej zmiany.

– Zrobiłam tak, jak mi pani doradziła. I jestem taka szczęśliwa! Nareszcie poznałam kogoś, kto mnie rozumie i potrafi wysłuchać. – Jej oczy nabrały blasku. Ciemne półkola pod nimi, wskazujące na bezsenność, zniknęły pod

makiżajem.

– Poznała pani mężczyznę? – Teresa nie ukrywała zdziwienia.

– Tak! I to jeszcze jakiego! Odezwał się na moje ogłoszenie w Internecie. Wczoraj spotkaliśmy się po raz pierwszy. Jest jakąś szychą w zagranicznym ministerstwie. Pochodzi z Austrii albo ze Szwajcarii.

– Nie powiedział, skąd pochodzi?

– Nie chciał o sobie zbyt dużo opowiadać, ale poznałam po akcencie. Dwa lata temu na urlopie poznałam małżeństwo Polaków mieszkających od wielu lat w Szwajcarii. Oni też mówili tak samo jak on. Musi być bardzo bogaty. – Zofia uśmiechnęła się znowu, wzdychając z zachwytem.

– Jak pani wywnioskowała, że jest bogaty? Mężczyźni często tylko udają zamożnych, żeby zdobyć kobietę, a później okazuje się, że wszystko kupione na raty albo pożyczone.

– On nie jest farbowanym lisem. Znam się na ludziach. Poza tym w przyszłym tygodniu chce mi pokazać swoją willę za miastem. Mówił, że jeździ na polowania po całym świecie. Jeśli kogoś na to stać, musi być bogaty. Nie można być zawsze sceptykiem, sama mi to pani mówiła.

– A więc dobrze. Zabrała mi pani wszystkie argumenty. – Teresie w gruncie rzeczy było to obojętne. Jedynym jej życzeniem teraz było, by nigdy więcej nie zobaczyć Zofii w swoim gabinecie.

– Myśli pani, że on się tylko chce trochę zabawić, a później... – Zofia jak gdyby wyczuła jej myśli i pogrążyła się w zadumie.

– Tego nie powiedziałam. Ale mam pomysł, aby rozwiązać pani obawy. – Teresa zrobiła przerwę, by jeszcze bardziej wywołać zainteresowanie jej propozycją.

– Powie mi pani wreszcie, co mam zrobić?

– To pani się zabawi! Zabawi się nim. Jeżeli nie będzie miał w stosunku do pani poważnych zamiarów, zawsze może pani sobie powiedzieć: było fajnie!

– Nie wiem, czy ja tak potrafię. – Tym razem na jej twarzy pojawiło się zmartwienie.

– Musi się pani zmienić! Inaczej spędzi pani życie w takich właśnie gabinetach. – Teresa zatoczyła ręką koło, pokazując na cały pokój. – A teraz porozmawiajmy o pani tygodniu i o tym, co się w nim wydarzyło. Oprócz, ma się rozumieć, bogatego pracownika zagranicznego ministerstwa.

– A więc w niedzielę, zaraz po mszy... Tutaj muszę dodać, że tego dnia to

szczęście spotkało mnie dwa razy. Nie zgadnie pani, co się stało.

– Ale jestem pewna, że zaraz mi to pani zdradzi. – Teresa odepchnęła rękę szukającą jej dłoni.

– Nawiedził mnie... Duch Święty!!! I rozkazał mi...

Teresa oparła łokcie na kolanach i schowała twarz w dłonie. Miała ochotę wstać, objąć palcami szyję swojej pacjentki i ścisnąć ją z taką siłą, żeby ani jedna kropla krwi nie dostała się do mózgu, żeby ani odrobina powietrza nie dostała się do jej płuc. Uduszenie jej, patrzenie w jej zakrwawione i wywrócone do góry w agonii oczy sprawiłoby jej w tamtej chwili satysfakcję lub może nawet rozkosz, jakiej doznaje nekrosadysta.

Tego dnia długo nie opuszczało jej wrażenie, że wielomiesięczna praca z Zofią Furman poszła na marne.

Popatrzyła na zegarek. Dochodziła szósta. Godzina spędzona na siłowni dała jej się we znaki. Chyba już się starzeję! W duchu cieszyła się tak samo na wakacje, jak jej uczniowie. Nie umawiała żadnych nowych terminów, począwszy od następnego tygodnia. Za półtora tygodnia, czyli zaraz po zakończeniu roku szkolnego, wyjeżdżała na parę dni do rodziców. Ojciec zaplanował wycieczkę rowerową. Mieli jechać do Limanowej, tam przenocować i na drugi dzień pojechać do Wadowic. O ile pogoda na to oczywiście pozwoli. Nie była zapaloną rowerzystką i trochę z pewną obawą studiowała mapę.

– O nic się nie musisz obawiać. – Henry starał się córce dodać odwagi. – To tylko pozornie jest tak daleko. Pojedziemy w tempie, jakie tobie będzie odpowiadać. To nie są zawody. Zobaczysz, będzie cudownie.

– Łatwo ci mówić. Wy jeździcie prawie codziennie rowerem, a ja mogę na palcach jednej ręki policzyć, ile razy w tym roku wsiadłam na rower. Właściwie jeżdżę tylko, jak jestem u was.

– Chodzisz przecież na fitness?

– Tak, ale to chyba nie to samo. Trochę bardziej boję się pędzących obok samochodów niż tej odległości.

– Henry wybrał taką trasę, że nie musisz się tego obawiać – wtrąciła Marta.

– Pewnie przez góry? – zażartowała Teresa i ze zgrozą popatrzyła na przytakującą głowę matki.

Wszystko jedno. Raz kozie śmierć!

Konrad zameldował się u niej w zeszłym tygodniu po miesięcznej

przerwie. Jaką rolę musiała przyjmować na spotkaniach z nim, odkryła już podczas pierwszego seansu. Seansem nazywała pracę, jaką wykonywała jej druga osobowość. Amanda była wszystkiemu winna! Teresa nie miała z nią nic wspólnego. Teresa była przykładem porządku, poukładanego, pełnego dobroci i pokory życia. Ze strachem obserwowała drugą siebie. Tamta coraz bardziej, z tygodnia na tydzień, z miesiąca na miesiąc starała się zawładnąć jej duszą. Nie była w stanie bronić się przed tą zmianą. Widziała w niej siłę i wulgarność, z jakimi mogła się wszędzie przebić. W męskim świecie stawała się ikoną. Dla każdego z tych frajerów inną, taką, na jaką chcieli spoglądać i jaką chcieli w niej widzieć.

Konrad widział w niej dominę. A ona odgrywała tę rolę perfekcyjnie. Do tego stopnia doskonale, że ból, jaki mu zadawała, stawał się realny i straszny, choć zadawała go tylko w taki sposób, jaki klient sam sobie życzył. Rozkosz, jakiej doznawał na zakończenie takiego seansu, stanowiła ukoronowanie, zadośćuczynienie zadawanego mu cierpienia. Coś, na co warto było czekać, dla czego warto było zaciskać zęby. Wyzwoleniem męczennika jest nagroda za jego cierpienia. Ostatni kopniak pomiędzy nogi wyzwalał cierpienie, które w następnej chwili zamieniało się w okrzyk niekończącej się ekstazy.

Konrad Nawracki na co dzień kierował dużym przedsiębiorstwem przemysłowym. Był człowiekiem, którego bali się podwładni, a przełożeni wyrażali się o nim z respektem i szacunkiem. Szanowali go wszyscy oprócz niej.

Sportową torbę zamieniła na niewielką, czarną torbę podróżną. Peruka, czarne okulary... i ostatnie spojrzenie w lustro. Zegar na ścianie wskazywał kwadrans przed siódmą. Odbierze ją z przystanku taksówką. Później pojedą do hotelu poza miasto. Za każdym razem inna taksówka, za każdym razem inny hotel. Zastanawiała się, kiedy te hotele się skończą lub kiedy zaczną się powtarzać. Jak na razie się na to nie zanosilo. Miała wrażenie, że wyrastają jak grzyby po deszczu dla potrzeb jej i wszystkich frajerów z okolicy.

Stanęła na przystanku i oparła się o słupek, do którego przymocowano tabliczkę z rozkładem jazdy. Na widok taksówki, która zatrzymała się przed nią, ugięły jej się kolana.

Krzysztof Karpiński nie zwracał na nią absolutnie uwagi, zajęty telefonem. Najprawdopodobniej przyjmował w tej chwili następne zlecenie, gdyż notował coś na kartce przypiętej do kokpitu powyżej radia.

Konrad siedział sam na tylnym siedzeniu. Nie czekała, aż wysiądzie z

samochodu i otworzy jej drzwi. Usadowiła się szybko obok niego, a torbę rzuciła pod nogi.

Krzysztof ruszył z przystanku, włączając się szybko we wzmożony o tej porze ruch samochodowy.

Już po chwili jazdy opanowało ją jakieś dziwne przecucie, którego właściwie nie mogła racjonalnie wytłumaczyć. Była to również obawa, że taksówkarz może ją rozpoznać, co oznaczałoby zakończenie ich znajomości, a podświadomie miała nadzieję, że przerodzi się kiedyś w coś więcej.

Głupi, wręcz cwaniacki uśmiech na twarzy jej klienta denerwował ją w takim samym stopniu, jak fakt, że samochód prowadzi facet, na którym jej sto razy więcej zależy aniżeli forsa, którą dzisiaj zarobi, czy też kopniaki, które rozdzielili pełzającemu w pokorze przed nią gościowi.

– Co jest? Co cię tak bawi? – zapytała go, poprawiając na nosie okulary i jednocześnie zakrywając prawą stronę twarzy, tak aby taksówkarz jej nie rozpoznał.

– Nic. Co miałoby być? Podobasz mi się. Dawno się nie widzieliśmy. – Objął dłonią jej kolano i przesuwając powoli coraz wyżej pod spódniczkę.

Amanda ścisnęła nogi mocno razem, nie pozwalając mu, aby obmacywał jej uda. Lewą dłonią zatrzymała jego rękę.

– Co ci strzeliło do łba? Odkąd to, kurwa, jesteś taka przyzwoita? – Uśmiech zniknął z jego twarzy. Na jego miejsce pojawiła się czerwień od krwi nabiegającej do głowy.

– Nie teraz i nie tutaj! – wycedziła szeptem przez zęby.

Konrada najwidoczniej to nie zniechęciło do dalszych zalotów, bo dotyk jego dłoni zamieniał się powoli w uścisk klucza do rur.

Amanda puściła jego dłoń i błyskawicznie wsadziła ją pomiędzy jego nogi, łapiąc zawartość krocza żelaznym chwytem. Twarz mężczyzny nabierała na przemian zielonego z bólu, na przemian czerwonego z wściekłości koloru.

– Ty suko! Już zaczęłaś zabawę? To będziesz ją miała! – Uderzył ją pięścią w żołądek.

Okrzyk bólu wyrwał się jej z ust. Zgięła się w pasie, wstrzymując oddech.

– Co tam się, do cholery, dzieje?! – Taksówkarz patrzył w lusterko, obserwując to zdarzenie. – Coś pan!? Damski bokser mi się dzisiaj nawinał!

Zjechał na pobocze ulicy i zatrzymał samochód. Amanda, nie czekając na dalszy rozwój wydarzeń, wyskoczyła na chodnik i zniknęła w tłumie

przechodniów.

Wieczór spędziła samotnie, siedząc przed telewizorem i płacząc ze złości i bezsilności. Trzecia lampka wina i któryś już z kolei papieros nie poprawiły jej nastroju.

Przyszedł czas na zmiany w jej życiu. Wiedziała o tym, że musi uderzyć wreszcie pięścią w stół, inaczej pograży się po szyję w tym brudzie, który teraz sięga jej już po kolana. Zaloty przystojnego taksówkarza sprawiły, że ta inna, spragniona miłości i czułości, osobowość Teresy zaczynała coraz bardziej górować nad zimną i wyrafinowaną Amandą.

Jeszcze tylko trochę... Dzień... Parę dni. Po wakacjach zacznę żyć normalnym życiem. Zobaczę, jak się to dalej potoczy.

W głębi ducha chciała, by Krzysztof jeszcze raz zaproponował jej spotkanie. Wtedy nie odmówi mu, nie będzie więcej odwlekała w nieskończoność tego, czego w głębi serca tak pragnie.

Włączyła komputer i otworzyła pracę dyplomową, którą zaczęła parę tygodni temu tłumaczyć na angielski. Po roku pobytu w kraju matka podsunęła jej pomysł, aby starała się o uzyskanie prawa do wykonywania zawodu tłumacza przysięgłego języka angielskiego. Egzamin, jaki musiała zdać, zaliczyła bez problemu. Od tamtej pory mogła oficjalnie występować jako tłumacz i uwierzytelniać tłumaczone teksty.

Parę ostatnich stron zajęło jej prawie cztery godziny. Po dwunastej położyła się spać, zapominając zupełnie o wieczornym wydarzeniu w taksówce.

Na drugi dzień przypomniał jej o tym lekki ból brzucha i siniak, jaki pozostawiła na nim pięść Konrada, który tym razem odwrócił role i pokazał jej swoje prawdziwe oblicze.

Postanowiła wyjść wcześniej z domu i pojechać do szkoły autobusem. Obawa, że Krzysztof ją rozpoznał, nie pozwoliła jej zaryzykować spotkania z nim.

Stała już dobre dziesięć minut wraz z grupą znudzonych oczekiwaniem na spóźniający się autobus pasażerów i przysłuchiwała się mimo woli narzekaniom niektórych z nich.

– Pani, toż to się nic od komuny nie zmieniło. Jeżdżą, jak chcą, i kiedy chcą. – Chuderlawy mężczyzna zaciągał się głęboko papierosem i spoglądał co chwilę ze zdenerwowaniem na zegarek.

Zagadnięta kobieta wzruszyła tylko ramionami.

– Bo jakbyś pan za takie marne pieniądze musiał jeździć, to też byś miał pan to w tyłku, kurde mole. – Inny gość, trzymający kurczowo aktówkę pod ręką, pospieszył z wyjaśnieniem.

– Skąd pan wiesz, ile oni zarabiają? Może tak źle nie jest. – Chuderlak odkaszlnął i rozdeptał na chodniku niedopałek.

– Oj, źle, oj, źle! Mówię panu, że oni tak dużo nie zarabiają – odezwała się kobieta, którą pierwszą zagadał chudy.

– Skąd pani wie, że źle? – zapytał ją gość z aktówką.

– A kto dzisiaj dobrze zarabia? – zwróciła się do niego z miną zwycięzcy.

– Kto?! Kto?! – Chudy dreptał w miejscu, jakby mu było zimno. – W ministerstwie zarabiają mnóstwo, bo oni dzielą kasę między sobą.

– No i kurwy, bo oni, ci z ministerstwa, to mogą sobie na nie pozwolić i dobrze im płacą. – Gość z aktówką wyszczerzył zęby w uśmiechu.

Chudy zawtórował mu ochrypłym śmiechem. Teresa opuściła głowę w dół, jak gdyby z obawą, że zaraz wszyscy zaczną na nią pokazywać palcami i mówić: „Patrzcie! To jedna z nich. W dzień udaje porządną panią psycholog i nauczycielkę, a wieczorami dorabia na boku rżnięciem za pieniądze. Dziwka jedna!”.

Nie zauważyła taksówki, która stanęła obok niej na jezdni.

– Pani Tereso! Proszę, niech pani siada. – Kierowca uchylił lekko drzwi pasażera.

Teresa zawahała się, ale nie miała odwagi odmówić. Gdy wsiadała do auta, dobiegł ją ochrypły głos chudego:

– Widzi pani! Jakby pani miała takie chude, metrowe nogi, też by pani nie musiała jeździć autobusem. Oni by tu zaraz zrobili postój i zabierali takie laski.

– Co pan mi tu pieprzy! To jakaś jego znajoma. Mówił do niej przecież po imieniu. – Kobieta najwyraźniej się oburzyła.

Teresa zatrzasnęła drzwi i zapięła pas. Nogi lekko jej drżały z obawy, że Krzysztof wczoraj ją rozpoznał i zaraz zapyta o to zdarzenie. Zauważyła, że jego prawa dłoń owinięta była bandażem, spod którego na nadgarstkach pięści przebijały na zewnątrz czerwone plamy.

– Co się stało? – zapytała cicho, wskazując na jego dłoń.

– Różnych gości się wozi. Trafi się czasem wariat, nerwus, pijak czy taki jak wczoraj: damski bokser. – Lewą ręką poprawił bandaż na nadgarstku.

Teresa siedziała sztywna i w milczeniu spoglądała na drogę przed

samochodem.

– Takich to najbardziej nie cierpię – podjął temat, przyglądając się swojej pasażerce, która jeszcze bardziej wciskała się w siedzenie. – Wsiadają do taksówki i zaczynają demonstrować swoją siłę albo próbują wylądować się na słabszej kobiecie. Wczoraj taki jeden zamówił sobie cizię i dobierał się do niej na tylnym siedzeniu.

– Jak to zamówił sobie... cizię? – Teresa udała zupełnie nieświadomą tematu.

– No... prostytutkę. Taką to ja już ze stu metrów poznam. Wozi się... jak już mówiłem. Lalka nie pozwoliła mu się w aucie obmacywać i zaczęła się awantura. Jak ją uderzył, to zatrzymałem auto.

Teresa mimowolnie położyła dłoń na żołądku.

– Ona wyskoczyła, a gość zaczął się stawiać do mnie o to, że stanąłem i pozwoliłem jej zwiać.

– A ta skaleczona dłoń? Nawiasem mówiąc, przydałby się porządniejszy opatrunek.

– Nic mi nie jest. Takie tam zadrapanie. Przyłożyłem gościowi pięścią parę razy i zostawiłem skórę na jego podbródku. – Powiedział to z taką swobodą i taką tonacją głosu, że każdy słuchacz miałby wrażenie, że walenie pięścią pasażerów tej taksówki jest najnormalniejszą sprawą pod słońcem.

– Mocno go uderzyłeś? Upadł? – zapytała z podziwem, wdychając głęboko powietrze i przypatrując mu się uważnie.

– Padł na kolana. Z nosa zrobiłem mu pędzel. Nieprędko odważy się uderzyć znowu kobietę... łachudra jedna.

W tej chwili Krzysztof upiększył rzeczywisty bieg wydarzeń, starając się nabrać w oczach Teresy jeszcze większej wartości jako obrońca bezbronnej kobiety. Faktem było, że uderzył faceta dwa razy pięścią. Raz w podbródek, raz w ramię, po czym tamten zrewanżował mu się dwoma ciosami w brzuch. Nadgarstek zdarł o krawężnik, gdzie o mało nie wylądował. Jego pasażer zwał tak samo, jak uderzona przez niego kobieta, nie płacąc za kurs.

Teresa dotknęła delikatnie ręki, którą obejmował drążek zmiany biegów. Dotknęła skaleczonego miejsca tak subtelnie, jak gdyby miała nadzieję, że potrafi je wyleczyć i natychmiast wygoić. Nikt jeszcze nie stanął w jej obronie. I nawet świadomość, że zrobił to, nie wiedząc, kim była wczorajsza cizia, nie zmieniało faktu, że to ona nią była i to za nią dał perwersyjnemu gościowi w mordę. Zastanawiała się, czy Steven również by tak postąpił, ale

doszła do wniosku, że tak dobrze ułożony lekarz nigdy by się nie odważył na taki czyn. W tym momencie najchętniej objęłaby szyję Krzysztofa i pocałowała go. W zamian, nie ryzykując, że taki dowód wdzięczności mógłby spowodować niespodziewaną reakcję, a może nawet doprowadzić do wypadku, zadała mu jedno pytanie:

– O której kończysz dzisiaj pracę?

Odebrał ją przed piątą spod przychodni. Zapowiedział, że przygotuje niespodziankę i spędzą razem popołudnie w cudownym miejscu. Na pytanie, czy jest to może Częstochowa, wybuchnął śmiechem i obiecał Teresie, że jazda poza miasto zajmie im maksymalnie pół godziny.

Zajęła niecałe pół godziny. Z szosy do Kielc odbił w polną drogę i po około pięciuset metrach wjechał na lekkie wzniesienie, na którym rosło parę krzaków i młodych brzoźek. Pośrodku znajdowała się mała polanka i tam zaparkował samochód. Dopiero po wyjściu z auta mogła podziwiać piękno tego zakątka. Widok na posiane zbożem pola i roztaczające się na południu miasto był fascynujący. Z rozkoszą wciągała głęboko w płuca pachnące jeszcze wiosennym zapachem kwitnących kwiatów powietrze.

– Cała ta działka aż do drogi należy do mnie. Wybuduję tutaj kiedyś dom.
– Krzysztof podszedł do bagażnika i otworzył go kluczykiem. – Pomożesz mi? – zapytał, wskazując na jego zawartość. Teresa ze zdziwieniem przyglądała się niespodziance, jaką przygotował. Oczekiwała raczej spaceru po pięknej okolicy, a tu nagle okazało się, że zaprosił ją na piknik. Wyciągnęli dwa wiklinowe, przykryte kuchennymi ręcznikami kosze, rozkładany stolik i dwa krzeselka, takie jakie z reguły rybacy biorą ze sobą na wędkowanie.

Krzysztof rozłożył koc, na nim postawił kosze, a z boku stolik i krzesła.

– Aby ubiec twoje pytanie... jesteś pierwszą kobietą, którą tutaj przywiozłem. – Złapał ją za rękę i patrzył prosto w oczy na dowód tego, że mówi prawdę.

Teresa pierwsza spuściła wzrok. Faktycznie miała ochotę zadać mu je, ale nie od razu. Chciała z nim zaczekać aż do zakończenia tego spotkania.

– Piknik przygotowała moja matka i szczerze mówiąc, sam jestem ciekaw, co znajdziemy w tych koszach.

– Co jej powiedziałaś?

– Powiedziałem, że poznałem piękną i miłą dziewczynę, której oddałbym z rozkoszą moje serce, jeśli tylko tego zechce.

– Piękna i miła dziewczyna zastanowi się nad tą ofertą i odpowie w odpowiednim czasie. Przystojny i szarmancki, stający w obronie uciemiężonych kobiet chłopak musi uzbroić się w cierpliwość. Jak zareagowała mama na takie wyznanie syna? Matki są z reguły zazdrosne o swoich synów.

– Moja matka jest inteligentną, życzliwą i wspaniałą kobietą. Lekarką. Pracuje w szpitalu na Kopernika. W wolnych chwilach pisze bajki dla dzieci. Wydała nawet parę książeczek. Większość z nich rozdała swoim najmłodszym pacjentom. Mama powiedziała tylko: „W takim razie muszę przygotować wspaniały piknik... I pamiętaj o jednym, Krzysiu: nie dobieraj się do niej na pierwszym spotkaniu”.

– Matki mają zawsze rację. – Teresa uśmiechnęła się do niego i uścisnęła ostrożnie palce jego skaleczonej dłoni. Opatrunek był nowy i zrobiony przez kogoś, kto miał w tym wprawę.

– W takim razie zobaczmy, co nas czeka. – Krzysztof uklęknął przed kosciami i zaczął wyciągać ich zawartość na stolik.

Teresa podniosła torebkę. Wyciągnęła z niej komórkę i wyłączyła, po czym ściągnęła z ręki zegarek i wrzuciła go razem z telefonem do torebki.

Rozdział trzeci. Martyrium. Umieranie nie jest łatwą sprawą

Amanda usiadła na zewnątrz w kawiarni, z której mogła obserwować Sukiennice i pomnik Mickiewicza. Zegar na wieży kościoła Mariackiego wskazywał godzinę dziewiętnastą. W chwili, kiedy hejnał zaczął roznosić się po całym Rynku, liczni turyści przystawali i odwracali głowę w stronę kościoła. Czerwcowe słońce na bezchmurnym niebie przyjemnie rozgrzewało jej ciało. Rano jak zwykle z uwagą słuchała zapowiedzi pogody na nadchodzący weekend. Umówiła się z rodzicami, że odwiedzi ich w sobotę i zostanie do niedzieli. Tylko oni w trójkę, całe dwa dni. Cieszyła się na ten wyjazd niczym małe dziecko. Często obserwowała rodziców ukradkiem, aby tego nie zauważyli. W chwili kiedy przygotowywali posiłki lub razem oglądali telewizję, zachowywali się jak dwoje zakochanych, młodych ludzi, którzy dopiero co się poznali. Trzymali się w takich momentach za ręce, ojciec często żartował, całował matkę. Teresa zdawała sobie sprawę, że chce nadrobić z nawiązką wszystkie te lata rozłąki.

Amanda wcisnęła się w oparcie ratanowego krzesła, wystawiła twarz do słońca i założyła nogę na nogę. Myślami wróciła do wczorajszego popołudnia – pikniku spędzonego razem z Krzysztofem poza miastem. Pokazywał jej, w którym miejscu wybuduje dom. Gdzie będzie taras, garaż, budynek gospodarczy i ogród. Chodzili razem po działce, trzymając się za ręce. Czasem zatrzymywał ją i zwracał uwagę na wyimaginowane schody lub próg, o który o mało co by się nie potknęli. Na koniec, już w samochodzie, w drodze powrotnej zapytał ją, czy miałyby ochotę spędzić z nim weekend za dwa tygodnie. Nazajutrz był umówiony na wyjazd do Warszawy z dwoma ukraińskimi biznesmenami i planował wrócić dopiero w poniedziałek.

– Czy lubisz jeździć rowerem? – Pomyślała o tym, aby wziąć go ze sobą na zaplanowaną wycieczkę do rodziców. Nic im o nim nie powie. Na pewno

się ucieszą, że wreszcie kogoś znalazła.

– Jazda rowerem to moje ulubione zajęcie! Już jako dziecko marzyłem o tym, by kupić riksę i zrobić konkurencję ojcu, otwierając własną firmę. – Podrapał się w brodę.

W myślach zastanawiał się, skąd wytrzaśnie tak szybko rower. Jeżeli kupi nowy, to Teresa od razu pozna się na jego kłamstwie. Postanowił popytać się znajomych, czy nie pożyczyliby mu jakiegoś. W ostateczności pozostają komisje lub ogłoszenia.

Na jego widok otrząsnęła się z zadumy. Stał przy pomniku i rozglądał się naokoło.

Wszyscy oni kłamią – pomyślała. Ten nie!

„Pan Tadeusz”, jak sam siebie nazywał, wyglądał tak samo jak na zdjęciu, które jej przysłał. Wysoki, szczupły, ciemna karnacja i czarne włosy typowego południowca. Na twarzy lekki zarys mocnego, czarnego zarostu wskazywał na to, że „Pan Tadeusz” musi się dwa razy dziennie golić. Ubrany był w białą koszulę z długim rękawem i krawatem, starannie zapiętą pod szyją. Na nogach czarne, dopasowane dżinsy, które jeszcze bardziej podkreślały jego szczupłą sylwetkę. W ręku trzymał małą, podłużną, papierową torebkę, do której wkłada się zazwyczaj butelkę alkoholu na prezent.

Mężczyzna odwrócił się do niej tyłem, obserwując ludzi po przeciwnej stronie Rynku.

Ładny tyłek. Ciekawe, czy jest taki dobry, jak opisywał na swoim profilu. Trochę przyjemności i rozkoszy na koniec tygodnia wcale by mi nie zaszkodziło. Amanda zamyśliła się przez chwilę.

Głos kelnerki wyrwał ją z zadumy.

– Czy mogę pani coś podać? – Młoda dziewczyna uśmiechnęła do niej miło.

– Czekam na kogoś. – Wyciągnęła przed siebie rękę z zegarkiem. – Myślę, że za parę minut przyjdzie i wtedy razem coś zamówimy, dobrze?

– Tak, proszę pani. To ja przyjdę za chwilę. – Jeszcze raz uśmiechnęła się do Amandy i odeszła.

Zazwyczaj kazała im na siebie piętnaście minut czekać. Obserwowała z zaciekawieniem, jak chodzą w kółko i zerkają z niecierpliwością na zegarek. Odczuwała wtedy rodzaj rozkoszy, widziała w ich oczach pożądanie. Oddaliby wszystko dla tego jednego momentu, chwili, w której mogą ją

posiąść, chwili, w której ona nimi zawładnie. Stawali się wtedy młodymi, bezbronnymi chłopcami. Widziała u niektórych smutek w oczach, kiedy czas się kończył i musieli odejść. Szybko sprowadzała ich na ziemię, gdy patrząc na zegarek, mówiła: „Skarbie, ja mam jeszcze inne, ważne terminy, nie bierz tego zbyt do serca!”.

Zainteresowanie jej osobą dawało jej prawie tyle samo satysfakcji, co pieniądze, które zarabiała.

Tym razem postanowiła nie przeciągać struny. W sylwetce „Pana Tadeusza” było coś, co wywoływało u niej respekt, może nawet odrobinę lęku. W wiadomości, jaką przesłał, opisywał siebie jako trzydziestopięcioletniego przedsiębiorcę pochodzącego z Rumunii. Jego firma zajmowała się handlem i starała się nawiązać kontakty z polskimi biznesmenami. Mówił dosyć dobrze po polsku, bo jego matka pochodziła z Gdańska. Nie chciał związać się na stałe z kobietą, bo ciągłe wyjazdy w interesach na to nie pozwalały. Był bardzo dobrze sytuowany finansowo i Amanda miała nie pożałować spotkania z nim. Wynagrodzi ją bardzo hojnie, pod warunkiem że otworzy mu „niebo rozkoszy”, jak to nazwał. Podał jej numer swojej komórki z prośbą, aby do niego niezwłocznie zadzwoniła.

Jego wiadomość przeczytała w niedzielę i to zupełnie przypadkowo. Była zdecydowana na zlikwidowanie swojego profilu na tym portalu. Nie chciała już innych znajomości. Tych kilku dobrze sytuowanych gości, którzy regularnie się z nią umawiali, wystarczało jej zupełnie. Zapisała jego numer komórki i po zastanowieniu zadzwoniła. Jego głos brzmiał ciepło. Obcy akcent i spokój, z jakim z nią rozmawiał, rozwiały wszystkie wątpliwości. Umówiła się z nim na dzisiaj na Rynku przy pomniku.

– Jeszcze tylko trochę i zacznę normalne życie – powtarzała sobie przynajmniej raz w tygodniu. – Pieniądze, które odłożyłam, wystarczą mi na długo. Pod warunkiem, że je dobrze zainwestuję.

Jak je zainwestować, nie miała na razie najmniejszego pojęcia. Zagraniczne konto nie przynosiło zbyt dużych zysków, jedynie pewność i tajemnicę lokaty. Nie potrafiła również określić, jak długo ma trwać to „trochę” i jaką rolę ma odgrywać Krzysztof w jej szalonym życiu. Zdawała sobie sprawę, że już wkrótce będzie musiała podjąć decyzję.

Przy stoliku obok siedziała młoda kobieta z czteroletnim, jak go oceniała Amanda, synem. Dziecko stroiło do niej grymasy.

Niewychowany bękart!

Amanda zwróciła twarz w stronę dziecka i podniosła okulary w górę, aby dzieciak mógł ją lepiej widzieć, i wystawiła mu język tak, że jego koniec dotknął brody. Wskazującym palcem lewej ręki podciągnęła czubek nosa do góry i chrząknęła niczym świnka. Nie było to odpowiednie postępowanie psychologa w stosunku do dziecka, ale mały działał jej na nerwy.

Chłopczyk wyciągnął swój język, naśladując Amandę. Czubkiem języka dotknął zaledwie dolnej wargi. Próba podciągnięcia szpicy nosa do góry zakończyła się całkowitym fiaskiem. Palec zsunął mu się po nosie i wbił w oko. Dziecko z przeraźliwym płaczem rzuciło się pod stół.

Amanda wstała i spokojnym krokiem udała się w kierunku Rumuna. Od jednego ze stolików, przy którym siedziało czterech młodych mężczyzn, doszedł do jej uszu gwizd podziwu. Nie odwracając się, uniosła lekko prawą rękę w bok i wystawiła środkowy palec. Mężczyźni wybuchnęli śmiechem.

Podeszła z tyłu do niego i położyła mu rękę na ramieniu. Tak jakby tego oczekiwał, bez jakiegokolwiek objawu zaskoczenia odwrócił się w jej stronę z uśmiechem na twarzy.

– Dzień dobry, Amando.

– Dzień dobry, panie Tadeuszu – wymówiła to imię z wyraźnym rozbawieniem. – Mam nadzieję, że długo nie czekałeś?

Mężczyzna pokręcił przecząco głową.

– W sam raz.

– Skąd ten pseudonim? Muszę przyznać, że dosyć nietypowy jak na Rumuna.

– Tak. „Pan Tadeusz” to była moja pierwsza polska książka, jaką przeczytałem. Mamusia podarowała mi ją na szesnaste urodziny. Mam ją do tej pory. Czy z tego powodu wybrałaś to miejsce na nasze spotkanie? – Ręką wskazał na pomnik. Jego sposób mówienia wydał jej się trochę dziecinny, całkowicie nie pasował do jego wyglądu.

Skinęła głową.

– „Pan Tadeusz” przy pomniku Adasia. Pasuje świetnie. Twoja matka mieszka w Rumunii?

– Może usiądziemy na chwilę? Masz chyba trochę czasu dla mnie? Porozmawiamy. – Ręką wskazał Da Pietro po drugiej stronie Ratuszowej, w której Amanda przedtem siedziała. Dochodził stamtąd ciągły płacz dzieciaka.

Poszli w stronę, którą wskazał. Złapał ją za rękę powyżej łokcia. Nie tak jak mężczyzna prowadzi kobietę, raczej tak jak policjant prowadzi sprawcę.

Nie bolało ją to, ale czuła jego żelazny uścisk na ramieniu.

– Mój czas, twoje pieniądze. – Próbowwała się uśmiechnąć, ale jej to za bardzo nie wyszło.

– Da, da. Pieniądze. Prawie zapomniałem o nich.

A co ty myślałeś, że ja to tak, kurwa, z miłości do ciebie... O mało nie wypowiedziała tych słów na głos.

Usiedli przy pierwszym wolnym stoliku.

– Moja mamusia umarła na raka, gdy miałem osiemnaście lat. Tatuś pracował w kopalni. Dwa lata później miał wypadek. On i jeszcze paru innych zginęło. Zostałem sam, ale jak widzisz, doskonale daję sobie radę. Interesy idą coraz lepiej. Oby tak dalej.

– Co dokładnie robisz?

– Handel. Wiesz, na tym są najlepsze pieniądze. Sprowadzamy towar przeważnie z Rumunii, Bułgarii oraz Turcji i rozprowadzamy po naszych placówkach. Konkurencja daje nam się we znaki, ale to kwestia czasu i damy sobie z nią radę.

– No właśnie, może przejdźmy do interesów.

– O tak, prawie zapomniałem. Ty przecież jesteś w pracy! Czy moglibyśmy pójść do ciebie? Wiesz, ja nienawidzę hoteli. Ciągłe muszę się w nich zatrzymywać, tam nie ma atmosfery. Ja chciałbym mieć wrażenie, takie złudzenie, że jestem u siebie w domu. No wiesz, co mam na myśli? – Wyciągnął z kieszeni spodni trzy pomięte, studolarowe banknoty, rozprostował je na stole, zwinął razem w rulon i włożył je Amandzie w dłoń.

W tym samym momencie podszedł do stolika kelner.

– Co podać? Wybraliście już coś państwo?

– Schowaj je, słyszysz? Później będzie reszta – zwrócił się Rumun nieznoszącym sprzeciwu szeptem.

Amanda wahała się przez chwilę. Wiedziała, że jak weźmie pieniądze, nie będzie odwrotu. To jak zlecenie, które zostało przyjęte. Trzy stówy zaliczki zdecydowały o tym, że się zgodziła i przytaknęła głową. Tylko niewielu z jej stałych klientów miało ten przywilej odwiedzania jej w domu.

– Jeszcze nic nie wybraliśmy. Zawołamy pana za chwilę. – Dłonią pokazał kelnerowi, że przeszkadza i ma się oddalić.

Kelner bez słowa odwrócił się na pięcie i odszedł.

– Idziemy. – Tym razem zwrócił się do Amandy. – Podobasz mi się i jak sama wiesz, czas to pieniądz. Poza tym mam mały prezent dla ciebie.

Najlepsze czerwone francuskie wino, jakie do tej pory piłem. Musisz koniecznie skosztować.

Podniósł się od stolika. Tym razem wziął ją pod rękę i poprowadził w stronę dworca kolejowego. Amanda miała jakieś dziwne przeczucie. Zaczęła szukać w torebce pieniędzy, tych trzystu dolarów, które od niego dostała. Chciała mu je oddać i odbiec jak najdalej od niego. W domu zostawiła nóż. Teraz dopiero zdała sobie z tego sprawę, że schowała go razem z portfelem i w razie potrzeby został jej jedynie gaz łzawiący.

Rumun zauważył jej niepokój. Zatrzymał się i popatrzył w jej twarz.

– Coś jest nie tak? – Uśmiechnął się szarmancko. – Wszystko będzie dobrze. Nie musisz się niczego obawiać. Zabawimy się trochę, skasujesz pieniądze i jak będziesz miała ochotę, zobaczymy się znowu. – Ręką pogłaskał jej dłoń. – Okej?

– Tak, wszystko dobrze. Szukałam tylko kluczy od domu.

Odetchnęła z ulgą. Na pewno wszystko będzie dobrze i jej obawy okażą się zupełnie bezpodstawne. Przecież ten facet wygląda wspaniale i na pewno jest miłym gościem.

– Patrz, taksówka. – Ręką wskazał na stojącą tylko sto metrów dalej taksówkę. – Chodź szybko, zanim ją nam ktoś sprzątnie sprzed nosa.

Przyspieszyli kroku. Otworzył jej tylne drzwi i poczekał, aż usiądzie. Sam usiadł z przodu obok kierowcy.

„Pan Tadeusz” skierował kroki w stronę windy. Amanda miała ochotę krzyknąć: nie, tylko nie to! nie tą przeklętą windą! – ale powstrzymała się.

Mężczyzna nacisnął przycisk przy drzwiach. W tej samej sekundzie drzwi z głośnym zgrzytem otworzyły się. Stał w nich, aby się nie zamknęły, i pomachał w jej stronę.

– No chodź wreszcie.

Weszła do środka. Jej serce zaczęło gwałtownie bić, w płucach brakowało powietrza.

Nacisnął na przycisk z numerem pięć.

– Które piętro? – zapytał w tej samej sekundzie.

Amanda objęła go w pasie, głowę położyła na jego prawym ramieniu, a ustami dotknęła jego szyi.

– Piąte. – Nogi ugięły jej się jeszcze bardziej. Jeszcze mocniej go objęła. Jeszcze mocniej całowała jego szyję.

Jedź szybciej, na miłość boską, jedź szybciej!

Kołnierzyk koszuli zsunął mu się odrobinę, ukazując tatuaż. Była to zaledwie jego mała część. Domyśliła się, że koszula zakrywa resztę.

Za chwilę zobaczę go w całości.

Mężczyzna nie reagował na jej pocałunek. Lewą ręką położył na jej ramieniu, a twarz skierował w stronę lustra przymocowanego do prawej ścianki windy i spoglądał w nie, przekrzywiając głowę raz w jedną, raz w drugą stronę.

Winda zatrzymała się. Amanda uniosła głowę w górę z wyraźną ulgą. Jej twarz była blada, na czole pojawiła się delikatna rosa. Z takim samym zgrzytem jak na parterze drzwi rozsunęły się, wypuszczając ich na klatkę schodową. Szybkim krokiem skierowała się w stronę mieszkania. Otworzyła je i wyłączyła alarm, który umieszczony był na ścianie, tuż przy drzwiach. Odsunęła się na bok, przepuszczając Rumuna. Przez sekundę zastanawiała się, czy nie włączyć na nowo alarmu.

To tylko godzina – pomyślała – a później wynocha stąd.

Zatrzasnęła je za sobą i zwróciła się do niego.

– Czuj się jak u siebie. Może masz ochotę na prysznic? Uprzedzam. Mam tylko godzinę dla ciebie, więc pośpiesz się.

– Na lampkę wina mamy chyba odrobinę czasu?

Usiadł na jednym z dwóch foteli, a Amanda postawiła na stole dwie duże lampki do czerwonego wina i podała mu do ręki korkociąg.

– Otwórz wino. Ja pójdę się przebrać i przygotuję łóżko. – Mężczyzna tylko skinął głową. – A właściwie jak masz naprawdę na imię? Przecież nie będę się do ciebie zwracać: panie Tadeuszu.

– Ilescu. Mój tatuś wybrał takie imię. Mamusia chciała Ireneusz, ale wiesz, w Rumuni nikt by tego nie potrafił wypowiedzieć.

– Ale ty, jak słyszę, radzisz sobie z tym wspaniale.

– Da. Chyba dlatego, że płynie we mnie polska krew.

Amanda włączyła muzykę i wyszła z pokoju.

Po pięciu minutach wróciła przebrana. Ilescu wcisnął się jeszcze bardziej w fotel i spoglądał na nią z podziwem. Amanda stanęła przed nim. Do ręki wzięła lampkę, którą wcześniej Ilescu napełnił w trzech czwartych winem. Na sobie miała tylko bieliznę. Czarny biustonosz przykrywał jej małe piersi. Na biodrach gorset, do którego przypięła cienkie pończoszki. Na stopach buty na wysokim obcasie. Całość zdobiły czarne, jedwabne rękawiczki, które sięgały poza łokcie, oraz długi naszyjnik z pereł, kontrastujący wyraźnie z

czarną bielizną i dodający całości jeszcze więcej uroku.

Podnieśli lampki w górę. Ilescu pierwszy odezwał się:

– Piję za twoją urodę. Mam nadzieję, że moje wino będzie ci smakować.

Amanda umoczyła usta.

– Tak, smakuje.

Ilescu wstał od stołu, podszedł do niej. Lewą ręką objął ją w pasie. Stuknęli się szklami.

– Do dna! – Swoją lampkę opróżnił jednym haustem. Amanda potrzebowała parę drobnych łyków.

Przysunął się jeszcze bardziej do niej. Odstawił najpierw swoją, następnie jej lampkę na stół. Zaczął całować jej szyję. Jedną ręką odpiął jej biustonosz i ściągnął z ramion. Przesunął głowę w stronę jej piersi. Ustami objął sutek. W tym samym momencie Amanda zachwiała się. Zrobiła krok do tyłu i prawą ręką złapała się za czoło. Rumun wyprostował się i obserwował ją z uśmiechem na ustach. Amanda zaczęła tracić równowagę i jej nogi wyraźnie odmawiały posłuszeństwa. Usta poruszały się jak u ryby, którą rybak wyrzucił na brzeg. Nie mogła wypowiedzieć słowa. Skierowała wzrok w stronę mężczyzny.

– Dlaczego?!!! – Stłumiony krzyk wyrwał się z jej krtani. – Dlaczego? – Tym razem wypowiedziała to słowo ledwo dosłyszalnie.

Mężczyzna złapał ją pod ramiona z tyłu, podciągnął do fotela i rzucił niczym kłodę drewna. Usiadł naprzeciwko i przypatrywał się jej bez słowa. Nalał sobie do lampki wina i zwrócił się do niej szyderczo:

– Tobie również nalać? Czy tym razem pasujesz?

Ciało Amandy odmawiało całkowicie posłuszeństwa, jedynie jej oczy wpatrywały się w niego tępo, z wyrzutem i z nienawiścią.

Wyciągnął z kieszeni spodni małą buteleczkę i postawił ją na stole przed nią.

– Patrz! Parę kropelek z tej buteleczki załatwiło cię na amen. Siedzisz przede mną, ale już jesteś martwa, żywy trup, tylko jeszcze tego nie wiesz. Szkoda mi ciebie, naprawdę. Takie jest niestety życie. Silniejszy i mądrzejszy wygrywa.

Amanda powoli osunęła się z fotela na podłogę. Upadła na kolana, uderzając głową w stół. W tej pozycji pozostała bez ruchu. Głowa na blacie stołu, ręce bezwładnie opuszczone wzdłuż tułowia.

Ilescu podszedł do niej od tyłu, prawą ręką złapał ją za włosy i pociągnął

do siebie, ale zamiast podnieść jej głowę, ściągnął perukę, którą odrzucił natychmiast na środek pokoju. Naturalne włosy Amandy rozsypały się niczym złoty jedwab po jej ramionach. Tym razem złapał mocno jej głowę dwoma rękami, podniósł ją znad stołu.

– Idziemy spać do łóżeczka, księżniczko. Pozdrowienia od Olgi, twojej najlepszej koleżanki. – Pociągnął ją bezwładną, niczym worek z piaskiem, po podłodze w stronę sypialni.

W momencie, kiedy złapał ją pod ramiona i podniósł do góry, Amanda zamknęła oczy i straciła przytomność.

Śniła, że unosi się w górę i przenosi w czasie. Przelatuje nocą nad domami starego Krakowa i jedynie księżyc oświetla drogę, którą przelatuje. Znowu staje się trzynastoletnią, zaczynającą dojrzewać dziewczyną. Powoli opada w dół i nagle staje na podłodze w kuchni w starym mieszkaniu w Nowej Hucie. Patrzy na zegar. Jest godzina pierwsza w nocy. Matka nadal siedzi z tym obcym w sypialni. W sypialni, do której miał prawo wstępu tylko jej ukochany ojciec. Słyszy wyraźnie jej głos. Po chwili następuje cisza i wtedy Amanda na palcach, aby jej nie usłyszeli, skrada się do szafki z lekami. Otwiera drzwiczki. Promienie księżycy padają tylko na jedną półkę, na której leżą poukładane tabletki nasenne. Z sypialni znowu dochodzą odgłosy. Tym razem nie jest to rozmowa. Takie odgłosy już słyszała, kiedy jeszcze jej ojciec mieszkał u nich i spał razem z mamą. Zatyka palcami uszy, aby ich nie słyszeć.

Nie słyszeć śmiechu matki! Nie słyszeć beztroskiej rozmowy z tym obcym, którego nigdy nie będzie tolerować w tym mieszkaniu! Matka najwidoczniej dokonała już wyboru. To ona, tak, to ona odejdzie raz na zawsze.

Jeszcze raz przebiega wzrokiem półkę z lekami. Tabletki są posortowane w trzy kupki. Lewa składa się z bardzo małych pigułek. Pod nimi karteczka z napisem: „tabletki nasenne o smaku czekoladowym”. Wzrok kieruje na następną kupkę leków. Te są już o wiele większe. Pod nimi karteczka z napisem: „tabletki nasenne o smaku truskawkowym”. Z obrzydzeniem odwraca głowę i otrzepuje się ze wstrętem. Nienawidzi czekolady i ma alergię na truskawki. Ostatnia nadzieja w trzeciej kupce. Tabletki są ogromne, podłużne i wyglądają niczym czerwone winogrona. Pod nimi karteczka z napisem: „tabletki nasenne o smaku francuskiego, czerwonego wina”. Bez chwili zastanowienia zgarnia kupkę tabletek prosto do kubka z

wodą, którą wcześniej nalała z czajnika. Już po kilku sekundach woda zamienia się w czerwone wino. Amanda przykładła usta do kubka. Łzy spływają jej po policzkach i mieszają się razem z winem. Małymi łyżkami opróżnia kubek. Przez chwilę nieruchomieje, jakby chciała zobaczyć, jakie wrażenie wywrze na niej to wino. Na próżno nasłuchuje pod drzwiami sypialni matki. Nikt się nie odzywa, nie słyszy nic, nawet najcichszego odgłosu.

Wszystko jedno, ona przecież już wybrała tamtego. Dla niej nie ma teraz tutaj miejsca.

Po kilku minutach czuje zawrót głowy. Podchodzi powoli do okna, chwytając się po drodze mebli lub trzymając się ściany. Wpatruje się w mrok osiedla, na którym mieszkają. W każdym oknie jarzą się świece, niczym światełka na grobach w dniu Wszystkich Świętych. To nie jest jej osiedle... to Cmentarz Rakowicki. Ten, który odwiedza raz w roku pierwszego listopada. Nie ma tam grobu nikogo zmarłego z jej rodziny, więc zawsze staje przed krzyżem i zapala pod nim świeczkę. Teraz spogląda na ten właśnie krzyż. Jej wzrok przebiega groby obok niego. Nagle wstrzymuje oddech. Jeden z nich jest zupełnie nowy. W kopcu ziemi wbity jest drewniany krzyż z metalową tabliczką. Ten sam promyk, który oświetlał półkę z lekami, teraz oświetla nazwisko figurujące na niej: Teresa Amanda Krammer. Otwiera okno na oścież i staje boso na parapecie. Dwoma rękami trzyma się górnej ramy okna. W momencie kiedy odbija się od parapetu, spogląda w górę. Smuga światła księżyca pada na jej okrytą łzami twarz. Zamiast spadać w dół, znowu unosi się w górę i przenosi się do teraźniejszości. Nie może otworzyć oczu. Powieki ciężą jej, jakby ktoś zamienił je w ołów. Bez ruchu nasłuchuje odgłosów dochodzących z pokoju gościnnego. Lekko przekrzywia głowę w lewą stronę, aby wyraźniej słyszeć cichą rozmowę.

To na pewno są rodzice! Przyjechali, żeby zrobić mi niespodziankę i nie chcą mnie obudzić. Dobrze, że nie włączyłam alarmu.

W tej samej sekundzie z przerażeniem Amanda otworzyła oczy i odwróciła twarz w stronę dochodzących ją odgłosów. W całym mieszkaniu panował półmrok. Ktoś starannie pozasłaniał wszystkie okna. Chciała krzyknąć, ale zamiast wołania o pomoc, zdołała wydobyć z siebie cichy, wychodzący z klatki piersiowej odgłos. Dwóch mężczyzn siedzących w dużym pokoju przy stole i zajętych oglądaniem telewizji nie usłyszało niczego.

Rozejrzała się po pokoju, następnie wzrok skierowała znowu w stronę mężczyzn. Wszystkie szafki, jakie znajdowały się w dwóch pokojach, były pootwierane, a ich zawartość leżała na podłodze.

Ból, jaki zawładnął jej nieruchomym ciałem, stawał się nie do wytrzymania. Nie potrafiła otworzyć ust, bo były dokładnie zaklejone plastrem. Skierowała wzrok w dół, wzdłuż swojego ciała. Leżała nago. Nogi nie były związane, pomimo tego nie potrafiła ich razem złączyć. Ból powoli narastał. Domyśliła się, że narkotyk, jaki Ilescu jej wlał do wina, przestaje działać. Odwróciła głowę w stronę stolika nocnego i dłoni, które przywiązał do ramy łóżka. Na ten widok dostała dreszczy, jej ciało podskoczyło na materacu, a z płuc i krtani wydobył się nieludzki, stłumiony głos.

Na stoliku nocnym leżał długi, zakrwawiony śrubokręt, który normalnie znajdował się w skrzynce z narzędziami. Obok niego kuchenny nóż oraz stalowy drut. Jej ręce na przedramieniu, powyżej nadgarstków obwiązane były strzępami ręcznika kuchennego, z których sączyła się krew. Powodem tego był drut, który przechodził pomiędzy kośćmi przedramion i którego końce przymocowano do ramy łóżka.

Mężczyźni na odgłos rozpaczy, jaki wydobyła z siebie, zerwali się i podeszli szybkim krokiem. Ilescu skinął głową w stronę drugiego. Tamten bez sekundy zawahania uderzył ją otwartą ręką w lewe, a następnie w prawe ucho. Uderzenie było tak potężne, że słyszeli, jak przemieszczają się kręgi szyjne Amandy. Na skutek zadanych ciosów straciła znowu przytomność, oczy wywróciła do góry, a jej ciało ponownie nieruchomo opadło na materac.

– Dobra robota. – Ilescu z zadowoleniem poklepał drugiego po ramieniu.

Tamten nie odezwał się, tylko skinął głową i ramionami, jakby chciał powiedzieć: nic specjalnego, codziennie to robię.

– Chodź do stołu. Jak suka dojdzie do siebie, to się zamelduje. Wytłumaczmy jej, że ma trzymać mordę na kłódkę, inaczej od razu odpłynie do nirwany.

Drugi popatrzył na Ilescu okrągłymi ze zdziwienia oczami.

– No tam, gdzie ta pieprzona... jak jej to było? Aha, Żaneta.

Drugi skinął głową ze zrozumieniem, ale tak naprawdę nie wiedział, co jego szef chce przez to powiedzieć.

– Popraw kamerę, bo ją poruszyłeś, i chodź, dokończymy oglądać mecz.

Tamten podeszedł do kamery, którą ustawili na statywie z boku łóżka w takiej pozycji, aby mogła objąć dokładnie całe ciało Amandy, i sprawdził

obraz na monitorze. Poprawił ją minimalnie i podążył za Ilescu.

Oboje mieli na sobie tylko spodnie. Ich tułowia do połowy szyi oraz ręce aż do nadgarstków pokrywały tatuaże. Usiedli znowu na fotelach. Ilescu wziął do ręki pilot i ustawił głoś w telewizorze. Na programie sportowym pokazywali powtórki meczów piłkarskich z minionych mistrzostw świata.

– Jak to było z tą Żanetą, Zdzichu? Po dwóch dniach sapała jeszcze suka?

Tamten skinął głową i wyciągnął ręce do przodu. Poruszał ustami, z których nie wydobywał się głoś, jednocześnie bardzo szybko układał znaki dłońmi, opisując tamto zdarzenie językiem migowym. Rumun patrzył na niego poważnie.

Żaneta była jedną z „pszczołek”, jak nazywał swoje dziewczyny Ilescu. Dziewiętnastolatka przez pierwsze trzy miesiące punktualnie oddawała Zdzichowi zarobione pieniądze, ale później było ich coraz mniej. Tłumaczyła to słabą koniunkturą. Śmiała się przy tym sutenerowi w twarz. Tego właśnie nie powinna była robić. Zdzichu ze względu na swoją ułomność nie znosił, kiedy ktoś traktuje go niepoważnie i śmieje się przy tym. Po dwóch tygodniach dziewczyna oświadczyła, że kończy z tym interesem tutaj i wyjeżdża na Zachód, bo tam zarobi o wiele więcej.

Jeszcze tego samego wieczora zgarnęli ją z ulicy, związali jak prosiaka i wywieźli do ogródków działkowych. W połowie grudnia wszystkie domki stały puste. Wybrali jeden z większych i najbardziej oddalony od drogi. Zdzichu potrzebował zaledwie paru minut, aby pokonać dwa zamki. Rzucili dziewczynę na wersalkę. Niemowa, zwany w więzieniu W Mordę Bity (ze względu na sposób, w jaki potrafił obezwładnić przeciwnika i pozbyć go przytomności), dwoma uderzeniami w głowę ogłuszył ją w taki sam sposób, jak uczynił to z Amandą. W domku znaleźli pokaźny zapas suszonej wędliny, jak również parę butelek nalewki owocowej na spirytusie. Postanowili, że zostaną tam przez noc i zabawią się trochę.

Po wypiciu pierwszej nalewki stwierdzili, że daje niesamowity odłot. Pokazał to W Mordę Bity, rozkładając ramiona do tyłu niczym skrzydła w samolocie odrzutowym. Ilescu trzymał się za brzuch i zwijał ze śmiechu aż do momentu, w którym napotkał wzrok Żanety. Dziewczyna w międzyczasie doszła do siebie i obserwowała z rozpaczą mężczyzn. Rumun zerwał jej z ust opaskę, którą ją zakneblowali.

– Jak myślisz, dlaczego tutaj jesteś? – Usiadł koło niej.

– Nie wiem – odezwała się cicho.

Uderzenie pięścią w brzuch uświadomiło jej, że to nie są żarty. Popłakała się.

– Jeszcze raz. Dlaczego tu jesteś?

– Oddam wszystkie pieniądze. Przysięgam. Potrzebowałam na lekarstwa dla mojego synka. Jest bardzo chory. – Ilescu popatrzył w stronę kumpla.

– Kłamie, ścierwo. Nic nie wiem, żeby miała dzieciaka. – Pokazał na migi.

Ilescu podniósł się, głową dał znać Zdzichowi, że ma zająć się dziewczyną. Tamten na nowo zakneblował ją i zerwał z niej ubranie.

Gwałcili ją na zmianę brutalnie przez całą noc, choć po trzech butelkach nalewki ledwo trzymali się na nogach. Około czwartej rano Zdzichu wyciągnął z kąta pokoju kij od łopaty i zaczął nim okładać dziewczynę. Po jednym z uderzeń w głowę Żaneta straciła przytomność, co wcale nie przeszkodziło mu ją dalej bić, aż do momentu, w którym trzonek przełamał się na połowę. Niczym szalenciec w furii rozsunał dziewczynie uda i wbił w nią prawie całą czterdziestocentymetrową część kija, która została mu w rękę. Krew trysnęła na niego, zalewając całą twarz.

Ilescu wybiegł z altanki na zewnątrz i oparł się o małe drzewko, które stało samotnie na środku działki. Ten widok okazał się zbyt hardcorowy nawet dla takiego zwyrodnialca jak on. Gwałtowne torsje wstrząsały przez parę minut jego tułowiem.

Niejednokrotnie pobił którąś z „pszczółek”, jeżeli nie oddawała zarobionych pieniędzy, ale na tym się kończyło. Dziewczyna po paru dniach, kiedy zniknęły siniaki, zaczynała pracę i świat był znowu w porządku. „Lubię zrównoważone i poukładane życie!” – powtarzał im często.

Kiedyś, na samym początku, kiedy miał pod opieką niewiele „pracownic”, jedną z nich pobił trochę za mocno i bezmyślnie złamał jej rękę. Żałował tego przez następne parę tygodni, gdyż jego dochody znacznie spadły. Obecnie miał po parę dziewczyn w większych miastach w całym kraju i interes się rozwijał. Regularnie oddawał część dochodów swojemu szefowi i nie musiał się obawiać, że któregoś dnia dostanie kulkę w głowę. Pieniądze, które oddawał, sprawiały, że miał wolną rękę i wzbudzał respekt wśród innych, mało wpływowych sutenerów. Raz w miesiącu szef zapraszał go do siebie i wtedy omawiali sprawy podziału terytorialnego, aby nikt nikomu nie wchodził w drogę i żeby uniknąć niepotrzebnego rozlewu krwi.

W Mordę Bity posadził nieprzytomną Żanetę na stół, związał ją i

narzucił na nią koc. Wychodząc, zamknął drzwi na kłódkę, którą wcześniej otworzył wytrychem.

Ilescu nie odzywał się do niego przez następne dwa dni. Jakby nie było, zlikwidował jedną z jego dziewczyn i tego nie mógł mu łatwo zapomnieć.

Zdzichu po dwóch dniach pojechał nocą do tego domku na działce. Po drodze kupił na stacji paliwowej kanister i napełnił go benzyną. Dobre pół godziny zajęło mu odnalezienie tego miejsca.

Dziewczyna siedziała w takiej samej pozycji, jak ją zostawił. Zrzucił z niej koc. W tej samej chwili podniosła głowę do góry. Przekrwawionymi oczami wpatrywała się w jego twarz. Z przerażeniem zrobił krok do tyłu i upadł na wersalkę. Przez chwilę nie mógł od niej oderwać wzroku. Dziewczynie sączyła się krew z nosa i ze szmaty, którą obwiązał jej usta. Z jej gardła wydobywał się niesamowity, nieludzki dźwięk przypominający trochę zawodzenie zbitego psa.

Starał się nie patrzeć na nią, gdy oblewał ją benzyną. Ona cały czas siedziała bez ruchu z podniesioną w górę głową. Kiedy zapalał szmatę, aby rzucić ją na nią, wydawało mu się, że spogląda na niego z wdzięcznością.

Parę dni później dowiedział się przypadkowo, że Żaneta nie kłamała, naprawdę miała syna. Dwuletnie dziecko mieszkało u jej dziadków na wsi. Chłopak urodził się z wadą serca, zmarł w noc sylwestrową, dwa tygodnie po śmierci swojej matki.

Ilescu wpatrywał się uważnie w twarz kompana. Zdawałoby się, że nie zwraca uwagi na jego dłonie, którymi wypowiadał słowa, lecz na usta, z których mógł je wyczytać. Po raz trzeci kazał mu opowiadać to zdarzenie i za każdym razem zadawał Zdzichowi jakieś pytanie. Czy dokładnie zatarł ich ślady na śniegu lub czy na stacji paliw nie wzbudził jakichś podejrzeń. Tamten zapewniał, że nikt i nigdy nie wpadnie na ich trop. Ślady zatarł tak dokładnie, że żaden policjant nie znajdzie najmniejszego dowodu. Benzynę rozlał nawet na zewnątrz i podpalił. Na Shellu naciągnął głęboko na twarz kaptur i nikt go z pewnością nie pozna.

Tym razem po opowiadaniu Zdzicha nastąpiła długa przerwa. Oboje wpatrywali się w milczeniu w telewizor. Mimo że w meczu między Brazylią a Niemcami ci drudzy prowadzili już pięcioma golami, co było niesamowitą sensacją, fakt ten nie zdawał się ich nawet w najmniejszym stopniu interesować. Na stole stała napoczęta butelka whisky, którą wyciągnęli z komody, parę małych woreczków foliowych z kokainą, dwa studolarowe

banknoty zwinięte w rulon – te dwa z trzech, które wyciągnął z torebki Amandy, oraz jej karta kredytowa. Na jeden z foteli rzucili biżuterię i pieniądze, które znaleźli w szafie pod pościelą.

– A ja myślę, że ona pogryzła się z bólu. Kto wie... może nawet odgryzła sobie język.

Na te słowa niemowa o mało nie spadł z fotela. Patrzył na Rumuna wytrzeszczonymi oczami, nie wiedząc, o co mu chodzi.

– No, Żaneta, durniu jeden. Sam przecież mówiłeś, że krwawiła z nosa i ust.

Dopiero teraz doszło do jego świadomości, co Ilescu ma na myśli.

– Tak. Całkiem możliwe, że chciała być taka sama jak ja. Niemowa! – Pokazał rękami.

– Gdybyś mi wbił w dupę półmetrowy drąg, pewnie też bym sobie jęzor odgryzł.

– Ja jej nie wbiłem go w dupę. – Gestykulował energicznie przed oczami kumpla.

– Myślisz, że jej to sprawiało przyjemność?! Ten kij musiał jej utkwic w żołądku. – Otwartą dłonią lekko musnął głowę Zdzicha.

– Raczej w gardle. Ona była przecież małym krasnałem! Metr sześćdziesiąt... góra sześćdziesiąt pięć. Co zrobimy teraz z tą? – Zdzichu wskazał głową w stronę sypialni.

– Dzisiaj w nocy jeszcze zabawimy się z nią. Jutro... – Przejechał tylko palcem po gardle. – Wiesz, że ta zdzira jest uczona?

– Nie. Jak to uczona?

Rumun podniósł się i podszedł do meblościanki. Na podłodze leżały książki, które przeglądali w nadziei znalezienia pieniędzy. Podniósł dwie i rzucił je na kolana tamtemu.

Zdzichu przeczytał tytuły. „Problemy współczesnej rodziny w krajach wysoko rozwiniętych. Rozwody. Powody i statystyka. Tłumaczenie z angielskiego doktor psychologii Teresa Amanda Krammer”.

– Jak taka uczona, to po co to robi? Przecież chyba dosyć zarabia taka pani doktor?

– Kto to wie, co takiej chodzi po głowie. Słyszałem, jak mój ojciec mówił, że jego koledzy po psychologii są wszyscy bez wyjątku walnięci. Ta też nie ma wszystkiego poukładane we łbie. Dziewka myślała, że będzie bezkarnie zabierać nam klientów spod nosa.

– Jeszcze nigdy nie waliłem pani doktor. Dzisiaj była premiera! – Zdzichu skończył gestykulować i roześmiał się.

Na dźwięk jego śmiechu Rumunowi podniosły się włosy na karku. Głos Zdzicha brzmiał niesamowicie i nieludzko. Przypominał odgłos wychodzący ze studni. Któregoś letniego dnia jako mały chłopak wraz z paroma kolegami wrzucali kamienie do studni i jeden z nich zaczął krzyczeć do niej. Następnie wszyscy razem na cały głos darli się jak opętani. Echo, jakie się z niej wydobywało, bardzo przypominało mu śmiech niemowy.

– Jak dojdzie do siebie, to doprowadzimy ją do porządku. A potem możesz z nią robić, na co masz ochotę. Chcę mieć wszystko na kamerze. Jutro wynosimy się stąd i wysadzimy tę budę w powietrze.

– Wysadzimy w powietrze!? Masz ze sobą granaty?

– Po co nam granaty? Zapalimy świeczkę w ostatnim pokoju i odkręcimy gaz w kuchni. Pozamykamy wszystkie pomieszczenia i zanim gaz tam doleci... – ręką wskazał na mały pokój – BUMMM!

Ilescu odkręcił butelkę. Nalał do szklanek whisky, po czym otworzył jeden z woreczków kokainy. Rozsypał proszek na stół, rozdzielił kartą kredytową kupkę na dwie równe części i zrobił z nich dwie jednakowej długości kreski. Każdy z nich wziął do ręki zwinięty w rulon banknot. Ilescu jako pierwszy z nich wciągnął jedną, następnie drugą dziurką od nosa po połowie dawki koksu. Otrząsnął energicznie głowę. Palcami otarł resztę kokainy z nozdrzy i posmarował nimi dziąsła. Do ręki wziął szklanekę i paroma łykami opróżnił ją. Zdzichu w taki sam sposób wyczyścił stół z kokainy. Oboje odrzucili głowy do tyłu na oparcie i zamknęli oczy.

– Dobry towar!

Rumun uśmiechnął się błogo. Kątem oka zerknął na kumpla, który tarł jeszcze białe od proszku nozdrza. Poklepał go po ramieniu.

W Mordę Bity był jego prawą ręką i był wierniejszy od niejednego psa. Nie było takiej rzeczy, której by nie zrobił dla niego. Wystarczyło skiniecie głowy, znak oczami Rumuna, a tamten ruszał niczym pitbull do boju. Poznali się cztery lata temu w więzieniu pod Białymstokiem, gdzie Ilescu odsiadywał pięcioletni wyrok za handel narkotykami i nakłanianie do prostytucji. Tam też nauczył się prawie perfekcyjnie języka polskiego, a po tym jak Zdzichu wprowadził się do jego celi również języka migowego. W chwili, kiedy trafił za kratki, Zdzichu miał już za sobą sześć lat odsiadki. Następne trzy, aż do wyjścia na wolność, przesiedział w celi razem z przyszłym szefem.

Zdzisław Kowacz miał znacznie więcej na sumieniu niż nakłanianie do prostytutki czy handel narkotykami. Miał zaledwie trzy lata, gdy ojciec zostawił jego matkę dla innej, nie troszcząc się więcej o nich. Nie zobaczył go nigdy więcej na oczy. W wieku czternastu lat próbował go odnaleźć, ale ślad po nim zaginął. Podobno wyjechał do Stanów i tam został. Rok po tym, jak ich zostawił, matka poznała innego i wyszła za niego.

– Co miałam robić! Jaki wybór ma samotna kobieta z małym dzieckiem? – powiedziała do niego krótko przed tym, jak trafił do więzienia.

Ojczym lał matkę prawie codziennie. Traktował to chyba jako sport. Chłopak nienawidził go za to i nie mógł zrozumieć, jak ona może to znosić. W wieku dwunastu lat zaczął stawać w jej obronie. W takich wypadkach ojczym odpychał go z reguły od siebie lub kopnięciem w tyłek uspokajał. Któregoś dnia chłopak energiczniej niż zwykle wziął się do obrony matki. Krzyczał na cały głos i próbował uderzyć go paskiem od spodni. Ojczym złapał go za kark, zaprowadził do łazienki i uspokoił, uderzając otwartą dłoń w głowę. Następnie wyciągnął z szafki brzytwę, dwoma palcami lewej ręki złapał i wysunął na zewnątrz język dzieciaka i jednym cięciem obciął mu go, wrzucił do toalety i spuścił wodę, mówiąc:

– Teraz będziesz miał, mały skurwielu, więcej respektu przed ojcem. – Był to pierwszy i ostatni raz, kiedy nazwał siebie jego ojcem.

Sąd skazał go za szczególne okrucieństwo wobec pasierba i znęcanie się nad żoną na karę dziesięciu lat więzienia. Po sześciu latach za wzorowe zachowanie wyszedł na wolność.

W wieku czternastu lat Zdzichu zaczął uczęszczać na treningi bokserskie. Marzył o karierze bokserskiej, a jego idolem był Muhammad Ali. Oglądał jego walki wielokrotnie w telewizji i obiecywał sobie, że kiedyś stanie na ringu zawodowym. Mając szesnaście lat, osiągnął metr dziewięćdziesiąt trzy centymetry wzrostu i ważył osiemdziesiąt pięć kilogramów. Trenerzy byli nim zachwyceni. Prognozowali mu wyśmienitą karierę. Jedynym mankamentem było zachowanie się chłopaka w szkole specjalnej i wobec innej młodzieży. Pokazywał swoją siłę nie tylko na ringu, ale również wszędzie tam, gdzie miał ku temu okazję. Któregoś dnia kupił kastet, który wypróbował zaraz na dyskotecę. Paroma uderzeniami położył na parkiecie trzech starszych chłopaków. Jednego z nich musiano odwieźć do szpitala z połamanym nosem i pękniętą szczęką. Tydzień później na sparingu bokserskim w czasie treningu wsadził to żelastwo do rękawicy. Zaraz w

pierwszej rundzie połamał trenerowi dwa zębra i cała ta sprawa wyszła oczywiście na jaw. Był to jego ostatni trening bokseński. Otrzymał dożywotni zakaz wstępu do klubu.

Trzy lata później, mając dziewiętnaście lat, dowiedział się, że jego ojczym przebywa na wolności i postanowił zemścić się na nim za swoje kalectwo. Wyobrażał sobie we śnie, jak zadaje mu ciosy pięściami po całym ciele. Na palcach w obu rękach błyszcząły metalowe kastety. Ojczym osuwał się na kolana i wystawiał język. Wtedy on wyciągał z kieszeni nóż, jednym zamachem obcinał mu go i wyrzucał do rynsztoka.

W rzeczywistości nie udało mu się tego dokonać. Któregoś wieczoru czekał na rogu knajpy, w której ojczym pił razem z paroma kumplami. Czekał na niego prawie do północy. Już miał zamiar pójść do domu, gdy tamten wyszedł. Jak na złość nie był sam, lecz z dwoma innymi typami. Szedł za nimi dobre pół godziny, dopóki mężczyźni się rozstali. Ojczym podążył sam chwiejnym krokiem dalej. Zdzichu podniósł kamień leżący przy drodze i zamachnął się, chcąc zdzielić go nim w tył głowy. W tym samym momencie ojczym potknął się i zachwiał na bok. Kamień uderzył go w ramię, nie wyrządzając mu większej krzywdy. Mężczyzna odwrócił się błyskawicznie w jego stronę, podnosząc jednocześnie obie ręce niczym bokser na ringu. W świetle padającego z narożnej latarni poznał Zdzicha.

– A to ty, śmierdzący gnoju! Co, jeszcze ci mało!? Zaraz cię nauczę, bydlaku, szacunku dla starszych.

Ojczym był mniej więcej tego samego wzrostu co Zdzichu, ale górował nad nim wagą superciężką (około stu dwudziestu kilogramów). Chłopak runął na ojczyma, chcąc zadać mu ciosy pięścią, na której błyszczał metalowy kastet. Tamten zrobił lekki unik w bok i jego pięść wylądowała na szczęce Zdzicha, który zupełnie zaskoczony tym obrotem sprawy upadł na kolana. W następnej sekundzie potężny kopniak w głowę rozłożył go na łopatki.

Ojczym usiadł na nim okrakiem. Palcami jednej ręki otworzył mu usta.

– Nic nie mówisz. Pokaż, co tam masz w środku. Mogli ci przynajmniej przyszyć jakiś świński jęzor, przynajmniej pochrząkałbyś mi trochę – śmiał się szyderczo.

Nagle zgiał się w lewą stronę. Jego twarz wykrzywił grymas bólu. Nóż, który Zdzichu trzymał w ręce, tkwił aż po rękojeść w jego nerce. Następny cios zadał mu w szyję. Mężczyzna osunął się bezwładnie na ziemię.

Dokładnie w tym samym momencie samochód policyjny zatrzymał się na chodniku tuż przed leżącymi mężczyznami. Zdzichu próbował bezskutecznie wydostać się spod nieruchomego ciała i uciec, ale policjanci byli szybsi, założyli mu kajdanki i zawieźli prosto do aresztu. Ojczym wykrwawił się, zanim przyjechała karetka pogotowia.

Całą tę historię opowiadał parokrotnie Faltenie w wieczory, które dłużyły się w więzieniu w nieskończoność. Za każdym razem obiecywali sobie, że już nigdy więcej nie dadzą się złapać glinom, a numery, jakie jeszcze wykręcą po wyjściu na wolność, będą opisywać wszystkie gazety. Marzyli o napadzie na bank i o milionach, które zgarną. Z tą forszą uciekliby na Karaiby i już do końca życia nie musieliby pracować.

Ilescu Faltena urodził się w Timisoarze i był jedynakiem. Często opowiadał koledze o swoim życiu w Rumunii. O swoich przyzwoitych rodzicach, których nienawidził za ich poukładane życie, małostkowość, brak czasu i zrozumienia dla syna, który pragnął tylko, by czasem wzięli go za rękę i razem z nim poszli do kina lub po prostu na spacer. Matka wieczorami z reguły sprawdzała prace swoich uczniów lub przepytывała chłopaka z lekcji, które miał w szkole. Ojciec przychodził jeszcze później od matki do domu i mówił tylko o swoich pacjentach.

Jego ojciec był cenionym wciąż lekarzem, a matka emerytowaną nauczycielką. Do piętnastego roku życia nie sprawiał rodzicom żadnych kłopotów. W szkole tylko bardzo dobre noty i pozytywne opinie nauczycieli pozwalały rodzicom wyciągnąć wnioski, że syn pójdzie w ich ślady. Rok później nastąpiła w chłopaku całkowita przemiana. Zauważył, że ma duży wpływ na swoich rówieśników. W szkole otaczała go na przerwach z reguły grupka chłopców, a każdy chciał zostać jego najlepszym przyjacielem. Bez wątplenia potrafił z łatwością owinąć wszystkich wokół palca. Dobrał sobie czterech, jego zdaniem najbardziej oddanych mu przyjaciół i postanowił zawładnąć szkołą, co w pewnym sensie mu się udało. Nikt nie miał odwagi im się sprzeciwić.

Rodzice zbyt nie rozpieszczali syna finansowo. Otrzymywał co miesiąc kieszonkowe, ale już po paru dniach nie zostawało mu nic. O swojej sytuacji finansowej mawiał: „odpływ jest większy niż przyływ”. Postanowił to zmienić poprzez ściąganie od niektórych uczniów haraczu. Wybrał kilku jego zdaniem do tego najodpowiedniejszych. Takich, których rodzice byli przy kasie, lub po prostu takich, których nie cierpiał. Nagle okazało się, że nie ma

czasu na naukę, bo inne rzeczy stały się od niej ważniejsze. Kilku najlepszych kolegów w klasie musiało odrabiać szefowi zadania, a w zamian za to zostawiał ich w spokoju. Niestety, same, nawet wzorowo napisane zadania nie wystarczały do otrzymywania dobrych ocen. Do następnej klasy przeszedł z wielkim trudem. Rodzice i nauczyciele rozkładali bezradnie ręce, mając nadzieję, że w następnym roku chłopak się zmobilizuje i zacznie znowu uczyć.

Vanesa była bez wątpienia najpiękniejszą dziewczyną w szkole. Rok starsza od niego, chodziła do klasy maturalnej. Któregoś dnia Ilescu podszedł do niej na przerwie.

– Masz dzisiaj po szkole coś w planach? Co byś powiedziała na kino? – zapytał ją, spoglądając z uśmiechem w jej czarne oczy.

Policzki Vanesy w tej samej sekundzie pokrył rumieniec. Zobaczył na jej twarzy zmieszanie, co go jeszcze bardziej rozbawiło.

– A na jaki film? – Dziewczyna nie wiedziała, jak wybrnąć z sytuacji.

– To znaczy, że się zgadzasz? – Teraz to już mi się nie wywiniesz!

– Ty to zawsze taki bezpośredni? Przecież ja cię wcale nie znam.

– Najwyższy czas to zmienić. Nie sądzisz?

Vanesa skinęła tylko głową. Chłopak bardzo jej się podobał i nie chciała odprawić go z kwitkiem. Już wcześniej zwróciła na niego uwagę i nawet jej się nie śniło, że Ilescu tak po prostu do niej podejdzie i zaproponuje spotkanie.

– Dobrze. Ale może na początek zamiast do kina zaprosisz mnie do kawiarni? Na Starym Mieście jest taka...

– Jaką tylko sobie wybierzesz! Dzisiaj po szkole czekam na ciebie – przerwał jej i złapał za rękę. – Podobasz mi się. Bardzo mi się podobasz.

Dziewczyna zaczerwieniła się jeszcze bardziej. Chciała mu powiedzieć, że on jej również, ale zamiast tego odpowiedziała:

– Dziękuję. Teraz to już muszę pędzić na zajęcia. – Przerwa jeszcze się nie skończyła, ale nie chciała mu pokazać, jak bardzo krępową ją ta nieoczekiwana sytuacja.

Uścisnęła jego dłoń i pobiegła do klasy.

Spotykali się prawie codziennie po szkole. Po tygodniu znajomości zaproponował, że pokaże jej swój pokój i będą mogli razem uczyć się matematyki. Gdy odrobiła za niego zadania domowe, zaproponował jej lampkę rzekomo najlepszego francuskiego wina. Po dwóch kieliszkach Ilescu

mógł z nią zrobić to, na co miał ochotę.

Czasem dobrze jest mieć ojca lekarza – pomyślał. W gabinecie ojca znajdowało mnóstwo przeróżnych medykamentów, którymi mogłaby się poszczycić niejedna apteka.

Dla Vanesy był to pierwszy raz. Dla niego jedna z kolejnych mało znaczących przygód.

Wydawało jej się, że niebo się nad nią otworzyło.

Od tego czasu spotykali się tylko u niego. Jego rodzice pracowali do późna i wracali zazwyczaj wieczorem. Dziewczyna nalegała, aby uczyli się razem, a dopiero później spali ze sobą. Ilescu na początku nie był z tego powodu zbyt szczęśliwy, ale w końcu się zgodził. Jego oceny w szkole już po paru miesiącach poprawiły się i stał się znowu jednym z lepszych uczniów.

Vanesa spełniała w łóżku każde jego życzenie. Mówiła mu, że chce, aby był szczęśliwy, nie zdając sobie sprawy z tego, jak bardzo sama uzależniła się od niego.

Po zdaniu matury rozpoczęła praktykę w szpitalu z zamiarem przygotowania się do studiów medycznych. Nawet jej przez myśl nie przeszło, że Ilescu ma co do niej inne plany. Jego kasa znowu była pusta, ponieważ przez nią zaniedbał swoje interesy.

Ktoregoś dnia oświadczył jej, że muszą ze sobą skończyć, bo on ma kłopoty i nie może pozwolić, by ona z tego powodu cierpiała. Nie spotykał się z nią przez tydzień. Dziewczyna codziennie płakała i wydzwaniała do niego. Nie odbierał telefonów i nie pojawiał się u niej. Pewnego dnia czekała na niego przed domem i nalegała na rozmowę. Zagroziła, że jak nie porozmawiają, to ona odbierze sobie życie. Wziął ją do siebie na górę. Vanesa zrzuciła z siebie ubranie i błagała go, by poszedł z nią do łóżka i że zrobi dla niego wszystko. Zgodził się.

Położył się obok niej w ubraniu. Całował ją i ręką pieścił jej ciało. Po chwili oznajmił jej, że nie jest jej godny i lepiej będzie dla niej, jak znajdzie sobie innego. Ma też spore długi, bo przegrał zakłady i nie wie, jak z tego wybrnąć. Pewnie go zabiją, więc nie chce, by ona przy nim była, gdyż mogą również jej coś zrobić.

– Pójdziemy na policję i opowiesz im wszystko, na pewno znajdzie się jakieś wyjście. Pożyczę pieniądze od rodziców i oddasz długi – zaproponowała mu.

Pokręcił przecząco głową.

– Nie znasz tych typów. To nie są żarty. Twój rodzice nie mają tyle pieniędzy, bym mógł ich spłacić. Nie chcę, by ktoś z mojego powodu poniósł finansowe straty. Ale może jest sposób, aby z tego wybrnąć. – Po chwili dodał: – Nie, nie, to jest nierealne!

– Powiedz, proszę. Wiesz, że ja wszystko...

Odwrócił jej głowę w swoją stronę i spojrzał smutno w jej oczy. Po jej policzkach płynęły łzy. Zatrzymywały się na jej kształtnych ustach, torowały sobie ścieżkę po ich brzegach i kapały na poduszkę.

– Ty jesteś zbyt piękna, aby inni mężczyźni... Nie pozwolę, aby inni całowali twoje ciało.

Ustami zbierał łzy z jej twarzy. Językiem dotykał delikatnego, ciemnego meszku nad jej ustami, który dodawał jej niesamowitego uroku. Patrząc na jej nagie ciało. Piękne, duże piersi, zakończone małymi, sterczącymi sutkami falowały pod wpływem jej przyspieszonego, podnieconego oddechu. Lewą nogę ugięła w kolanie, ukazując lekko zarośnięte łono, z którego ścieżka czarnych, krótkich włosków biegła aż do przebitego kolczykiem pępka.

– Wielu mężczyzn zapłaciłoby dobrze, aby móc się z tobą przespać.

Struga łez utorowała sobie nową, szerszą drogę na jej policzkach. Nie odezwała się więcej. Zaczęła go gorączkowo rozbierać i całować jego ciało.

Na początku średnio dwa razy w tygodniu odbierał ją i zawoził w różne miejsca. Czekał na nią w samochodzie, który zabierał ojcu. Po kilku tygodniach musiała odwiedzać klientów codziennie, czasem nawet kilku w ten sam dzień. Oddawała mu wszystkie pieniądze. Ilescu odliczał z tego dwadzieścia procent i jej oddawał.

Po skończeniu matury rodzice zafundowali jedynekowi miesięczny wyjazd do Ameryki. Po jego powrocie ślad po dziewczynie zaginał. Policja dwa razy przesłuchiwała go w tej sprawie. Powiedział, że nic o niej nie wie. Skończyli przecież ze sobą przed jego wyjazdem.

Rodzice Vanesy nie zobaczyli już więcej córki. Podobno później parę razy zadzwoniła krótko do nich, ale nie chciała powiedzieć, gdzie jest i kiedy wróci do domu.

Dwa lata później kupował w Niemczech samochód i spotkał przypadkowo tych typów, którym sprzedał za dwa tysiące dolarów dziewczynę. Na pytanie, co się z nią dzieje, jeden z nich wzruszył tylko ramionami i powiedział:

– Dziewka zaszła w ciążę i nie chciała pracować, a my nie tolerujemy bezrobocia. Gdybyś miał coś na zbyciu, daj znać. Płacimy najlepiej. –

Wszyscy roześmiali się w głos.

Zaproponowali mu robotę, na którą Ilescu się zgodził. Po około dwóch miesiącach, które zeszyły mu na kasowaniu pieniędzy w barach w zamian za „opiekę”, poznał obecnego szefa. Wszyscy nazywali go Monsignore. Nigdy nie poznał jego prawdziwego nazwiska.

Monsignore polubił najwidoczniej Ilescu, gdyż zaproponował chłopakowi inną, lepszą robotę. Od tej pory rozwoził dziewczyny po barach, a po pracy zawoził je do kwater.

Po roku wylądował w Polsce i zajął miejsce jednego z podopiecznych Monsignore, którego nazywano Zdunem. Zdun zginął w wypadku we własnym samochodzie. Zginął nie z powodu szybkiej jazdy, lecz w niewyjaśnionych okolicznościach na parkingu niedaleko Hiltona. Podobno zbiornik paliwa w jego mercedesie był nieszczelny i doszło do eksplozji. Na jej skutek zniszczonych zostało jeszcze piętnaście innych samochodów parkujących w pobliżu.

Po sześciu miesiącach pracy trafił do pudła. Jak się okazało, dwóch jego ludzi pracowało na dwa fronty. Po zakończeniu rozprawy sądowej Monsignore dowiedział się, kto informował policję, i szybko pozbył się tej zakąły, jak doniósł mu jeden z typów, którzy odwiedzali go w więzieniu. Przez cały czas pobytu w zakładzie karnym dostarczali mu pieniądze i rzeczy, o które prosił. Po wyjściu na wolność o jego bezpieczeństwo dbał Zdzichu. Niemowicie ufał bardziej niż wszystkim innym, którzy do tej pory dla niego pracowali.

W Mordę Bity ocknął się pierwszy ze snu. Przetarł oczy i zerknął na zegarek. Dochodziła druga w nocy. Podniósł się z fotela, przeciągnął i ziewając, poszedł do sypialni, by zobaczyć, czy Amanda odzyskała przytomność.

Nie obawiali się, że sąsiedzi usłyszą ich i zaalarmują policję. Zdzichu dokładnie odrobił zadanie domowe. Wiedzieli, że mieszkanie naprzeciwko stoi od dłuższego czasu puste, gdyż właściciele pracują za granicą, natomiast małżeństwo poniżej wyjechało na urlop. Któregoś dnia miał nawet zamiar wejść do mieszkania Amandy i przeszukać je podczas jej nieobecności, ale w porę zauważył alarm, gdy wsunął minikamerę w szparę, jaką zrobił, popychając drzwi. Zaproponował Rumunowi, by zwinęli ją z ulicy tak, jak to zrobili z Żanetą, ale tamten wymyślił inny plan.

W pokoju panował półmrok. Amanda miała szeroko otwarte oczy i na

jego widok zaczęła wiercić się niespokojnie, jak gdyby chciała uwolnić się z więzów. Płakała ze strachu i bezsilności. Każdy ruch sprawiał jej niesamowity ból. Od momentu kiedy znowu odzyskała przytomność, zaczęła modlić się o szybką śmierć. Pogodziła się z nią i za każdym razem, kiedy patrzyła na przebite drutem ręce, zdawała sobie sprawę, że nie ma od niej ucieczki. Przez głowę nieustannie przelatowały jej fragmenty ulubionego Hamleta: „Umrzeć – zasnąć. – Zasnąć! Może śnić? – w tym sęk cały, jakie bowiem w tym śnie śmiertelnym marzenia przyjść mogą,

kiedy zrzucimy z siebie więzy ciała...”.

Czuła na sobie obcy zapach spoconych mężczyzn, jak również ból po gwałcie, gdy była nieprzytomna.

W Mordę Bity podszedł do niej. Lewą dłonią zasłonił jej zaklejone taśmą usta. Prawą zacisnął w pięść i podsunął jej pod oczy. Gest ten był na tyle wyraźny, że zrozumiała go bez słów. Domyśliła się, że jest niemową. Każdy inny odezwałby się chociaż słowem do niej.

Pomimo ogromnego strachu, który paraliżował ją i odbierał zmysły, zwróciła uwagę na pokryty tatuazami tułów oprawcy. Były to pojedyncze rysunki, zrobione bez ładu i składu, niemające z sobą nic wspólnego: naga kobieta, obok niej faszystowska swastyka, następnie kobra itd. Powstawały najprawdopodobniej w sporych odstępach czasowych i miały jeden cel: zapełnić wolną przestrzeń na skórze tego wstrętnego bydlaka.

Zdzichu nie należał do mężczyzn, którzy mogliby wzbudzić pożądanie takiej kobiety jak Amanda. Jego twarz pokryta była piegami i bliznami. Miał skrzywiony nos boksera, do tego nieprzyjemny zapach z ust spowodowany najprawdopodobniej popsutym uzębieniem – to napawało ją wstrętem. Gdyby nie taśma, jaką zakleili jej usta, zwymiotowałaby na niego. Mimo że w pokoju panował przyjemny chłód, jej skóra pokryła się potem. Amanda miała silną gorączkę wskutek okaleczenia rąk.

W Mordę Bity zastanawiał się przez chwilę, wzrokiem ogarnął całe jej ciało. Zatrzymał się na jej rękach obwiązanych strzępami ręcznika. Na skrzepniętej krwi widoczna była ścieżka nowej, zmieszanej z ropą i osoczem, torującej sobie drogę aż pod jej białe pachy.

Wstał i wyszedł z pokoju. Po chwili wrócił, trzymając w rękach obcęgi, które wyciągnął ze skrzynki narzędziowej.

Na ich widok Amanda zaczęła rzucać się bezsilnie na łóżku, wydając z siebie odgłos rozpacz. Obiecywała sobie wcześniej, że nie pokaże po sobie

strachu i nie będzie błagać o litość czy darowanie życia. Tych dwóch psychopatów chciało ją taką właśnie widzieć: na kolanach, zdruzgotaną, bezsilną i robiącą dla nich wszystko, aby uratować swoje życie. Na końcu i tak by ją zamordowali, jak obiecał jej Rumun. Pomimo tego nie mogła się opanować.

Obetnie mi po kolei palce! Była tego pewna.

Zamiast tego Zdzichu bez najmniejszego wysiłku obciął drut, najpierw przy lewej, następnie przy prawej ręce. Nie czuła najmniejszego bólu. Ręce opadły bezwładnie obok jej tułowia.

One już są martwe, ja jeszcze nie!

Słyszała te słowa w jakiejś piosence jeszcze w dzieciństwie, ale teraz nie mogła sobie przypomnieć wykonawcy. Po prostu pasowały do jej nieszczęsnego położenia. Myślała o śmierci nieustannie. I jedno pytanie nie wychodziło jej z głowy: Kiedy poznam, że to już koniec?!

Wyobrażała sobie siebie martwą i leżącą z otwartymi oczami. Nieoddychającą, nieporuszającą się, martwą. Tylko jej oczy, jej mózg zarejestrują wszystko niczym urządzenie elektroniczne przełączone do funkcji stand by. Zapisze wszystko w pamięci, a ktoś to odczyta i ukarze ich za te uczynki. Miała nadzieję, że nie będzie to dobry bóg, lecz szatan z jej koszmarów, który wymyśli dla nich najokrutniejszą karę, jaka może spotkać takie bestie.

Zerwał jej taśmę z ust, po czym wziął ją na ręce i niczym małe dziecko zaniósł do łazienki. Wsadził ją do wanny i puścił na nią wodę.

Gdy ją przyprowadził z powrotem, Ilescu stał nagi przy kamerze, zajęty jej ustawianiem. Na prześcieradle rozłożył koc, żeby zakryć plamy krwi.

Nagle odwrócił się w jej stronę. Trzema krokami był przy niej i jedną ręką złapał za gardło.

– Znaleźliśmy tylko sześćdziesiąt tysięcy. To wszystkie twoje pieniądze?!
– Popuścił uchwyt.

– Tak. Tutaj tak – wyszeptała. – Ale ja wam dam o wiele więcej, jeśli puścicie mnie wolno.

– Milion... i jesteś wolna. – Popatrzył w stronę kumpla, przymrużając przy tym oko.

– Dostaniecie milion. Przysięgam wam, tylko obiecuj, że mnie puścicie wolno. – Amanda objęła się w pasie, skłoniła głowę do przodu i upadła przed nim na kolana.

– Puścimy cię wolno, obiecuję. Ale przedtem musisz coś dla nas zrobić.

– Zrobię wszystko, co chcecie.

– To dobrze. To bardzo dobrze. Chcemy właśnie zmienić branżę i nakręcić parę filmów. Tak myślałem, że ty dzisiaj wystąpisz w roli głównej. Co ty na to?

Amanda przytaknęła tylko, nie patrząc na niego.

Zdychu w międzyczasie zrzucił z siebie ubranie.

– Musisz z siebie dać wszystko. Jesteś na to gotowa?

– Tak.

Ilescu skinął głową w stronę niemowy. Tamten włączył kamerę.

Nienawidziła siebie za każdy orgazm, który wstrząsał jej obolałym ciałem. Nie dawał jej najmniejszej rozkoszy, gdyż był strasznym bólem w jeszcze straszniejszych boleściach.

Rumun co jakiś czas wydawał jej polecenia i ona wykonywała je niczym robot sterowany jego głosem. Czas zdawał się stać w miejscu, aż miłosierny Bóg pozwolił jej na utratę świadomości.

W pewnej chwili ocknęła się.

Spałam. Znowu śniło mi się coś strasznego. Zastanawiała się, dlaczego leży nago na ulubionym kocu. Starła się przypomnieć sobie ten horror, o którym śniła. Zza zasłoniętego okna przebijał się do pokoju promyk słońca.

Czas wstawać, śpieszku. Muszę się jeszcze spakować, rodzice będą na mnie dzisiaj czekać. Zaraz po śniadaniu zadzwonię do nich.

Odwróciła głowę w stronę drzwi. Przy niej stał niemowa. Na sobie miał tylko spodenki. Na palcach prawej ręki błyszczał metalowy kastet, od którego odbijały się promyki słońca i załamywały niczym w pryzmacie, tworząc na suficie przedziwne wzory. Pod ścianą stał Rumun.

– Obiecałeś mi, że mnie puścicie wolno. Zrobiłam wszystko, co chciałeś. Zostawcie mnie w spokoju. Proszę. – Chciała się podnieść, ale niemowa pchnął ją do tyłu.

– Nie mogę, musisz mnie zrozumieć. Po tym jak nas widziałas, nie możemy sobie na to pozwolić.

– Dam wam pieniądze! Dam wam wszystko! Proszę.

Pierwsze uderzenie w głowę przecięło skórę od skroni aż po policzek, ukazując gołą kość. Drugie przecięło jej dolną wargę i wybiło parę zębów. Następne były wymierzone w jej zebra, które nie były w stanie przeciwstawić się żelastwu i łamały się niczym zapałki.

W chwili gdy ponownie odzyskała świadomość i otworzyła oczy, zobaczyła niemowę siedzącego na jej nogach z podniesionymi w górę rękami, a w nich zakrwawiony śrubokręt. Lekko odchylił tułów do tyłu z zamiarem zadania śmiertelnego ciosu.

W tej samej sekundzie potężny huk rozbitych drzwi wejściowych odwrócił jego uwagę. Strzał z pistoletu jednego z policjantów musnął tylko prawy jego bok i trafił Ilescu w udo. Śrubokręt zamiast serce Amandy przebił jej skórę poniżej pępka i utkwiał w brzuchu aż po rękajeść.

Następny strzał trafił Zdzicha dokładnie między oczy. Smuga krwi zmieszanej z mózgiem oblała twarz stojącego nadal bez ruchu Rumuna. Ciało Zdzicha na skutek uderzenia kuli upadło do tyłu, pod nogi jego kompana. W agonii poruszał jeszcze rękami i nogami, które zginały się i prostowały niczym u epileptyka podczas ataku.

Ilescu założył ręce za głowę.

– Ja nic nie robiłem! Ona może potwierdzić, ja nic nie zrobiłem! – krzyczał w stronę szturmujących pokój policjantów ubranych w maski i kamizelki kuloodporne.

Ten z nich, który oddał śmiertelny strzał w głowę niemowy, podbiegł do niego.

– Zamknij mordę! – Uderzenie kolbą w żołądek powaliło Ilescu na podłogę. Drugi policjant wykręcił mu ręce do tyłu i założył kajdanki.

Oficer, który dowodził akcją, podbiegł do kobiety stojącej przed drzwiami wejściowymi.

– To pani nas wezwała? – Złapał kobietę za ramię.

– Tak. – Dorota patrzyła na policjanta szeroko otwartymi oczami. Jej blada twarz prawie zlewała się ze ścianą.

– Wezwaliśmy karetkę, lekarz będzie za parę minut. Proszę wejść do środka. Pani sąsiadka potrzebuje pomocy.

Na widok zakrwawionej, nagiej Amandy, z wbitym w brzuch śrubokrętem, którego tylko czarna rączka wystawała na zewnątrz, o mało nie upadła.

– Co oni z tobą zrobili! – Usiadła obok zwijającej się w bólu Amandy i pogłaskała jej głowę. – Wszystko będzie dobrze. Uratujemy cię. Jeszcze chwilę musisz wytrzymać. Ja jestem pielęgniarką – zwróciła się do policjantów. – Zimna woda, bandaże lub ręczniki. Szybko! – wydała im polecenia.

Po chwili jeden przez drugiego podawali jej to, o co prosiła.

W rzeczywistości pracowała w szpitalu jako salowa przez pięć lat. Od dwóch lat sprzątała w domu handlowym, a w weekendy dorabiała na stacji paliw przy Zakopiańskiej, do której miała zaledwie trzy przystanki autobusem.

Amanda poznała ją. Złapała jej rękę i próbowała coś do niej powiedzieć.

Dorota nachyliła głowę do jej twarzy. Przez chwilę Amanda szeptała jej coś do ucha.

– Zrobisz to dla mnie? – wyszeptała cicho, w momencie kiedy tamta podnosiła się, ustępując miejsca lekarzowi.

Dorota tylko skinęła głową.

Nagle w mieszkaniu zapanował niesamowity chaos. Wszyscy robili miejsce sanitariuszom, na których z kolei krzyczał młody i jeszcze niedoświadczony lekarz, który najwidoczniej sam, na widok licznych ran zadanych młodej kobiecie, wpadł w panikę.

Dwóch policjantów wyprowadzało Rumuna, trzymając go pod ramiona. Kiedy przechodzili obok Doroty, ich wzrok spotkał się. Ilescu przystanął na sekundę, chcąc jej coś powiedzieć, ale kobieta go uprzedziła:

– W piekle będziesz się smażył! Ale zanim tam trafisz, na kolanach będziesz prosił, aby cię z tego świata zabrali. Obiecuję ci to!

Policjanci pchnęli go w stronę drzwi, zanim zdołał jej cokolwiek odpowiedzieć.

Wykorzystując zamieszanie, weszła do kuchni i przymknęła za sobą drzwi. Bez chwili zastanowienia otworzyła szafkę stojącą pod zlewozmywakiem. Odsunęła na bok wiaderko na śmieci i podniosła do góry luźną deskę w podłodze szafki. Na dnie leżał zapakowany w przeźroczysty woreczek foliowy, czarny, duży podłużny portfel, jaki już widziała u kelnerów kasujących należność. Schowała go pod sweter, za pasek od spodni. Położyła z powrotem deskę i wiadro na swoje miejsce. Podniosła się z zamiarem wyjścia. Obejrzała się jeszcze dookoła. Jej wzrok padł na mały kalendarz z naniesionymi terminami oraz numerami telefonów i adresami mailowymi. Schowała go również za pasek i niepostrzeżenie wyszła z mieszkania. W portfelu znajdowała się karta kredytowa banku szwajcarskiego, zapasowy klucz do mieszkania z wisiorkiem, na którym Amanda wpisała kod alarmu w drzwiach wejściowych, banknoty spięte gumką, karta pamięci SD oraz nóż sprężynowy z wygrawerowanymi

inicjałami, ten sam, którego ostrze miała sposobność zobaczyć z bliska.

W szpitalu dwa dni później, dzięki koleżance, która pracowała na oddziale chirurgicznym jako pielęgniarka, odwiedziła późnym wieczorem Amandę po raz pierwszy. Tylko najbliższa rodzina pacjentów mogła przebywać o tak późnej porze w szpitalu. Rodzice Amandy czuwali przy boku córki cały dzień, dlatego też nie chcąc ich spotkać, aby uniknąć pytań na temat tego wydarzenia, poprosiła Karolinę, by zadzwoniła do niej, kiedy Amanda zostanie sama.

Karolina dała jej biały fartuch i maseczkę. Tak przebrana nie wzbudzała najmniejszego podejrzenia personelu.

Na sali stały cztery łóżka. Zanim podeszła do sąsiadki, napotkała wzrok mężczyzny siedzącego przy jednym z nich. Kobieta, którą trzymał za rękę, spoglądała błędnymi oczami w sufit.

– Przepraszam, pani doktor – zwrócił się do niej.

– Ja nie jestem lekarzem, ale może mogę w czymś pomóc?

– Żona ma strasznie wysuszone usta, chciałem jej podać wodę, ale nie potrafię sobie poradzić. Ona nie otwiera ust. Nie wiem, co mam robić.

Mężczyzna siedział na krześle, trzymając w trzęsących dłoniach butelkę z wodą mineralną. Z oczu płynęły mu łzy. Dorota spojrzała na niego z litością i serce ścisnęło jej się na ten widok. Przez parę lat pracy w szpitalu naoglądała się tyle cierpienia i ludzkich tragedii, że wystarczy jej to do końca życia, jak stwierdziła któregoś dnia. Nie mogła się z tym pogodzić i dlatego postanowiła poszukać innej pracy.

Usiadła na łóżku przy boku chorej kobiety. Ściągnęła maseczkę z twarzy.

– Proszę podać mi butelkę, a pan niech podniesie żonę tak, aby usiadła.

Podłożyła rękę pod jej głowę i przyłożyła butelkę do popękanych z pragnienia ust. Kobieta wzięła parę małych łyków i znowu zacisnęła usta.

– Za chwilę spróbujemy jeszcze raz. Proszę ją położyć. – Chciała wstać i odejść, ale mężczyzna zatrzymał ją jeszcze przez chwilę.

– Pół roku po urodzeniu się naszej córeczki żona zachorowała. Kaszel, wie pani. Nie mogła oddychać i źle się czuła. Lekarze mówili, że może zapalenie płuc albo oskrzela. W końcu skierowali ją do szpitala. Tutaj, tylko że na inny oddział. Raka stwierdzili. Żona nigdy nie paliła, a tu nagle coś takiego. Rok walczyła z chorobą i wydawało nam się, że ją pokonała. Niecałe pół roku temu stwierdzili przerzuty na wątrobie, a dwa miesiące temu w mózgu. Od kilku dni nie odzywa się, tylko patrzy w sufit. To takie straszne

dla nas. Córeczka codziennie wypytuje się o mamusię i płacze z tęsknoty. Nie chcę jej tutaj brać, wolę, żeby zapamiętała matkę taką, jaka była wcześniej. Może nie całkiem zdrowa, ale...

– Przykro mi bardzo. Tak bardzo panu współczuję. Cała nadzieja w Bogu.

– Nie ma takiego boga, który by jej pomógł. Oddałbym swoje życie w zamian za jej.

– Proszę tak nie mówić. Cuda naprawdę się zdarzają, tylko my musimy w nie bardzo mocno wierzyć. – Uścisnęła mocno jego rękę.

– Ostatnie słowa, jakie żona wypowiedziała, zanim wpadła w ten okropny stan otępienia, to jej prośba, żeby ją spalić po śmierci razem z tym potworem, który ją zżera od środka.

Łóżko Amandy osłonięte było z dwóch stron parawanami. Weszła między nie i usiadła na jednym z dwóch krzeseł. Złapała ją za rękę. Na widok strasznie okaleczonej twarzy jej oczy zrobiły się wilgotne.

Do nosa miała włożone dwa plastikowe wężyki, które dostarczały tlen do płuc. Do prawej ręki podłączona była kroplówka. Na półce obok monitor wskazywał puls oraz pracę serca.

Amanda lekko uchyliła powieki. Na widok Doroty lekki uśmiech przebiegł po jej twarzy. Poruszyła ustami, jakby chciała jej coś powiedzieć.

– Nic nie mów. Nie możesz na razie się wysilać.

Amanda pokręciła tylko głową i pociągnęła dłoń Doroty do siebie, aby się do niej nachyliła. Dorota przystawiła ucho do jej ust.

– Przepraszam za tamto, wtedy na klatce – wyszeptała ledwo dosłyszalnie.

– To ja przepraszam. Należało mi się. Twoje pieniądze pozwoliły mi przetrwać cały tamten cholerny tydzień.

– Znalazłaś?

Dorota tylko pokiwała głową. Usta Amandy poruszały się, nie mogąc wydobyć żadnego głosu.

– Nic nie mów. – Podniosła głowę do góry. – Jutro przyjdę znowu. Będziesz się lepiej czuła. Zobaczysz.

Przez chwilę patrzyły na siebie bez słowa.

– Ja umieram – powiedziała na tyle głośno, że Dorota ją zrozumiała.

– Nie mów tak. Młoda jesteś. Wyjdiesz z tego. – Sama nie wierzyła w swoje słowa. Następną salą, do której z reguły wywozili stąd pacjentów, było prosektorium.

W Mordę Bity, zanim wymierzył śmiertelny cios, który miał przebić jej

serce, okaleczył ją nożem w potworny sposób. Lekarze, którzy operowali Amandę, byli zdania, że jej oprawca zasłużył na o wiele straszniejszą śmierć od tej, która go spotkała.

Dorota została jeszcze ponad godzinę. Amanda przycisnęła mocno jej rękę do swojego serca i nie pozwoliła jej odejść. Z notesem i długopisem, które przyniosła z dyżurki, nachylała się w stronę Amandy, szepcząc jej do ucha niczym na spowiedzi informacje o karcie kredytowej Swiss Banku, na koncie którego zgromadziła sporo pieniędzy w różnych walutach. Opowiadała też o niektórych gościach, z którymi się spotykała, i jej podwójnym życiu, które zaczęła prowadzić trzy miesiące po powrocie z Londynu do Krakowa. Wszystkiemu winna była kartka z numerem telefonu Olgi i dwoma wyrazami: „Szukam koleżanki”.

Zazdrościła i podziwiała ją jednocześnie za jej urodę, za pewność siebie i później, jak ją lepiej poznała, za to, jak potrafiła owinąć wokół małego palca każdego faceta. Doskonale wiedziała, o co chodzi, ale mimo tego koniecznie chciała spróbować, jak to jest nagle przeistoczyć się w inną kobietę, taką, która ma pełną władzę i kontrolę nad mężczyznami. Drugim powodem, właściwie decydującym w tym wszystkim, były bez wątpienia pieniądze. Nagle okazało się, że dochody z pracy były niewystarczające, by zaspokoić jej potrzeby, a ona obiecała sobie, że już nigdy nie poprosi ojca o wsparcie finansowe. Był najwyższy czas stanąć na własnych nogach. Po pierwszym zleceniu, jakie otrzymała od agencji, którą zarządzała na czyjeś zlecenie Olga (czyje, nigdy się nie dowiedziała), przepłakała w domu cały wieczór. Ale już na drugi dzień szybko pocieszyła się nową torebką, która pasowała do futra i zdobiła jej ramię. Zanim naprawdę zdobyła władzę nad mężczyznami i potrafiła w pełni kontrolować sytuację podczas takich spotkań, upłynęło jeszcze trochę czasu. Ale po nim opanowała drugi zawód perfekcyjnie, jak jej się wtedy wydawało. Potrafiła wyłączyć swoje uczucia i z wyrachowaniem objąć władzę nad wszystkimi smutnymi i godnymi żalu oraz współczucia kreaturami o cienkich nogach i wystających brzuchach. Po jakimś czasie dowiedziała się, że agencja kasuje połowę jako prowizję. Postanowiła uniezależnić się od niej i sama dobierać sobie klientów, których znalezienie w Internecie okazało się wcale nie takim problemem, jak jej się na początku wydawało. Po tym jak stworzyła krąg stałych klientów, chciała zlikwidować dane na portalu, gdzie proponowała swoje usługi, ale jak się okazało, było o jeden dzień za późno.

– Kilku z nich to podłe bydlaki ze skłonnościami sadystycznymi, którzy zasłużyli na karę. Wszystko znajdziesz w moim notesie – stwierdziła na koniec.

– Zajmę się tym. Obiecuję. – Dorota w myślach wyobrażała sobie, jak słodka może być zemsta. Zemści się za swoje nieudane życie, za tych wszystkich typów, którzy ją tylko naciągali na forszę i obiecywali nieśmiertelną miłość, a już po kilku tygodniach zostawiali po sobie tylko brudne skarpety.

– Resztę pieniędzy przekażę twoim rodzicom.

Amanda pokiwała przecząco głową.

– Mój ojciec jest zamożny. Nic nikomu nie przekażesz. – Położyła zabandażowaną rękę na jej dłoni.

Dorota odwiedziła ją jeszcze trzy razy. Amanda tylko jedyny raz w czasie drugiej wizyty otworzyła oczy i odezwała się do niej:

– Przyszedł do mnie dzisiejszej nocy. Tym razem wyglądał zupełnie inaczej niż za pierwszym razem. Był przystojny i... wręcz szarmancki. Ale i tak go od razu poznałam. – Próbowwała z trudem wydobyć z siebie uśmiech.

– Ktoś ci się przyśnił? – Dorota pogłodziła jej policzek.

– Nie, nikt mi się nie przyśnił. – Pokiwała głową. – Lucyfer odwiedził mnie po raz drugi.

– Jezus Maria, święty Józefie... uchwaj nas przed złem piekielnym! Co ten diabeł chciał od ciebie? Oddałaś mu swoją duszę w zamian...?

– Nie proponował mi umowy, której i tak bym nie przyjęła. On chyba o tym wiedział, bo mi oznajmił, że to już koniec ze mną. Ale za cierpienia, jakie przeszłam za życia, zostawi mnie w spokoju. Ktoś inny zajmie się mną, jak stąd odejdę.

– Kto?

– Gabriel.

– Jego brat!

Dorota upadła na kolana i szeptała modlitwę o zbawienie i łaskę dla duszy Teresy. Po chwili podniosła się i usiadła na brzegu łóżka.

– Ja się codziennie modłę za ciebie. Wierzę, że ON jest sprawiedliwy i łaskawy i wysłucha mojej modlitwy.

– Ja już nie mam siły. Nie sądziłam, że umieranie jest takie straszne i może tak długo trwać. Chcę, aby to się szybko skończyło. Proś go o... – Zamknęła oczy. Łzy bólu i rozpacz płynęły jej po policzkach.

Podczas ostatniej wizyty zastała rodziców Amandy. Ich córka nie odzyskiwała od dwóch dni przytomności. Kobiety objęły się serdecznie. Na twarzy Marty wyciśnięte było cierpienie spowodowane troską o jedyne dziecko. Ciemne podkwy pod oczami wskazywały na to, że kobieta od dawna nie spała.

– Nie mogę sobie darować tego, że tak późno zauważyłam, że coś jest nie w porządku u państwa córki. Gdyby policja wcześniej przyjechała... – Dorota ze smutkiem spuściła głowę na dół.

– Gdyby nie pani, oni by uciekli. Tak przynajmniej nasza Terenia będzie pomszczona – odezwał się z wyraźnym angielskim akcentem mężczyzna.

– Terenia? – zapytała zdziwiona.

– Teresa. Nasza jedyna, ukochana córka. Pani pewnie nie zna jej imienia. – Marta złapała nieprzytomną córkę za rękę i przyłożyła ją do swojego policzka.

– Ja nie mogę zrozumieć, jak ci mężczyźni dostali się do mieszkania naszej córki. Przecież Terenia włączała zawsze alarm, nawet jak była w domu. Czy ich znała? – zwrócił się Henry do Doroty.

Nikt nie wie o podwójnym obliczu ich córki. Czy ja mam im o tym powiedzieć? Nie, zdecydowanie nie!

– Z tym pytaniem musi się pan zwrócić do policji. Ja tylko usłyszałam krzyki Teresy dochodzące z jej mieszkania, bo schodziłam po schodach. Wie pan, winda była zajęta. I dlatego zaalarmowałam policję.

Policjanci tak od razu nie weszli do środka, tylko nasłuchiwali pod drzwiami. Później przyjechali ci w maskach, założyli jakieś kamery i dopiero po upływie pół godziny wyważyli drzwi.

Dorota zapomniała dodać, że jej ulubionym zajęciem było podsłuchiwanie sąsiadów. Wiedziała o każdym z nich wszystko. Wiedziała, kiedy przychodzą z pracy, kiedy idą spać i... z kim. W piątek (po tym jak Amanda poczęstowała ją kopniakiem w brzuch) chciała ominąć jej mieszkanie i zejść na dół, ale gdy usłyszała płacz sąsiadki i jej błaganie o litość, cofnęła się i przystawiła ucho do drzwi. Odgłosy, jakie dochodziły z mieszkania, wskazywały jednoznacznie na to, że Amanda trafiła na jakichś podejrzanych typów i potrzebuje pomocy. Bez chwili zastanowienia zadzwoniła po policję.

Rozdział czwarty. Zemsta bywa ślepa i okrutna

Śmierć Teresy Amandy Krammer oficjalnie ogłoszono w poniedziałek, dwudziestego czerwca. Dwa dni wcześniej, przy porannej wizycie lekarz stwierdził, że źrenice Amandy nie reagują na światło. Jej mózg, niczym zainfekowany dysk pamięci w komputerze, przestał pracować tak, jak należy. Co prawda wysyłał jeszcze rozkazy do serca i płuc, ale zdaniem ordynatora, profesora doktora Krzemieńskiego, ustanie pracy tych organów było kwestią kilku godzin. Na pytanie, czy chcą, aby sztucznie utrzymywać córkę przy życiu, Marta i Henry prawie jednocześnie zaprzeczyli. Znali zdanie córki, gdyż parę razy mieli okazję rozmawiać z nią na ten temat. Ostatnim razem już tutaj, w szpitalu. Ojciec proponował również córce, że przewiozą ją do szpitala w Londynie, jeżeli tylko zechce. Odmówiła, twierdząc, że ma tutaj tak samo dobrą opiekę, jak gdzie indziej.

– Czy zgodzą się państwo na to, aby organy córki uratowały komuś życie?
– zaczął ostrożnie szpakowaty profesor.

Marta rzuciła się z płaczem w ramiona Henry’ego, ruszając potakująco głową.

– Tak. Nasza córka nie miałaby nic przeciwko temu, żeby jej śmierć uratowała życie innym ludziom – powiedział Henry.

– Dziękuję. Gdyby taką decyzję podejmowało więcej ludzi, moglibyśmy dzięki nim pomóc wielu innym cierpiącym. Mogę państwu obiecać, że w pewnym sensie córka państwa pozostanie nadal między nami. Szpital w zamian zajmie się wszystkimi formalnościami, łącznie z zakładem pogrzebowym. Zadbamy również o godny pogrzeb. Trumna zostanie zaplombowana i przewieziona na cmentarz, który państwo wybiorą. Z tym nie będzie problemów, obiecuję – dodał doktor na zakończenie. – Jutro przewieziemy państwa córkę do innego szpitala, gdzie dokonamy...

Wcześniej muszą państwo podpisać parę dokumentów, co jest niestety niezbędną formalnością.

Oboje skinęli potakująco głową.

*

Nazajutrz, krótko przed północą, na drodze wylotowej z Krakowa na parking przed cmentarzem zatrzymał się duży, czarny samochód terenowy z dyplomatycznymi rejestracjami. Za kierownicą siedział mężczyzna w średnim wieku o masywnej budowie ciała. Zerknął na zegarek, który wskazywał, że do północy pozostało jeszcze dziesięć minut. Opuścił nieco w dół oparcie siedzenia, ściągnął okulary w cienkiej, metalowej oprawie i przetarł oczy oraz twarz dłońmi. Usiadł wygodnie w skórzanym fotelu, zamknął powieki i słuchał z wyraźnym zadowoleniem muzyki wypełniającej wnętrze auta. Utwór Mozarta wykonywała jedna z najbardziej ulubionych przez niego orkiestr – Filharmonika Wiedeńska.

Pukanie w szybę wyrwało go z zamyślenia. Założył okulary i opuścił boczną szybę. Szpakowaty mężczyzna skinął lekko głową na jego widok, wskazał ręką na samochód zaparkowany za jeepem i zrobił krok do tyłu. Kierowca wysiadł, podszedł do tyłu samochodu i otworzył klapę bagażnika. Z auta zaparkowanego obok wysiadł jeszcze jeden mężczyzna. Nie zbliżył się w ich kierunku, lecz powoli obchodził parking, zaglądając w każdy krzak i rozglądając się na wszystkie strony. Po kilku minutach podszedł do grupy.

– Wszystko w porządku – odezwał się.

Razem ze szpakowatym udali się do drugiego samochodu i wyciągnęli z tylnego siedzenia ciało owinięte w prześcieradło. Ostrożnie przenieśli je do otwartego bagażnika auta przed nimi, po czym pilnujący mężczyzna odszedł, pozostawiając szpakowatego i kierowcę jeepa samych.

Przez parę minut rozmawiali po cichu. Szpakowaty wyciągnął skórzaną torebkę, otworzył ją i wskazywał po kolei na różne przedmioty, udzielając instrukcji tamtemu.

– Ta buteleczka zawiera mieszanekę barbituranów. Środek zwalnia pracę mózgu i działa na system nerwowy. Te cztery ampułki to morfina. Co sześć godzin podasz jej odpowiednią dawkę. – Wyciągnął strzykawkę i pokazał mu, w jakiej proporcji ma ją napełnić. – Nie musisz wstrzykiwać preparatu, wystarczy, że podasz go do wenflonu przy woreczku z infuzją. Przykleiłem go na brzuchu i okleiłem wokół ciała. Nie musisz się obawiać, nie spadnie. Grupa krwi pasuje, tak jak chciałeś.

Następnie rozsunęli prześcieradło i przypatrywali się krótką chwilę odsłoniętej osobie. Kierowca jeepa w zamyśleniu pocierał czoło, najwidoczniej starał się coś sobie przypomnieć. Zamknął bagażnik, wyciągnął ze środka aktówkę i podał szpakowatemu. Tamten otworzył ją i sprawdził uważnie zawartość.

– Tak jak uzgodniliśmy, trzy miliony złotych. Pakowane po sto tysięcy.

– W porządku. – Szpakowaty zamknął teczkę.

– Czy ona wyszłaby z tego? Wygląda, jakby ciężarówka ją potrafiła.

Szpakowaty poruszył tylko ramionami na znak, że jest mu to obojętne.

Pożegnali się skinięciem głowy, nie podając sobie ręki. Oboje wsiedli do swoich samochodów. Kierowca jeepa, zanim zapalił silnik, popatrzył w niebo, w jedyną gwiazdę świecącą na horyzoncie na bezgwiezdnym tej nocy niebie. To, co uznał za swoją szczęśliwą gwiazdę, w rzeczywistości było satelitą telekomunikacyjnym.

Pięć melonów za dostarczenie! – Roześmiał się do siebie, po czym podgłośnił muzykę, zapalił silnik i na pełnym gazie wyjechał z parkingu. Czekał go szmat drogi.

*

Pogrzeb odbył się cztery dni później. Marta z niedowierzaniem przyglądała się tłumowi ludzi, którzy przybyli, aby pożegnać jej córkę.

– Popatrz – zwróciła się do Henry’ego – nasza córka mieszkała dopiero od trzech lat tutaj, a poznało ją tak wielu ludzi.

Wzrokiem ogarnęli zgromadzone osoby. Oprócz najbliższej rodziny Marty i Henry’ego na pogrzeb przybyło wielu uczniów i wszyscy pracownicy szkoły, w której nauczala. Pracownicy przychodni, fitness studia... Henry powiadomił również Cindy Lardes, jej była najbliższą przyjaciółkę, która z kolei zadzwoniła do jej byłego narzeczonego i ulubionych trzech profesorów, którzy byli obecni na przyjęciu z okazji jej doktoratu.

Cindy rok wcześniej wyszła za mąż, tak jak zresztą były narzeczonej Teresy Steven Milles wyszedł za mąż (a może ożenił się... kto to wie?) za swojego przyjaciela Boby’ego, którego Teresa miała okazję lepiej poznać w swoim łóżku.

Do Krakowa przybyli Cindy z mężem, Steven z Bobem i tylko jeden z profesorów, a mianowicie sir Edward Pollman. Pozostali tłumaczyli się brakiem czasu.

Doktor Hawlett zmarł rok wcześniej, na krótko przed przejściem na

emeryturę. Nigdy nie spełnił życzenia byłego przyjaciela i nie odwiedził Krakowa.

Widok Stevena trzymającego Boba za rękę był przedmiotem szeptów i szturchańców pomiędzy uczniami gimnazjum.

Po mszy żałobnej w kaplicy Cmentarza Rakowickiego trumnę przewieziono na miejsce, gdzie Amanda została pochowana.

W przemówieniu żałobnym młody ksiądz chwalił odwagę, z jaką Teresa zniosła upokorzenie i zadane jej cierpienia przez dwóch okrutnych przestępców. Opowiadał również o jej krótkim i pełnym poświęceń życiu, pomocy uczniom i pacjentom w odnalezieniu właściwej drogi.

Na samym końcu tłumy stała samotna kobieta, oparta o jeden z nagrobków i przysłuchująca się uważnie przemowie księdza. Ubrana była w czarną sukienkę, a jej jasne włosy zakrywała chustka. Na jej twarzy malowały się smutek i zmęczenie.

Żaden z was nie wie o jej prawdziwym życiu więcej niż ja. Obiecałam jej, że tak pozostanie na zawsze.

Prokuratura wszczęła dochodzenie przeciwko Ilescu Faltenie. Podczas przesłuchań całą winę zwał na kumpla Zdzisława Kowacza, twierdząc, że to on obmyślił plan, żeby obrabować tę prostytutkę i nagrać film, który później sprzedadzą. Oprócz tego twierdził, że działał pod wpływem narkotyków, które podawał mu niemowa. Nikt nie wierzył w jego zeznania, gdyż zmieniał je parokrotnie. Poza tym twierdzenie, że tak szanująca się osoba, jak pani doktor, jest prostytutką wydawało się wszystkim całkowicie niedorzeczne, wręcz absurdalne i zmyślane przez niego tylko po to, by złagodzić swoją winę. W mieszkaniu Amandy oprócz filmu, jaki nagrali Ilescu i Zdzichu, nie znaleziono nic, co mogłoby potwierdzić jego słowa. Laptop oraz jej komórka zostały przez nich doszczętnie zniszczone i odtworzenie jakichkolwiek danych okazało się zupełnie niemożliwe.

Dorota zeznawała jako świadek prokuratury. Na pytanie sądu o tamto wydarzenie odpowiedziała takimi samymi słowami jak rodzicom Teresy w szpitalu podczas ich spotkania. Przechodząc obok Rumuna, nie mogła się powstrzymać, aby się przy nim nie zatrzymać i nie spojrzeć mu w oczy.

– Ty suko! – wycedził przez usta. – Jak wyjdę na wolność, rozpruję ci flaki.

– Ja będę pierwsza. Obiecuję! A moja obietnica jest święta. Masz to jak amen w pacierzu.

Przy wyjściu na korytarz czekał na nią Henry. Wziął ją w ramiona.

– Chcemy pani coś podarować. Terenia z pewnością nic by nie miała przeciwko temu, aby pani to otrzymała. Proszę to potraktować jako prezent od niej i nie dziękować. Jeżeli pani czasami o niej pomyśli... i zapali za nią świeczkę... – Podał jej czarne pudełeczko przewiązane złotą tasiemką.

Podczas dalszej rozprawy sądowej sąd pod przewodnictwem sędzi Barbary Kraśnik chciał zapoznać się z materiałem dowodowym, jakim był nakręcony podczas dokonania przestępstwa film. Po kilku minutach projekcji filmu dwie osoby opuściły salę, w której odbywał się pokaz, twierdząc, że ich katolicka wiara i sumienie nie pozwalają na oglądanie tego rodzaju niebogobojnych scen.

Ilescu oraz niemowa po to, by nikt nie rozpoznał ich twarzy, na głowę wciągnęli czarne pończochy Amandy, w których wypalili papierosami dziury na oczy, nos i usta. Gwałcili ją po kolei, a raz nawet obaj jednocześnie. Rumun wydawał Amandzie rozkazy, a jak natychmiast nie reagowała, bił ją pięścią w twarz. Na przedramionach widoczne były dokładnie ślady okaleczeń zadanych jej przez niemowę. Kobieta nie potrafiła poruszać dłońmi, gdyż jak stwierdził jeden z lekarzy, który zeznawał później jako świadek, przy zadaniu ran – przebiciu przedramion śrubokrętem – zostały uszkodzone ścięgna.

Film trwał około półtorej godziny, gdyż po każdej nagranej scenie przestępca wyłączał kamerę i włączal na nowo przed dokonaniem następnego gwałtu. Podczas ostatniej sekwencji filmu, w której Ilescu siedział nad głową półprzytomnej Amandy, trzymając ją pod ramiona tak, aby się nie ruszała, a niemowa wsuwał nóż kuchenny pomiędzy jej szeroko rozsunięte nogi, sędzina osunęła się nieprzytomna na podłogę. Następna rozprawa została przesunięta ze względu na niedyspozycję sądu o dwa tygodnie. Wyrok dwudziestu pięciu lat więzienia, jaki wydał sąd wojewódzki, został zakwestionowany przez obronę, która apelowała o dwanaście lat ze względu na to, że oskarżony działał pod wpływem narkotyków i alkoholu.

W więzieniu Faltena szybko zaaklimatyzował się, mając nadzieję, że Monsignore zrobi wszystko, by go stamtąd wydostać.

To tylko kwestia czasu – powtarzał sobie codziennie.

Jednak mijał dzień za dniem, a on nie dostawał żadnej wiadomości od szefa. Jego adwokat Robert Prałat odwiedził go tylko jeden raz. Na pytania,

jakie zadawał mu Ilescu o uwolnienie, prawnik odpowiadał wymijająco.

– Przecież ja odprowadziłem im setki tysięcy dolców. Za to mogę chyba, kurwa, oczekiwać czegoś w zamian. Nie mam zamiaru zgnić w tym lochu! – podniósł głos wyraźnie zdenerwowany rozkładaniem rąk adwokata.

– Ja nic nie poradzę, musisz uzbroić się w cierpliwość. Obiecuję, że następnym razem przyniosę ci lepszą wiadomość. – Rozglądał się z niepokojem, spoglądając na wartownika, który udawał, że nie zwraca na nich uwagi.

– Potrzebuję kasę, inaczej zdechnę z głodu tutaj. Przyniosłeś mi forszę?

– Mam tylko dwa tysiące przy sobie, ale muszę to zgłosić u dyrektora, inaczej wsadzą mnie razem z tobą do celi. – W kieszeni miał dla niego pięć tysięcy, ale doszedł do wniosku, że to i tak byłyby wyrzucone pieniądze.

Faltenie nikt nie jest w stanie pomóc.

Wiedział o tym również Monsignore, który kazał adwokatowi za pośrednictwem jednego z jego ludzi wycofać się z tej sprawy.

– Ze mną miałbyś lepiej niż w domu. Co noc ciepłe plecy, nawet nie pomyślałbyś o swojej starej, tak dobrze by ci było. Dawaj forszę, ja to załatwię ze strażnikiem po swojemu.

Prałat wyciągnął z kieszeni marynarki pieniądze. Pod stołem odliczył dwa tysiące. Na plecach czuł zimny pot spływający mu aż do pośladków. Na samą myśl o tym, że musiałby spędzić noc pośród tych wszystkich kryminalistów, którzy od miesiący albo nawet wielu lat nie spali z kobietą, nogi uginały mu się ze strachu. Był przystojnym mężczyzną i po drodze do sali, do której przyprowadzili Rumuna, widział wzrok kilku więźniów. Jeden z nich wyciągnął język i przesunął nim po górnej wardze, wywracając przy tym oczy do góry.

Pieniądze zwinął w rulon i dał Faltenie, który schował je w dłoni.

– Muszę już lecieć. Mam jeszcze dzisiaj rozprawę.

– Gdzie ci się tak spieszy, do cholery! Chce usłyszeć od ciebie, co dalej ze mną? Kiedy następna rozprawa? Ja nie mogę tutaj siedzieć do starości.

– Następnym razem będę wiedział coś więcej. Obiecuję.

W Ameryce, ty skurwysynie, wylądowałbyś na krześle elektrycznym i nikt by się z tobą nie pierdolił jak tutaj!

Wstał od stołu, nie podając Faltenie ręki. Na miękkich nogach opuścił więzienie, powtarzając cały czas do siebie: Nigdy więcej... nigdy więcej.

Rumun nie zobaczył go ani żadnego z ludzi Monsignore więcej na oczy.

W celi zamknięty był z czterdziestoletnim chłopem ze wsi kieleckiej. Józef Deląg zabił teściową za to, że stanęła w obronie córki, którą okładał pięściami po pijanemu. Odważna kobieta odciągnęła ją od niego i zasłoniła własnym ciałem, mając nadzieję, że pijak się opamięta i zostawi je w spokoju. Myliła się bardzo. Deląg złapał ją za gardło żelaznym uchwytem dłoni wielkości bochenka chleba. Puścił ją dopiero wtedy, gdy poczuł zgrzyt miażdżonej krtani. Jak gdyby nic się nie stało, poszedł spać. Żona w szoku wybiegła z domu i całą noc błędziła po polach. Dopiero na drugi dzień sąsiedzi zadzwonili po policję, gdyż dwójka małych, zrozpaczonych dzieci biegała po podwórku, szukając matki.

Towarzystwo mrukliwego chłopca nie należało do zbyt przyjemnych. Za to po dwóch miesiącach odsiadki pozwolono mu na pracę w warsztacie stolarskim. Tam też miał okazję pokazać swoje przywódcze zdolności. Szybko otoczył się grupką więźniów, którzy traktowali go jak swojego szefa. Ilscu potrafił również nawiązać kontakt z wartownikami, więc czasami odpalali mu paczkę papierosów lub wyświadczali drobne przysługi.

Po trzech miesiącach przeniesiono Deląga do innej celi. Na pytania Falteny, czy wprowadzi się do niego ktoś inny, strażnicy mówili, że nie mają pojęcia i że oni nie decydują o tych sprawach.

We wtorek wieczorem, szóstego grudnia wartownicy na próżno szukali Rumuna w jego celi.

– Ktoś podobno kazał mu posprzątać warsztat, ale to było o godzinie piątej, więc do tej pory już powinien się zameldować – odezwał się jeden z nich.

– Niech to szlag trafi! Jak nam skurwiel zwieje, możemy pożegnać się z robotą. – Drugi ściągnął czapkę z głowy i nerwowo zaczął drapać się po łysinie.

– Ogłaszamy alarm? – Najstarszy z nich wyciągnął telefon z kieszeni, mając zamiar powiadomić dyrektora.

– Poczekaj. Najpierw sprawdzimy w warsztacie. Może tylko tam zasnął?

– Albo postanowił zrobić nam prezent mikołajowy – nerwowo zaśmiał się ten pierwszy.

Wszyscy troje puścili się pędem do warsztatu. Mocno zdyszani stanęli przed lekko uchylonymi drzwiami. Ten z łysiną pod czapką sięgnął po pistolet. Jak na złość nie mógł otworzyć kabury. Zatrzask w niej zaciął się na amen. Jego młodszy kolega pospieszył mu z pomocą. Pociągnął z taką

energiją za pasek przytrzymujący broń, że wyrwał go razem z zamkiem.

– Kurwa, ale narobiłeś bydlą! – Łysy teatralnym szeptem zwrócił się do niego.

– Bo jak byś, ciulu, przynajmniej raz w miesiącu czyścił ten posrany pistolet, to by tego nie było. Kiedy go ostatnio wyciągnąłeś?

– Niech pomyślę... Rok temu. Moja stara mnie wkurzyła i przystawiłem go jej do głowy. Powiedziałem jej: „Jak się nie zamkniesz, to zostanę do końca życia w moim zakładzie pracy”.

– I co ona na to? – zapytał trzeci.

– A tam. Co by miało być?

– Odeszła od ciebie? Przyznaj się.

– Nie odeszła, tylko popędziła do sracza. Narobiła ze strachu w rajstopy.

Najmłodszy uklęknął przed ścianą i lekko uderzał w nią głową, dając tym do zrozumienia, jak paradoksalna była scena przedstawiona przez kolegę. Rękami zasłaniał usta, aby nie parsknąć śmiechem.

– Ja chyba też się zaraz poleję ze śmiechu. – Drugi śmiał się w głos, łapiąc się rękami za krok.

– Po co ja wam to, kurwa, powiedziałem?! Teraz cały zakład będzie się ze mnie wyśmiewał.

– Nikt się nie będzie śmiał. Nikomu nie powiemy. Ale masz chyba teraz respekt w domu?

– Czy ja wiem? Na drugi dzień powiedziała mi, że któregoś dnia ugotuje mi zupę grzybową z grzybów, które sama nazbiera. Od tamtej pory nie jem grzybów.

– Cicho! Słyszeliście to?

Wszyscy troje przystawili uszy do metalowych drzwi. Z hali dochodził zdławiony krzyk. Wyciągnęli i odbezpieczyli broń. Po kolei weszli do ciemnego warsztatu. Jeden z nich odszukał kontakt i przekręcił wyłącznik światła. Neonówki zamigotały i dopiero po kilku sekundach halę rozjaśniło światło. Na samym jej środku ktoś ustawił ciężki, stolarski stół, na którym leżał Ilescu. Ostrożnie podeszli do niego.

Rumun leżał na stole z rozłożonymi rękami i nogami. Jego spodnie i spodenki leżały na podłodze w kałuży krwi. Widok, jaki stanął im przed oczami, nie należał bez wątpienia do najprzyjemniejszych. Najmłodszy ze strażników odwrócił się i zakrywając rękami usta, pobiegł w stronę toalety.

Ilescu spoglądał na nich i żałośnie pojękiwał. Usta miał sklezione szarą

taśmą klejącą, tą, której więźniowie używali do klejenia paczek. Rozłożone ręce i nogi nie były przywiązane do stołu, lecz przybite ogromnymi, długimi na około dwadzieścia centymetrów gwoździami. Na włosach duża plama krwi wskazywała na to, że ktoś go najpierw ogłuszył, uderzając w głowę metalową sztangą, leżącą obok stołu na podłodze. Gwoździe, którymi przybito nogi do stołu, przechodziły idealnie przez środek kości piszczelowych. Jak zauważył jeden z wartowników, ktoś musiał najpierw wywiercić dziury w piszczelach, a następnie wbić gwoździe, inaczej nie można sobie wyobrazić tak dokładnej co do milimetra roboty. Miał rację. Na drugi dzień strażnicy dozorujący pracę więźniów znaleźli w zamkniętej szafce narzędziowej zakrwawioną wkrętarkę i wiertło.

Najmłodszy wartownik wrócił z toalety i wszyscy troje stali w milczeniu u stóp Rumuna, przyglądając się mu uważnie.

– Czegoś mi tu, kurwa, brakuje. – Łysy podniósł czapkę i drapał się w głowę.

– Mi też coś nie pasuje. Patrzcie na jego wypchane policzki. Wygląda jak chomik mojej córki, kiedy wpierdoli całą marchewkę. – Najstarszy pokazał palcem na twarz Falteny, który wytrzeszczał z bólu oczy i pojękiwał coraz głośniej.

– To, co mu brakuje na dole, ma w gębie. Widzieliście już gościa bez jaj?
– Najmłodszy skinął głową, wskazując między jego nogi.

– Cholera. Facet, w twojej skórze to ja bym nie chciał teraz siedzieć. Ktoś, nie chcemy wiedzieć kto, bo to nie nasza sprawa, wyciął ci cały wór i jego zawartość wsadził do mordy. – Łysy drapał się po głowie dwoma rękami, trzymając czapkę między nogami.

– Przestań się, do cholery, drapać! Nie mogę na to patrzeć, bo mi się udziela. – Najstarszy szturchnął kolegę w ramię.

– Zawsze to robię, jak się denerwuję. Nic na to nie poradzę.

– W tej chwili to jego tym denerwujesz. Patrz, jak sapie. Biedaczek, też by się podrapał, ale nie może się ruszać. Zostawmy go teraz w spokoju, niech jeszcze chwilę odpocznie. Za chwilę zadzwonimy do dyrektora.

– Chodźmy stąd, bo znowu się porzygam. – Młody odwrócił się i pierwszy podążył w stronę drzwi.

Jak później stwierdził komisarz policji prowadzący dochodzenie w tej sprawie: „Chcę wierzyć, że jest to tylko przypadek, że rany na rękach i miejsce, w których je dokonano, wyglądają podobnie jak u tej nieszczęsnej

kobiety, która zmarła i którą w tak bestialski sposób torturował”. I niby sam do siebie: „Należało się bydlakowi!”.

Już po tygodniu czasu śledztwo z braku winnych dokonania przestępstwa umorzono. W więzieniu zaczęły krążyć pogłoski, że ktoś z zewnątrz zlecił załatwienie Rumuna. Podobno przekazano komuś mnóstwo forsy za jego okaleczenie. Mówiło się o dziesiątkach tysięcy dolarów. Dyrekcja więzienia nie podjęła jakichkolwiek kroków w tej sprawie, twierdząc, że to są tylko bezpodstawne pogłoski. Poza tym dyrektor miał całkiem inne sprawy na głowie. Przed świętami zamierzał wraz z żoną wybrać się na dwa tygodnie w góry na narty, ale w ostatniej chwili musiał zmienić plany. Podobno żona otrzymała nieoczekiwanie spadek po ciotce ze Stanów i postanowili spędzić święta Bożego Narodzenia i Sylwester na Malediwach.

Po trzech tygodniach pobytu w szpitalu więziennym pod Warszawą lekarze oświadczyli Ilescu, że już za parę dni odeślą go do więzienia i wróci nareszcie do swojej celi. Na drugi dzień rano jeden z sanitariuszy znalazł go martwego w łazience. Jego ciało było jeszcze ciepłe. Ilescu Faltena powiesił się, zawiązując jeden koniec prześcieradła na rurze wodnej przechodzącej pod sufitem. Prześcieradło pod ciężarem jego ciała naciągnęło się tak, że czubki palców w stopach dotykały podłogi. Na widok wisielca sprowadzony lekarz więzienny stwierdził, że śmierć Rumuna przypomina mu w pewnym stopniu śmierć ukrzyżowanych ludzi, którym, aby przedłużyć cierpienie, przybijano do belki pod tyłkiem miniaturowe, odpowiednio wyprofilowane siedzenie, na którym nie byli w stanie usiąść ze względu na ciężar ciała opadającego pod wpływem grawitacji, gdyż ciągle zsuwali się z niego w dół. Umierali przybici długimi, żelaznymi gwoździami do belki przez wiele dni, a może i tygodni. Cierpienie tamtych ludzi było niewyobrażalnie straszniejsze w porównaniu z Faltenem, który spędził zaledwie parę godzin na stryczku, zanim zmarł.

– Czy ktoś z was widział wisielca, zanim sanitariusz go znalazł? – Lekarz zadał to pytanie więźniom leżącym w łózkach na sali.

Dwóch z nich udawało, że śpi, trzech bez słowa wpatrywało się w sufit, jedynie Rachowiak przecierał oczy, tak jakby dopiero się obudził.

– Nie, nic nie słyszeliśmy. Nie sądzi pan, doktorze, że wpierw spytał nas o zgodę, a później poszedł się powiesić?

– Ty, Rachowiak, tutaj nie filozofuj! – odezwał się do niego sanitariusz.

Mężczyzna jeszcze raz powtórzył:

– Nic nie słyszeliśmy. W przeciwnym wypadku, któryś z nas by go odciął lub was zawołał.

Dwóch pozostałych przytaknęło Rachowiakowi. Ten odwrócił głowę w stronę zakratowanego okna. Myślni powrócił do wydarzenia sprzed kilku godzin.

Wszystkich na sali obudziło nagłe rżenie i szuranie nogami po chropowatej posadzce dochodzące z łazienki. Jedynie łóżko Rumuna było puste. Kołdra leżała na podłodze. Przez długi czas nie odzywali się do siebie ani słowem. W końcu jeden z nich nie wytrzymał i odezwał się do Rachowiaka:

– Idźżeż, kurwa, do niego i odetnij chuja!

– Idź sam. Każdy ma taką śmierć, na jaką zasłużył.

Naciągnął kołdrę na głowę i po chwili znowu zasnął. Obudziło go ciśnienie na pęcherz. Z łazienki dochodziło nadal szuranie stóp Falteny o podłogę. W końcu nie wytrzymał z bólu, jaki sprawiał mu pęcherz, i wstał skulony, trzymając się za brzuch. Podreptał do łazienki. Rumun wisiał w ciemności i obracał się na powrozie zrobionym z prześcieradła. Zapalił światło i przeszedł obok niego. Usiadł na sedesie naprzeciwko wisielca. Rumun uspokoił się i patrzył przekrwawionymi oczami w jego twarz. Przez moment ich wzrok spotkał się. Już po kilku sekundach Rachowiak spuścił głowę i zakrył twarz dłońmi. Nagłe skurcze jelit spowodowały, że po raz pierwszy od trzech dni, jakie upłynęły od operacji żołądka, wypróżnił się. Zanim się podniósł z sedesu, jeszcze raz popatrzył w jego oczy. Chciał mu coś powiedzieć, coś o parszywym i niesprawiedliwym życiu, jakie mu przypadło w udziale i o tym, że teraz każdy z nich cierpi i żałuje, ale doszedł do wniosku, że dla wisielca to już nie ma najmniejszego znaczenia.

Po chwili wstał z toalety, spuścił wodę i podszedł do umywalki. Umył ręce, wytarł i podszedł do Rumuna. Stanął metr przed nim, unikając jego wzroku. Uklęknął przed nim w takiej odległości, aby nie ubrudzić nóg krwią zmieszaną z moczem, po czym objął jego kolana dwoma rękami. Trzymając głowę na udach, powiesił się na nim całym ciężarem swojego tułowia. Wstał od niego dopiero, kiedy ciało wisielca przestało drgać w agonii. Schylony z bólu, jaki sprawiał mu zoperowany żołądek, z którego usunięto pęknięte wrzody, podszedł jeszcze raz do umywalki. W lustrze zobaczył twarz obcego człowieka. Odstrasząco chudy, pomarszczony, z ciemnymi worami pod oczami w niczym nie przypominał człowieka sprzed kilku miesięcy. W rogu

lustro widział sylwetkę martwego Ilescu. Błada, ohydna twarz umarlaka, który odszedł w strasznych cierpieniach, kolorem przypominała jego własną. Oczy Rumuna były lekko uchylone, a spomiędzy odsłoniętych niczym u wściekłego wilka zębów zwisał różowy język.

Trochę mu zazdrościł. Tęsknił do życia, jakie jeszcze niedawno prowadził. W tej chwili pragnął umrzeć, wymazać się bezpowrotnie z listy obecności i odejść na zawsze.

Umył ponownie ręce i zgarbiony podążył w stronę łóżka. Nie zasnął. Myślami podążył do czasów, w których jego życie pędziło do przodu bez większych przeszkód torami stworzonymi tylko i wyłącznie dla niego.

Rok temu Katarzyna, jego ukochana i ubóstwiana ponad wszystko żona, wróciła z dwutygodniowego urlopu, który spędziła z najlepszą koleżanką w Hiszpanii, w Costa Brava. Po trzech dniach ślad po niej i po części jej najlepszych ciuchów zaginął. Wyjechała nad ranem, zostawiając dwoje dzieci i lakoniczny liścik pożegnalny, w którym oznajmiła mu, że ma jego i tej dziury, w której mieszkają, powyżej dziurek w nosie. Teraz dla odmiany, on może zająć się wychowaniem dzieci i prowadzeniem tej budy, w której jej noga więcej nie postanie.

Przesłuchana przez policję Patrycja, jej koleżanka, przyznała, że Katarzyna poznała przystojnego Hiszpana i zakochała się w nim. Namówił ją, żeby rzuciła męża i zamieszkała w Hiszpanii. Ale pod jednym warunkiem, mianowicie: ma zostawić dzieci mężowi. Patrycja nie miała pojęcia, gdzie ten Hiszpan – Carlos – mieszkał, bo był na wczasach tak jak one. To on przyjechał po Katarzynę samochodem i odebrał ją nad ranem z domu.

Rodzice Kamila zajęli się wychowaniem dzieci, a on sam wpadł w dołek, z którego już nie wyszedł. Pracował nadal jako nauczyciel w wiejskiej szkole. Perspektywa objęcia stanowiska dyrektora przestała go zupełnie interesować. Ludzie śmiali się za jego plecami i pokazywali palcem. Słowa: „Patrz, to ten, co żonka go zostawiła z dwojgiem dzieci”, słyszał codziennie, więc po alkohol sięgał każdego wieczora. Początkowo wydawało mu się, że to popijanie, które uspakaja nerwy, kontroluje, ale kiedy sięgnął po butelkę przed pracą, zdał sobie sprawę, że osiągnął nie ten cel, jaki sobie wyznaczył w życiu.

Na początku listopada wpadła do jego domu, wyważając drzwi, zamaskowana policja. Wyciągnęli go pijanego z domu na podwórze i skuli w kajdanki. Od dwóch dni nie trzeźwiał. Nie stawiał żadnego oporu, bo ledwo

trzymał się na nogach. Policjanci przeciskali się przez rozwścieczony tłum zgromadzonych pod jego domem ludzi. Niektórzy z nich krzyczeli w jego stronę: „Powiesić chuja! Obciąć mu kosą jaja! Gwałciciel!”. Gdyby nie policja, ludzie bez wątpienia zlinczowaliby go na jego własnym podwórku.

Dopiero następnego dnia prokurator przeczytał mu akt oskarżenia. Gwałt i pobicie czternastoletniej uczennicy Bogusławy C.

Po dwóch miesiącach pobytu i nieustannych przesłuchaniach w więzieniu śledczym przewieziono go do pobliskiego Rzeszowa. Jego obrońca jeszcze raz namawiał go do przyznania się do winy, w przeciwnym wypadku mógł spodziewać się kary więzienia nawet do piętnastu lat. Ofiara gwałtu nie była obecna na rozprawie, jedynie jej rodzice nieustannie wymachiwali pięściami w jego stronę. Nie przyznał się do winy. Sąd uznał problemy rodzinne i związaną z tym depresję oskarżonego jako aspekt łagodzący i skazał go na karę ośmiu lat więzienia.

Zwłoki Ilescu rodzice ściągnęli do Timisoary, gdzie został pochowany. W uroczystości pogrzebowej oprócz nich i czterech pracowników firmy pogrzebowej nikt inny nie wziął udziału. Matka rwała sobie włosy z głowy, obwiniając siebie i męża za stratę jedyne go dziecka. Brak czasu, troska o własną karierę i presja, jaką wywierali na niego, żeby stał się ich godnym następcą oraz synem, którym mogliby się szczyścić, doprowadziła do tego, że na złość rodziców obrał inną drogę. Drogę, którą przypłacił życiem.

– Nasz syn nie urodził się zły. Myśmy go takim zrobili! – oświadczyła mężowi po pogrzebie.

Kamila Rachowiaka wypuszczono na wolność szybciej niż mógłby się tego spodziewać. Prosto ze szpitala więziennego odwieziono go do domu, oznajmiając mu, że jest wolnym człowiekiem.

Koleżanka rzekomo zgwałconej Bogusławy Cisławskiej, z którą się pokłóciła, opowiedziała rodzicom o całej inscenizacji gwałtu i pobicia, jakich dopuścił się ich nauczyciel. Oskarżenie miało być karą za złe stopnie, jakie wystawił jej na świadectwie. Ona pobiła Bogusię na jej własną prośbę i w miejsca przez nią wskazane. Również w takie, aby lekarz przy ewentualnych badaniach ginekologicznych nie miał wątpliwości co do gwałtu. Zanim ją pobiła, Bogusia zjadła cały listek tabletek przeciwbólowych i nawet nie płakała, gdy ją okładała kijem od miotły i... robiła te inne rzeczy.

Rachowiak ku swojemu zdziwieniu zastał żonę w domu. Tak, jak gdyby nic się nie stało, zajmowała się dziećmi i prowadziła gospodarstwo.

– Już jesteś? Najwyższy czas, bo wszyscy czekamy na ciebie. – Były to jedyne słowa, które wypowiedziała na jego widok.

– Trochę to trwało, ale już jestem.

– To siadaj do stołu, zaraz podam ci jedzenie. – Ściągnęła mu kurtkę i zaprowadziła do stołu. Kamil osłabiony chorobą ledwo trzymał się na nogach.

Nigdy nie rozmawiali na temat jej romansu, nigdy nie wypomnił jej ani słowem zdrady, jakiej się dopuściła. Po miesiącu opuścili wioskę i wyjechali na północ kraju, gdzie jako zadośćuczynienie za niesłuszne osądzenie dokonania przestępstwa i rok odsiadki otrzymał posadę dyrektora szkoły podstawowej. Pięć miesięcy później Katarzyna urodziła trzecie dziecko. Pablo miał czarne, kręcone włosy i dwa błyszczące węgliki w oczach.

Kobieta siedziała przy stoliku zwrócona twarzą w stronę baru, za którym młody barman miksował drinki. Co chwilę pokazywał niesamowitą zręczność, zonglując szklankami. Podrzucał jedną do góry i łapał ją za plecami. W tym samym czasie nalewał alkohol do następnej, która stała przed nim. Dwie młode kobiety siedzące przy barze przypatrywały mu się z uwagą. Barman był przystojnym mężczyzną o czarnym, starannie przyciętym, parodniowym zarostie. Włosy zaczesane na bok przykrywały mu prawe ucho. Niebieskie, żywe, rzucające spojrzenia na gości restauracji oczy kontrastowały z jego ciemną karnacją, dodając mu jeszcze więcej seksapilu. Nie zwracał uwagi na dwie wpatrzone w niego dziewczyny, a pomimo tego kobieta siedząca samotnie przy stoliku miała wrażenie, że to przedstawienie jest właśnie dla nich.

Po kilku minutach do jej stolika podszedł mężczyzna. Lekko utykał na lewą nogę. Ubrany był w granatowy, starannie dopasowany garnitur i jasniebieską koszulę z szeroko odpiętym kołnierzykiem i napisem „Camp David”.

Pachnie kasą – pomyślała.

Gość nie podał jej ręki ani nie przywitał się z nią. Usiadł naprzeciwko.

– Czy to ty jesteś...? No jak ci było? Cholera, zapomniałem.

– Dorothea. Ty jesteś Karol, tak?

– Niech będzie Karol. Czego się napijesz? Ja piję wieczorem z reguły czerwone, wytrawne wino. – Skinął na stojącego przy wejściu do sali kelnera i nie czekając na odpowiedź, zamówił butelkę Château.

– A więc Dolores?

– Dorothea. Tak jak ci mówiłam, moja koleżanka...

– Wiem, twoja koleżanka wyjechała z kraju. Mówiłaś przecież. Nie jestem idiotą! Teraz do rzeczy. Jestem cholernie zajęтым człowiekiem i nie mogę tracić czasu na jakieś pierdoły i pogawędki. Myślę, że się rozumiemy. Z reguły dostaję to, na co mam ochotę. Za pieniądze można wszystko kupić, a ty jesteś dla mnie tylko towarem.

Kobieta potakiwała mu głową i nie odzywała się.

– Chcę, żebyś wiedziała, że mam pod sobą tysiące ludzi i kieruję takimi przedsiębiorstwami, że nawet sobie nie zdajesz sprawy. Politycy jedzą mi z ręki. Rozumiesz? I lepiej byłoby dla ciebie, wierz mi, żeby się okazało, że nie jestem tutaj na darmo.

Zniżył głos na widok kelnera podchodzącego do nich z butelką wina i dwoma lampkami. Kelner nalał odrobinę wina do lampek i podał do skosztowania. Mężczyzna przystawił nos do kieliszka, kręcił nim, odstawił i znowu wachał. Po minucie pociągnął drobny łyk wina i trzymając go cały czas w ustach, mlaskał. Kobieta z wyraźnym rozbawieniem przypatrywała się mu. Sama opróżniła zawartość szkła, pokazując kelnerowi, że ma nalać do pełna.

Wzrok mężczyzny padł na dekolt Dorothei. Obcisła, czerwona bluzeczka z trudem utrzymywała w ryzach dwie ogromne piersi, które starały się uwolnić z niewoli. Próba połknięcia wina nie powiodła się. Zakrztusił się. Czerwony na twarzy kazał kelnerowi odejść. Sam nalał sobie lampkę do pełna.

– Na czym to stanęliśmy?

Nadal nie mógł oderwać wzroku od jej biustu. Na widok znamienia w kształcie ogromnego, wzbijającego się do lotu motyla jego przekrwione, piwne oczy zrobiły się okrągłe ze zdziwienia. Z kącika ust sączyły mu się czerwone krople i spływały na brodę. Na kołnierzyku koszuli pojawiła się czerwona plama.

Dorothea podała mu serwetkę.

– Z twoją koleżanką spotkałem się chyba tylko dwa razy. Nie chciała robić tego, na co miałem ochotę, i na tym się skończyło. Nie rozumiem, po jaką cholere dała ci mój numer!?! – Skłamał, gdyż tak naprawdę nie wiedział, o jaką koleżankę jej chodziło. W tej chwili zresztą było mu to zupełnie obojętne.

– To proste. Ja spełniam każde życzenie.

– Zrobisz wszystko, na co mam ochotę? Naprawdę?

– Wszystko ma swoją cenę, oczywiście, i wszystko ma swoje granice.

– Pięć stów!?

– Za tysiąc możesz mnie mieć przez całą noc i robić ze mną to, na co masz ochotę. Daję ci gwarancję, że czegoś takiego jeszcze nie przeżyłeś. Ja po prostu już taka jestem, że daję z siebie wszystko, rozumiesz?

Zapanowało milczenie. Oboje pili wino i patrzyli na siebie.

Przyglądał się jej twarzy. Mały nos, zmysłowe, pomalowane na czerwono usta, niebieskie oczy i do tego ten olbrzymi biust, na którym za każdym razem zatrzymywał wzrok. Czarne, długie do ramion włosy kontrastowały z jej białą skórą. Zastanawiał się, czy są naturalne.

Właściwie jest mi to zupełnie obojętne i gównu mnie to obchodzi. Zdzira dostanie za swoje. Wytnę jej tego motyla. Z polowania każdy prawdziwy łowca zabiera trofeum.

Dorothea z kolei zwróciła uwagę na jego sylwetkę. Najbardziej niepokoiła ją jego waga. Oceniała go na około sto dwadzieścia kilogramów. Jeszcze nigdy nie miała do czynienia z tak potężnym gościem.

Może powinnam się wycofać, póki jeszcze czas?

Od strony barku dochodziły chichoty dziewczyn. Barman opowiadał im coś, a one co chwilę wybuchały śmiechem. Postawił właśnie przed nimi nowe koktajle. Z boku stały jeszcze niesprzątnięte cztery szklanki. Wyglądało na to, że wszyscy dobrze się bawią.

I kto wie, jak się ten wieczór skończy?

– Jedziemy! – Jego stanowczy głos wyrwał ją z zamyślenia.

– Dokąd? – zapytała, mimo że wiedziała, gdzie ją zabiera. Trzydzieści kilometrów od Krakowa miał położony samotnie w lesie domek letniskowy.

– Nie twoja sprawa. Jutro odwiozę cię do domu.

Ledwo co zdążyła opróżnić lampkę, a ten już stał obok i trzymał ją za rękę. Rzucił na stół banknot i pociągnął ją za rękę w kierunku wyjścia.

– Cholerna pogoda! Niech to szlag trafi. Dobrze, że zaparkowałem samochód przed tą speluną.

Parę metrów, jakie potrzebowali, by dobiec do auta, wystarczyło, by jej fryzura została doszczętnie zniszczona. Przez moment zdawało się, że niebo otworzyło swoje wrota i wylało na nich setki litrów wody.

Mężczyzna wsiadł do samochodu, nie przejmując się kobietą. Dorothea obiegła samochód naokoło i usiadła z przodu obok niego.

Droga była widoczna nie więcej niż na odległość pięćdziesięciu metrów, ale pędził samochodem przez miasto osiemdziesiąt kilometrów na godzinę.

– Nie musisz się tak spieszyć, jeszcze nie włączyłam taksomierza.

– Zamknij się!

– Z reguły forszę biorę z góry, bo...

– Dostaniesz, jak dojedziemy na miejsce – przerwał jej. – Lubisz Mozarta? – Włączył radio.

– Nie lubię Niemców.

– Ty głupia. On był Austriakiem. Pewnie wolisz disco polo?

Przełączył na odtwarzacz CD. Z głośników dobiegła poważna muzyka, która dodawała jeszcze większej grozy temu ulewnemu wieczorowi.

– Lubię muzykę rozrywkową. Taką, która leci codziennie w radiu.

A jutro to ci puszczę, skurwysynu, żałobną Mendelssohna na pożegnanie.

Przez resztę drogi nie odzywali się do siebie. Po piętnastu minutach zjechał z głównej drogi w las. Po następnych paru minutach jazdy po wybojach, które bez trudu pokonywał jego jeep, dotarli do domku otoczonego wysokim murem. Zatrzymał samochód przed bramą i nacisnął przycisk pilota umieszczonego na podsufitce. Brama otworzyła się bezszelestnie. Zaparkował przed wejściem do domu.

– Wysiadał. Jesteśmy na miejscu.

– Odwiesz mnie rano do domu? Ja nawet nie mam pojęcia, gdzie jestem.

Otworzyła drzwi samochodu i stanęła obok, czekając aż mężczyzna podejdzie do niej. Jednak przeszedł obok niej, jakby była powietrzem, i szukając po drodze odpowiedniego klucza, podszedł do drzwi wejściowych. Przyświecając sobie małą latarką, otworzył je i wszedł do środka.

– Na co czekasz? Może mam cię na rękach wnieść?

Dorothea weszła do środka, zatraskując za sobą drzwi. Rozglądała się z zaciekawieniem po salonie. Wisiały w nim rogi jeleni, a w oszklonej szafie parę wypreparowanych ptaków. Domyśliła się, że przyjeżdża tutaj na polowania.

– Siadaj. Czuj się jak u siebie w domu. Czego się napijesz?

Jego ton stał się przyjemny.

Podejrzenie przyjemny – pomyślała.

– Pozostańmy przy winie. Chętnie napiję się lampkę wina. To w restauracji bardzo mi smakowało. Jak mam się do ciebie zwracać? Możesz mi

zdradzić swoje imię?

– Możesz mi mówić Karol. Co do wina, mam tutaj o wiele lepsze od tamtego, które piliśmy. Zrobię kawę. Trochę się rozgrzejemy, zanim... – Podszedł do kuchni, która była połączona z salonem. – Zdejmij płaszcz i rozgość się. – Wskazał na dużą wygodną skórzaną sofę.

Położyła płaszcz na jednym z foteli i usiadła, zapadając się w miękkim siedzeniu. Popatrzyła na swoje dłonie. Jej palce lekko drżały ze zdenerwowania. Włożyła dłonie pomiędzy uda. W domu było ciepło, ale trzęsła się na całym ciele.

Po kilku minutach podszedł do niej. Na stoliku postawił tacę z kawą i dwoma lampkami wina. Sięgnął ręką do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyciągnął portfel. Odliczył pieniądze i położył je przed nią.

– Przelicz.

– Nie potrzeba, wierzę ci.

– Dzisiaj nikomu się nie ufa. Tylko forsa się liczy. Możesz mieć wszystko, co tylko zapragniesz, jak masz wystarczająco tych papierków.

– Kupiłeś za nią miłość?

– Co to jest miłość? Chyba nie wierzysz w takie bzdury! Po co tutaj przyjechałaś?

– Z miłości do pieniędzy. – Oboje roześmiali się.

Nagle atmosfera całkiem się zmieniła. Na początku oczekiwała ze strachem, że gość rzuci się na nią i będzie usiłował ją zgwałcić, a tu nagle śmiali się do siebie.

Podał jej lampkę wina. Stuknęli się szklami.

– Za miły wieczór.

– Za udaną noc. – Popatrzył jej w oczy, ale już w następnej sekundzie wzrok skierował na jej biust.

Położył rękę na jej ramionach i lekko przysunął ją do siebie. Włączył pilotem radio.

– Czy to jest ta muzyka, która ci się podoba?

– Tak. Lubię ją. Większość ludzi słucha radia i takiej muzyki.

Skinął głową.

– Ja również chętnie słucham radia, gdy tylko czas mi na to pozwala.

– Co robisz? Jaka jest twoja praca?

Przez chwilę zastanawiał się.

– To właściwie nie jest temat na ten wieczór. Zajmuję się handlem. A

dokładnie nadzoruję go i staram się, aby wszyscy ciągnęli z niego profity.

– Ty przede wszystkim.

– Ja również, naturalnie. Inaczej bym tego nie robił.

– A ty? Robisz to, że tak powiem, zawodowo, czy tylko dorabiasz sobie?

– Z zawodu jestem technikiem niwelacyjnym.

Nie miała pojęcia, jak zareaguje na jej dowcip. Sama przed sobą chciała ukryć potężne zdenerwowanie. Nie mogła przewidzieć tego, co za chwilę nastąpi. Bała się go okropnie. Wyglądał na człowieka bez skrupułów, a do tego ta jego potężna postura... Nie był zbyt wysoki, ale za to silnie zbudowany, ze sporą nadwagą. Wyglądał na około czterdzieści pięć lat.

– Nigdy o czymś takim nie słyszałem.

– Niweluję erekcje u mężczyzn. A tak naprawdę jestem amatorką. Staram się, jak mogę...

Jej dowcip przyjął bez najmniejszego uśmiechu. Zapragnęła rzucić się do drzwi wyjściowych i uciec.

– Czy ktoś wie, że dzisiaj spotkałaś się ze mną?

– Nie, nikomu nie opowiadam o tym, co robię i z kim się spotykam.

– To dobrze. To bardzo dobrze.

Postawił pustą filiżankę na stoliku. Odpiął jej spodnie i ściągnął bluzkę, następnie biustonosz. Zahipnotyzowany wpatrywał się w jej piersi. Rozsunął je delikatnie na boki i na widok motyla szykującego się do odlotu gwałtownie odsunął głowę do tyłu.

– O Boże! Powiedz, że one są prawdziwe. Czegoś takiego jeszcze na oczy nie widziałem.

– Są moje i uwierz mi: prawdziwe!

Rozebrali się na dole i udali na piętro, gdzie znajdowała się sypialnia. Nalegała, by wziąć torebkę, twierdząc, że ma tam parę rzeczy, które zawsze w takich okolicznościach zabiera ze sobą.

Jego waga przytłaczała ją. Z trudem łapała powietrze. Dopiero gdy zsunął głowę z jej piersi, odetchnęła z ulgą. Każdy jej mięsień napięty był niczym struna.

Być może on nie jest taki jak tamci. Być może Amanda myliła się lub on się zmienił. Ludzie przecież się czasem zmieniają. Nawet przestępcy stają się uczciwymi obywatelami.

Prawą rękę uniosła nad głowę i włożyła pod poduszkę. Lewą obejmowała jego głowę. Mężczyzna sapał jak lokomotywa. Czowała jego szybki oddech na

sobie. Jego głowa zjeżdżała coraz niżej, dopóki nie spoczęła na jej udach, które po chwili rozsunał.

Nie patrzyła na niego. Jej wzrok przebiegał któryś raz z kolei po pokoju. Ściany i sufit wyłożone były jasnymi, drewnianymi panelami. Przy jednej ścianie ustawiona była komoda, na której stojąca lampka odbijała światło w lustrze i oświetlała cały pokój. Okiennice w dwóch oknach były starannie zamknięte. Miała wrażenie, że są całkowicie odizolowani od reszty świata.

Ogromne łóżce, na którym leżeli, umieszczono pomiędzy tymi właśnie oknami. Na stoliku obok leżały akcesoria, które bez wątplenia wskazywały na skłonności sadystyczne pana domu. Nie mogła oderwać od nich oczu. Nie wiedziała dokładnie, jakie funkcje – oprócz skórzanego bata i kajdanek – miały spełniać. Zamyślona nie zauważyła, że podniósł się i oparł na łokciach. Poczula go w sobie. Sprawił jej ból nagłym wtargnięciem. Odruchowo podciągnęła się w górę. Złapał ją za ramiona, podciągając się wyżej. Jego palce wbiły się w jej ciało tak, że nie była w stanie uciec. Już po kilku sekundach jego ruchy stały się intensywne, a z krtani wydobył się dźwięk przypominający zarzynanego prosiaka. Osunął się na nią bezwładnie.

Dzięki Bogu, po wszystkim.

– Szybki jesteś, ale teraz wstawaj ze mnie, nie mogę oddychać. – Poklepała go lewą ręką. Prawą trzymała nadal pod poduszką.

Podniósł się wpierw na łokciach, następnie oparł na dłoniach. W oczach miał coś niesamowitego, coś, co wzbudziło w niej lęk.

Nawet nie zdążyła zareagować na jego cios zadany pięścią w lewy policzek. Jej głowa odskoczyła na bok niczym kopnięta piłka.

– Ty kurwo, masz czelność mi mówić, co mam robić? To, co za chwilę z tobą zrobię, przekracza twoją prymitywną wyobraźnię. Rano będziesz zebrała, żebym cię zakatrupił i skrócił cierpienia. Twoja koleżanka miała cholerne szczęście, że nie dołączyła do tych, które spoczywają w lesie. Ciebie, suko, zakopię żywcem przed domem. Miejsce i skrzynię, w której spędzisz resztę żywota, już przygotowałem. Sama się o to prosiłaś!

Podniósł pięść w górę, chcąc jej zadać kolejny cios, ale tym razem Dorota zareagowała szybciej niż poprzednio. Jego dłoń natrafiła w powietrzu na coś, co zatrzymało ją na około dwadzieścia centymetrów przed jej twarzą. Wyciągając nóż sprężynowy, uruchomiła jednocześnie mechanizm zwalniający ostrą niczym brzytwa klingę, która wbiła mu się dokładnie w środek dłoni, pomiędzy środkowy a serdeczny palec. Zamiast podnieść rękę

do góry i uwolnić ją od ostrza noża, szarpnął ją w dół. W ten sposób wyswobodził ją co prawda z noża, ale przeciął dłoń wzdłuż, pomiędzy palcami. Lewą ręką złapał się za nadgarstek skaleczonej ręki i zgiął się z bólu w pasie.

– Zabiję cię, suko!

Przedramieniem przycisnął jej gardło, a lewą ręką wybił jej nóż, który spadł na podłogę. Na uchwycie noża widoczne były wygrawerowane gotyckim pismem inicjały T.A.K.

Zaledwie po kilku sekundach twarz kobiety stała się czerwona. Przekrwione oczy uciekały do góry, ukazując białka. Rękami uderzała i drapała jego plecy w nadziei, że chociaż na chwilę popuści uchwyt i będzie mogła złapać powietrze. Jej ciało zaczęło drgać. Uderzenia pięściami stawały się coraz słabsze i nie wywierały na leżącym na niej mężczyźnie żadnego wrażenia.

To już chyba koniec ze mną.

Życie przelatywało jej przed oczami niczym na taśmie filmowej puszczanej w przyspieszonym tempie. Zobaczyła siebie jako grubą, brzydką, z długimi warkoczami dziewczynkę w pierwszej klasie. Stała na końcu grupy uczniów. Chłopcy co chwilę szturchali ją i pociągali za włosy, a ona stała bez ruchu ze łzami w oczach. Film przesuwiał się coraz szybciej, a ona rejestrowała tylko te najbardziej smutne momenty swojego życia.

Stała przy grobie. Obok dwie trumny, które za chwilę zostaną opuszczone do ziemi. W nich zwłoki jej rodziców, którzy zginęli w wypadku samochodowym. Jej ojciec nigdy nie był dobrym kierowcą. Jego trzeci wypadek skończył się tragicznie. Ciężarówka, na której wymusił pierwszeństwo, przecięła samochód w pół. Oboje rodzice zginęli na miejscu. Ona siedziała na tylnym siedzeniu. Oprócz drobnych skaleczeń nie doznała żadnych poważnych obrażeń. Ludzie, którzy wyciągnęli ją z wraku, mówili, że anioł stróż musiał ją mocno trzymać za rękę. W następnej scenie widziała siebie stojącą w kuchni. Jej mąż, jej pierwsza miłość podbiegł do niej i okładał ją pięściami za to, że zapomniała mu kupić papierosy. Padła na podłogę. Z nosa kapła jej krew, a on kopał ją w brzuch. Karetka pogotowia zabrała ją do szpitala. Lekarz pochylił się nad nią i oznajmił, że poroniła syna w piątym miesiącu ciąży i już nigdy nie będzie mogła mieć dzieci. Nagle film zwolnił i zatrzymał się w chwili, kiedy Amanda złapała ją za ramiona i lekko cofnęła się do tyłu, a ugięta w kolanie noga szykowała się do uderzenia...

Dorota ostatkiem sił lekko zgięła nogę i z całą energią, jaka jeszcze pozostała w jej umierającym ciele, zadała duszającemu ją mężczyźnie dwa ciosy między nogi. Czuła na skórze jego genitalia, które pod wpływem uderzeń płaszczyły się niczym kotlety schabowe pod drewnianym tłuczkiem, jakiego używała do ich ubijania.

Nagle jego żelazny uchwyt zelżał. Z jękiem opadł, zwijając się z bólu obok niej.

Łapała gorączkowo powietrze. Bezskutecznie próbowała się podnieść. Wreszcie po drugiej nieudanej próbie stoczyła się z zalanego krwią łóżka. Upadła obok noża. Wstała, przytrzymując się ramy. Światło lampki nocnej odbijało się w błyszczącym ostrzu noża, który trzymała w ręku, a jej cień padał na ścianę, ukazując niesamowity, zdeformowany kształt jej postaci i nadając w ten sposób jeszcze więcej grozy sytuacji. Zdawała sobie sprawę, że teraz ma jedyną i ostatnią szansę wyjścia stąd z życiem.

Albo ja, albo on. Lepiej niech ten skurwiel zdechnie, bo ja jeszcze nie mam zamiaru.

Podeszła, lekko zataczając się, do zwijającego się z bólu faceta. Dłonie trzymał w kroczu i jęcząc, przekręcał się raz w jedną, raz w drugą stronę. Krew ze skaleczonej ręki spływała mu na uda i wsiąkała w materac.

– Zabiję sukę, zabiję zdzirę... – powtarzał stłumionym głosem.

Trzymała przed sobą nóż w dwóch trzęsących się ze strachu rękach. Jej niesamowity krzyk, podobny do tego, jaki wydaje karateka przed rozbiciem stosu cegieł, tylko na ułamek sekundy odwrócił jego uwagę od obolałych jąder. Z przerażeniem spojrział w jej zmienioną i nabiegłą krwią twarz. Nie dała mu czasu na wypowiedzenie ostatnich, zawierających błaganie o litość, słów.

Trzy dni później pod leśną rezydencję radcy handlowego doktora Georga Maiera podjechały dwa policyjne samochody. Czterech policjantów wysiadło z nich i podeszło do lekko uchylonej bramy wjazdowej.

– Poruczniku, co robimy? – Ten, który wysiadł z drugiego auta, zwrócił się do najstarszego rangą oficera.

– Jak to: co robimy? Wchodzimy do środka. Sam prokurator dzwonił, abyśmy tego gościa odszukali. Od trzech dni nie daje znaku życia. Podobno nawet ministerstwo wydzwania za nim – zwrócił się do pozostałych policjantów najstarszy z nich.

Porucznik Kazimierz Osocki pracował w policji od dwudziestu trzech lat i

uważał to zadanie za zwykłą rutynę. „Pewnie pochlał facet i leczy kaca następną flaszką. Teraz stracił rachubę czasu i odsypia rausz. Prawie codziennie wydzwanają do nas żony, których faceci nie wracają do domu, bo poimprezowali troszeczkę. Świat się nie zawali, jak czasami wyrwiemy się z tego kierunku. Ale z tym gościem to inna sprawa. Podobno to jakaś szycha i sama Warszawa szuka go od dwóch dni. Przyjechali jacyś biznesmeni z Niemiec, a bez niego ani rusz” – opowiadał w samochodzie po drodze młodszemu kierowcy.

Weszli do środka. Jeden z nich zaglądnął do zaparkowanego przed wejściem jepea. Złapał za klamkę i otworzył drzwi samochodu.

– Wygląda na to, że gość jest w domu. Nawet nie zadał sobie trudu, żeby zamknąć auto.

– Panie poruczniku! Drzwi wejściowe też są otwarte. – Kierowca, starszy posterunkowy Stanisław Musiał zwrócił się do szefa, pokazując na lekko uchylone drzwi wejściowe.

– Dobra! Ty, Musiał, idziesz ze mną. Wy zostańcie tutaj i rozglądnijcie się trochę naokoło.

– Mamy wypytać sąsiadów, czy nie zwrócili na coś podejrzanego uwagi?
– zapytał stojący na końcu policjant.

Chorąży Tomasz Kozłowski zaczął pracę w policji zaraz po zakończeniu szkoły policyjnej przed sześcioma miesiącami. Cieszył się dobrą opinią wśród kolegów ze względu na swój dobry humor. Nawet w najgorszych i niebezpiecznych sytuacjach potrafił żartem rozładować napięcie, jakie im często towarzyszyło.

Dwóch z nich wybuchnęło śmiechem. Porucznik pogroził mu tylko żartobliwie palcem.

– Cholera! Wygląda na to, że ten doktorek pociął się z kimś. – Musiał wskazał ślady krwi na podłodze.

– Idź na górę, ja rozglądnę się tutaj.

Osocki przeglądał każdy kąt salonu. Jego uwagę zwróciły stojące na stoliku dwie puste lampki po winie i dwie filiżanki z niedopitą kawą.

Kogoś musiał tutaj gościć. Najwidoczniej nie był to zbytnio pożądanym gościem, na co wskazują ślady krwi na korytarzu.

Usłyszał kroki schodzącego na dół kolegi.

– I co tam na górze? Znalazłeś go?

– Nikogo nie ma. Łóżko zalane krwią. Chyba ktoś go tam dźgnął nożem.

Albo może sam się okaleczył. W każdym razie niczego nie znalazłem. Facet lubi chyba ostry seks, bo na stoliku przy łóżku są takie rzeczy, że gęsiej skórki dostałem. Musi pan, poruczniku, sam zobaczyć.

W tej samej chwili do salonu wpadł Kozłowski.

– Znaleźliśmy go! Tam, po drugiej stronie domu.

– Żyje? – Porucznik popatrzył na niego pytająco.

– Zimny jak lód, poruczniku.

– Kurwa mać! To mamy problem.

– Problem, to mało powiedziane. Gość leży w trumnie. Ktoś go tam najwidoczniej wrzucił, ale zapomniał zakopać.

– Co ty mi tutaj pierdolisz!?! Za te twoje głupie dowcipy, to ja cię kiedyś...

– Tym razem pogroził mu pięścią.

Kozłowski wzruszył ramionami i podążył w stronę wyjścia. Osocki i Musiał poszli za nim.

Sierżant Grażda stał przed wykopanym dołem z jedną ręką w kieszeni. W drugiej trzymał papierosa i co chwilę zaciągał się dymem. Buty i nogawki spodni miał ubrudzone błotem. Na widok porucznika odrzucił niedopałek i wyciągnął rękę z kieszeni.

– Tam jest. Sztywny jak kłoda, pa.. poruczniku. Byłem tam na dole, żeby sprawdzić, czy żyje, ale ani go ruszyć, taki sztywny. Nie wygląda na to, żeby dobrowolnie sam się tam położył. Śmierdzi już, musi ze trzy dni tak leżeć.

Wszyscy czworo stanęli przed wykopanym dołem i w milczeniu spoglądali w dół. W zbitej z nieheblowanych desek skrzyni, na głębokości około jednego metra leżał twarzą w dół solidnej postury mężczyzna. Jego ciało i głowa zanurzone były do połowy w błocie, które spływało z otwartego dołu. Mężczyzna miał na sobie zimową kurtkę z kapturem. Prawa ręka wysunięta była do przodu. Zaciśnięta na brzegu skrzyni dłoń owinięta była bandażem. Przy jego nogach, ubranych w wysokie gumaki, oparte było wieko skrzyni. Wieko składało się z czterech desek zbitych razem od wewnętrznej strony poprzecznymi listwami.

– Te deski, pa... poruczniku, to ja wsadziłem do dołu, żeby tam wejść i zobaczyć. Leżały na górze. – Wskazał ręką.

– Musiał, wiesz, co jest do roboty? – odezwał się do podwładnego Osocki.

– Tak jest, panie poruczniku. Lekarz i karetka.

– Zawiadom posterunek, mają powiadomić prokuraturę i to cholerne ministerstwo.

– Tak jest. – Policjant odwrócił się i pobiegł do samochodu.

– Panie poruczniku, proszę spojrzeć tutaj. Wygląda na to, że w tych dwóch miejscach ktoś coś zakopał. Ziemia jest jeszcze świeża. – Kozłowski podszedł we wskazane miejsce.

Porucznik i sierżant zerknęli w tamtą stronę.

– To ja może polecę i powiem Musiałowi, żeby wezwał jeszcze paru ludzi do pomocy. – Grazda popatrzył na oficera z obawą, że tamten odmówi i sami będą musieli kopać doły.

Porucznik skinął w milczeniu głową.

Po godzinie na plac przed domem podjechał duży samochód policyjny, za nim karetka pogotowia. Dwóch policjantów z wydziału dochodzeniowego zabrało się od razu do zabezpieczania śladów. Pozostałych czterech nowo przybyłych wyciągnęło z samochodu kilofy i łopaty, które ustawiło pod domem. Musieli jeszcze poczekać dwie godziny, zanim wydano im rozkaz wykopania dołu, który wskazał porucznik Osocki.

Policjanci nie potrzebowali zbyt głęboko kopać, aby natrafić na skrzynię podobną do tej, w której leżał, w międzyczasie zidentyfikowany i odwieziony do prosektorium, doktor Georg Maier. Policjant, który otworzył wieko skrzyni, na widok trupa wyskoczył z dołu niczym oblany wrzątkiem. Grazda odpalał papierosa od papierosa. Nikt nie miał odwagi wypowiedzieć pierwszego słowa. Nawet tak wygadany Kozłowski schował twarz w dłonie.

Kobieta mogła mieć najwyżej dwadzieścia pięć lat. Do połowy nagiego ciała przykryta była kocem. Wszystkie paznokcie w dłoniach wyłamała, próbując najwidoczniej wydostać się ze skrzyni. Na drewnianym wieku widoczna była krew i głębokie zadrapania, które wyraźnie na to wskazywały. Między palcami i z boku głowy leżały kępki włosów, które najprawdopodobniej wyrwała z desperacji albo w czasie nierównej, skazanej na porażkę walki ze śmiercią. Obok jej ciała leżały cztery puste butelki po wodzie mineralnej, latarka i książka. Przy jej stopach znajdowały się jeszcze dwie pełne butelki, lecz wąska skrzynia w żadnym wypadku nie pozwalała ich dosięgnąć, z czego jej oprawca doskonale zdawał sobie sprawę, kładąc je w to miejsce. Lekarz, który na prośbę Osockiego został do chwili, kiedy wykopią dół, podstawił wieko i zszedł do ofiary, stawiając stopy na poprzecznie przybite deski niczym na szczeble drabiny.

Pochylił się nad zwłokami kobiety. Do ręki wziął książkę i przerzucił parę stron.

– Co jest, panie doktorze? – Osocki przerwał ciszę.

– Ona zmarła mniej więcej w tym czasie, co ten gość, a więc trzy, może cztery dni temu. Jak długo tutaj leży, tego nie mogę dokładnie określić. Tydzień, dwa albo i dłużej. Ktoś chciał, żeby długo umierała i miała dużo czasu na rozmyślanie.

– Po czym pan tak sądzi?

– Butelki po wodzie mineralnej, latarka i Biblia wskazują na to dobitnie. I jeszcze jedno. Widzi pan w rogu ten gruby wąż?

– Tak. Co z nim?

– Powietrze. Dostarczał jej powietrza z zewnątrz, żeby się nie udusiła.

– Tylko człowiek może być tak okrutny! – Osocki zaciskał nerwowo pięści.

– Była bardzo piękna. – Jeden z policjantów, którzy wykopywali dół, po kryjomu wycierał chusteczką oczy i nos.

Teraz dopiero wszyscy zwrócili uwagę na jej twarz.

– Panowie! Teraz kopujemy tutaj w środku. Pośpieszcie się, bo nas zmrok zastanie. – Porucznik wskazał na miejsce, gdzie mają kopać.

– A może by tak zostawić to na jutro, panie poruczniku? Za godzinę będzie...

– Grazda, nie gadaj, tylko zorganizuj z Kozłowski światło. Poszukajcie w szopie, w garażu. Raz, dwa!

– Tak jest!

Policjanci ustawili dwa halogeny, które przywiozła ekipa zajmująca się kopaniem dołu. Oprócz tego Kozłowski i Grazda znaleźli sznur lamp do dekoracji świątecznej domu.

– Panie poruczniku!

– Co chcecie, Kozłowski?

– Tam w garażu stoi jeszcze taka skrzynia, tylko cała ubrudzona ziemią. Pokażemy panu.

W trójkę udali we wskazane przez Kozłowskiego i Grazdę miejsce. Wracając, Osocki milczał, zastanawiając się nad czymś.

Jeszcze przed zmrokiem policjanci dotarli do następnej skrzyni. Żaden z nich nie chciał otworzyć wieka. Porucznik wziął do ręki łom i z pomocą swoich ludzi zszedł na dół.

Ciało zakrywał aż do czubka głowy szary koc. Porucznik złapał koniec koca, ale szybko puścił go z powrotem.

– Panie doktorze! Proszę, to pańska robota.

Porucznik wyszedł z dołu i pomógł lekarzowi zejść do środka.

– Coś mi się wydaje, że to nie jest cmentarz, tylko przechowalnia. On wcale nie chciał, żeby umarły.

– Jak to przechowalnia, panie poruczniku? – zapytał jeden z nowo przybyłych policjantów.

– Jeszcze nie wiem. Jeszcze nie wiem – powtórzył – ale być może kiedyś się dowiemy.

Doktor Stanisławski zsunął koc z twarzy kobiety i latarką oświetlił jej twarz. Nagle jego rozdzierający krzyk zmroził krew w żyłach policjantów i poderwał w górę setki ptaków szykujących się do snu.

– ONA ŻYJE!!!!

Dwudziestosiedmioletnia Teresa Olsztyńska pracowała od czasu do czasu dla agencji towarzyskiej. Była w oczach mężczyzn prawdziwą pięknoscią i wielu z nich oddałoby wszystko, aby ją posiadać na zawsze. Zjawiała się, gdy potrzebowała pieniędzy, później znikała na parę tygodni bez śladu, zatem nikt się specjalnie nie troszczył jej zaginięciem. Jedynie jej najserdeczniejsza przyjaciółka rozpoczęła na własną rękę bezskuteczne poszukiwania zaginionej.

Prokurator miał nadzieję, że dziewczyna będzie mogła złożyć zeznanie i wyjaśnić okoliczności, w jakich znalazła się w domu radcy handlowego doktora Georga Maiera i co naprawdę się tam wydarzyło.

Po dwóch tygodniach pobytu w szpitalu lekarze stwierdzili, że dziewczyna całkowicie postradała zmysły i nie rokowali jej powrotu do zdrowia. Teresę Olsztyńską skierowano do zamkniętego zakładu psychiatrycznego, gdzie miała spędzić resztę życia.

Koniec września, a lato nie ma zamiaru się z nami pożegnać.

Dorota spoglądała poprzez szybę tramwaju na ludzi spacerujących po chodniku w krótkich koszulkach. W ciągu minionych miesięcy bardzo się zmieniła. Jasne, długie blond włosy spięte bursztynową kłamrą opadały jej na plecy. Luźna bluzka sprawiała wrażenie nieco za dużej, a mimo tego starannie zakrywała dekolt i kształtny, duży biust. Błądą twarz z zapadniętymi policzkami i paroma zmarszczkami na czole zdobił staranny makijaż. Oczy ukrywały duże, słoneczne okulary. Schudła ponad piętnaście kilo i ze zgrozą przeglądała się w lustrze. Zapadnięty brzuch i z tygodnia na tydzień coraz bardziej widoczne zebra napawały ją zgrozą.

Od kilku miesięcy, gdy tylko pozwalała na to pogoda, jeździła tramwajem na Rynek, gdzie z reguły wstępowała do którejś z restauracji i wypijała filiżankę kawy, po czym szła na Planty. Starła się odwrócić myśli od wydarzeń sprzed początku tego roku, ale one powracały do niej niczym bumerang.

Dwa dni zajęło jej dojście do domu. Zgubiła się w lesie i nie miała pojęcia, jak się z niego wydostać. Parę razy brała do ręki komórkę, aby wezwać pomoc, lecz za każdym razem wrzucała ją znowu do torebki. W końcu bateria wyczerpała się i zdana była tylko na siebie. Gdy wreszcie dotarła do domu, przez tydzień nie opuszczała mieszkania. Nieustannie nadśluchiwała pod drzwiami, czy policja nie zapuka do drzwi i nie aresztuje jej za morderstwo. Z dnia na dzień do jej świadomości powracały wszystkie szczegóły tamtej nocy, gdy zamordowała tego gościa.

Do tej pory codziennie parę razy w ciągu nocy budziła się obłana potem. Za każdym razem widziała siebie z nożem Amandy, który trzymała w obu dłoniach i rzucała się na niego z chęcią przebicia go na wylot. W ostatnim ułamku sekundy on obracał się na bok i nóż przebijał materac. W następnej chwili czuła silne uderzenie w tył głowy i traciła przytomność.

Oczy otworzyła jeszcze, zanim w pełni odzyskała świadomość. Leżała nago w jakiejś skrzyni przypominającej trumnę, do połowy zanurzona w błocie, które spływało razem z deszczem ze ścian dołu. Chyba cudem udało jej się podnieść i wspiąć się po dwóch deskach na górę.

„Karol” stał skulony pod oknem i trzymał się za skaleczoną dłoń. Po czerwonej z wysiłku twarzy i okularach z cienką, złotą oprawą spływały krople deszczu. Na jej widok rzucił się biegiem z wyciągniętymi do przodu rękami.

– Ty dziwko jedna! Zdychaj wreszcie!

Nagle zdała sobie sprawę, że wymówił te słowa z niemieckim akcentem, czego nie zauważyła przedtem, kiedy z nim rozmawiała.

Dorota bliska omdlenia upadła na kolana w momencie, gdy znalazł się pół metra od niej. Nie zdążył zatrzymać się, przeleciał przez nią niczym zawodnik rugby. Z tą różnicą, że za nią zamiast boiska znajdował się dół ze skrzynią, do której wpadł głową do przodu. Podeszła do brzegu i przez chwilę obserwowała nieruchome ciało z twarzą w błocie. Wyciągnęła deski i rzuciła je obok sterty ziemi.

Weszła do domu, gdzie wzięła prysznic i doprowadziła się do porządku.

Zanim opuściła posiadłość, jeszcze raz podeszła do dołu, w którym nadal w takiej samej pozycji leżał jej oprawca. Z zachmurzonego nieba siąpił lodowaty deszcz. Wiatr przeszywał jej roztrzęsione ze strachu ciało. Złożyła ręce do modlitwy i z jej ust dobiegły słowa: „Ojcze nasz, który jesteś w niebie...”. Przerwała, nasłuchując nerwowo. Przez moment wydawało jej się, że słyszy płacz i zawodzenie dochodzące z grobu. Po chwili do tego głosu dołączył się następny, cichszy odgłos pukania w deskę. Odwróciła się na pięcie bliska obłądu i popędziła jak szalona w stronę bramy wjazdowej.

W lesie, w drodze do domu wyciągnęła z torebki perukę i nóż Amandy. Przez chwilę zastanawiała się, czy nie wyrzucić tych rzeczy do rowu i nie przysypać ich liśćmi. Po chwili ponownie włożyła je do torebki. W notesie Amandy przekreśliła długopisem jedno z trzech imion podkreślonych przez nią pomadką do ust.

Sadysty Karolka już nie ma, teraz kolej na pana Łukaszka i pana Cyryła. Dorothea zaopiekuje się wami, macie to jak amen w pacierzu. Przyrzekłam jej przy łożu śmierci, a to jest tak, jak gdybym samemu Panu Bogu przysięgała. Obiecane jest obiecane.

Na trzech następnych stronach widniał szereg adresów internetowych z wpisanymi uwagami Amandy, jak na przykład „narcyz” albo „skłonności pedofilskie” lub zwyczajnie „kretyn”, „idiota”, „biedak”, „mały”. Przy niektórych adresach wpisała numer telefonu i gwiazdki. Domyślała się, że to byli jej najlepsi klienci.

Francowaty Internet! Kosztował ją życie.

Prawie całą drogę nie mogła powstrzymać łez. Na okrągło powtarzała modlitwę do Anioła Pańskiego: „Aniele Boży, Stróże mój ...”. Z bocznej kieszeni torebki wyciągnęła różaniec, który odmawiała nieustannie i wypuściła z rąk dopiero po powrocie do domu.

Anioł nie okazał się tym razem dla niej zbyt łaskawy, miał najprawdopodobniej inne, ważniejsze zadania do wykonania. Przez wiele godzin błądziła po lesie. Noc spędziła w jakimś szałasie zbitym przez leśniczych. Na drugi dzień miała więcej szczęścia. Dotarła szybko do drogi, ale nie odważyła się zatrzymywać przejeżdżających samochodów. Szła nadal lasem, lecz w takiej odległości, aby nie stracić drogi z oczu.

Ponieważ była zamożną kobietą, po dwóch miesiącach od śmierci Amandy zrezygnowała z pracy. Pieniądze, jakie odziedziczyła po niej, pozwalały jej na godziwe życie.

Któregoś dnia ze zdziwieniem odebrała telefon od byłego szefa, który prosił ją o rozmowę. zaproponował jej pracę w biurze w zastępstwie koleżanki, która odeszła na urlop macierzyński. Zgodziła się bez zastanowienia, natomiast amory żonatego gościa odrzuciła, dając mu do zrozumienia, że rola kochanki zupełnie jej nie odpowiada, co z resztą zaakceptował bez sprzeciwu.

Rozejrzała się po wagonie tramwaju. Naprzeciwko niej siedział mężczyzna z małą, mniej więcej trzyletnią dziewczynką. Był, jak go oceniała, w jej wieku, był średniego wzrostu, miał widoczną łysinę i pocziwą twarz. Jego zielone oczy przeszywały ją na wylot. Dziewczynka z cudownymi, kręconymi włosami i uroczą twarzą aniołka, jaką z reguły dzieci w jej wieku mają, obejmowała ojca w pasie i również przyglądała się jej uważnie.

Dorota wyraźnie zakłopotana tą sytuacją już miała się do niego zwrócić, ale ubiegł ją.

– Ja bardzo panią przepraszam. Ja poznaję panią.

– To niemożliwe. Ja pana nie znam, coś się panu pomyliło. Tylu jest na świecie ludzi podobnych do... Ach! Przypominam sobie. To pan... wtedy w szpitalu. Teraz pamiętam. A to jest pana córeczka, o której pan opowiadał.

– To jest mój tatuś! – Dziecko jeszcze bardziej wtuliło się w ojca.

– Jak pan sobie daje radę? Współczuję bardzo.

– Muszę sobie radzić. Takie życie. Wokół nas inni umierają, a my bniemy dalej. – Poglaskał dziecko po głowie. – A pani przyjaciółka?

Dorota pokiwała tylko przecząco głową.

– Tak jak pan powiedział: inni umierają, a my idziemy dalej, dopóki się nie potkniemy.

– Mam na imię Józef. – Wyciągnął do niej rękę. – Józef Dorocki. A ta młoda, uroczą panią to Monisia.

– Doroth... ta. Dorota Bednarek. – Podała mu rękę.

– Co niedzielę zabieram Monię na lody naprzeciwko pomnika Adama Mickiewicza. Może pani zna tę restaurację? A potem spacer po Rynku i nad Wisłą. A pani dokąd, jeśli mi wolno zapytać? Lubi pani spacerować?

– Znam Kraków jak własną kieszeń. Wygląda pan na uczciwego i miłego człowieka. – Dorota zdjęła okulary i wsunęła je we włosy, przypatrując się mężczyźnie uważnie. – A ty jakie lubisz lody? – zwróciła się do dziecka.

– Czekoladowe, proszę pani.

Dziewczynka wstała i podeszła do niej. Objęła ją mocno w pasie i

przytuliła się do niej. Dorota na ten widok wstrzymała oddech. Poczuła przyjemne ciepło rozgrzanej twarzy Monisi na swoim brzuchu. Bała się, że za chwilę wybuchnie płaczem i przestraszy tym dziecko. Podniosła rękę i powoli położyła ją na jej miękkich, delikatnych włosach. Trzymając lewą rękę na jej głowie, prawą objęła jej plecy i równie mocno przycisnęła do siebie.

– No to jemy dzisiaj wszyscy czekoladowe lody. A później... to czas pokaże.

Zsunęła okulary na oczy, aby ukryć łzy, których nie mogła powstrzymać.

Mój syn miałby teraz dwanaście lat. Tak bardzo pragnęłam wziąć go w swoje ramiona. Ciekawe, jakby teraz wyglądał?

Jego nastrój był taki sam jak ta listopadowa pogoda: zachmurzony. Obiecał żonie i synowi, że dzisiaj razem zjedzą kolację w Ratuszowej, a tu nagle ta sprawa.

– Dokąd jedziemy, panie poruczniku? – Starszy posterunkowy Stanisław Musiał otworzył drzwi samochodu swojemu szefowi.

– Tu masz adres. – Podał kartkę kierowcy. Zerknął na zegarek. Dochodziła godzina dwunasta w południe.

– Ja wiem, gdzie to jest, panie poruczniku. – Musiał odłożył kartkę. – To jest koło Kalwarii Zebrzydowskiej. Takie osiedle domków letniskowych. Cała krakowska śmietanka ma tam letnie wille. Godzina jazdy i jesteśmy na miejscu, panie poruczniku.

– Najpierw zajedziemy na lotnisko do Balic. Mamy odebrać dwóch typów z dochodzeniówki. Sama stolica przysyła nam posiłki, tak jak gdybyśmy sami nie dawali sobie rady. Pamiętasz tego gościa, którego znaleźliśmy na początku roku we własnym grobie?

– Oczywiście. Tego nie zapomnę do końca życia.

– No właśnie. Miesiąc temu znaleziono jeszcze jednego. Ktoś mu obciął kutasa i wsadził go w tyłek. Facet podobno jeszcze żył, jak mu to zrobiono. Okazało się, że to był kumpel tego pierwszego. Razem polowali i mieli wspólne zainteresowania. Oboje lubili ostrą jazdę. Sprowadzali dziwki i maltretowali je. Udało nam się odszukać dwie, które raz brały udział w takiej imprezie. Powiedziały, że to był jeden jedyny raz i nigdy więcej się na takie coś nie zgodzą. Jedną z nich tak pobili, że wylądowała w szpitalu. Słyszały o takich, które już więcej nie wróciły. Bały się cokolwiek mówić, bo prostytutce i tak nikt nie uwierzy. Gliny je tylko z kąta w kąt przepędzają,

chyba że smarują. Ryzyko zawodowe, jak to nazwały. Słyszałeś coś o tym smarowaniu przypadkiem?

– Ja!? Panie poruczniku, nigdy czegoś takiego nie słyszałem. Niewyobrażalne! – Musiał ruszać się nerwowo za kierownicą, jak gdyby ogrzewanie siedzenia miało mu za chwilę przepalić spodnie.

– Okazało się, że DNA, jakie zabezpieczyli, w obu morderstwach jest identyczne. Narzędzie, jakim posługiwał się morderca, również jest takie samo. Skalpel lub bardzo ostry nóż.

Na miejsce zbrodni dotarli po czwartej, gdyż samolot, którym przyleciało dwóch, podobno najlepszych specjalistów z wydziału dochodzeniowego, miał ponaddwugodzinne opóźnienie.

Policjanci stojący przed wejściem na widok oficera wyprostowali się i podnieśli ręce do czapek. Przepuścili ich do środka. Trzech mężczyzn ubranych w białe kombinezony zabezpieczało miejsce zbrodni, przeszukując każdy centymetr pomieszczenia, w którym leżały zwłoki zamordowanego.

Na widok mężczyzny przykutego kajdankami do ramy łóżka porucznik stanął jak wryty. Widok nie należał do zbyt przyjemnych. Jeden z ubranych w kombinezon podszedł do niego i podał mu rękę.

– Kapitan Tarowski – przedstawił się. – Właściwie to jesteśmy gotowi. Możecie się panowie rozglądnać.

– Co znaleźliście, kapitanie?

– Zabezpieczyliśmy parę długich, czarnych włosów, ale czy należą do mordercy, tego nie mogę teraz stwierdzić. Jeden z kolegów znalazł w rowie przy drodze nóż sprężynowy. – Podał mu ze stołu woreczek foliowy, w którym spoczywał nóż.

Porucznik wziął go do ręki i oglądał dokładnie.

– T.A.K. Jeżeli to są inicjały, to chciałbym wiedzieć, do kogo należą. – Podał nóż jednemu z przybyłych policjantów dochodzeniowych

– Czy on żył, jak mu to zrobili? – zwrócił się ponownie do kapitana.

– To zrobiła najprawdopodobniej kobieta, z którą miał stosunek. Wygląda na to, że żył, jak mu obcięła genitalia, co zresztą było powodem śmierci. Po prostu wykrwawił się.

– Co panowie proponują? – Tym razem skierował pytanie do nowych kolegów.

– Zgarniemy każdą prostytutkę. Pobierzemy od wszystkich DNA i prędej czy później znajdziemy ją. Ta sprawa ma priorytet i jest tylko kwestią czasu,

jak ją dopadniemy.

– Co zrobimy, jeżeli morderczynią nie jest prostytutka?

Przez chwilę zapanowało milczenie.

– Wszystko jedno, kim ona jest, kiedyś popełni błąd. Wszyscy zostawiają jakieś ślady – odezwał się ten drugi.

– Wyrzuciła nóż, jakby chciała nam powiedzieć, że robotę skończyła. Jeżeli teraz jej nie znajdziemy, nie znajdziemy jej nigdy. – Porucznik lekko podniósł głos.

– Panie poruczniku, ja myślę, że tych trzech gości zasłużyło na to, co ich spotkało. Ten był najprawdopodobniej efobofiliptykiem.

Musiał podać mu jedno ze zdjęć, które wyciągnął ze sterty rodzinnych fotografii leżących na komodzie. Fotografia przedstawiała nagą dziewczynę w wieku około piętnastu lat, przywiązaną do krzesła. W jej oczach malował się śmiertelny lęk. Z nosa i rozciętej wargi spływała krew.

– Kim on był!?! – Osocki trzymał w ręku zdjęcie i patrzył pytająco w twarz posterunkowego. Pod nosem dodał: – Co ty mi tu pierdolisz, Musiał?

– Kolega ma na myśli nimfofilię. Czyli kogoś, kto leci na bardzo młode dziewczęta. Ale tak naprawdę nie dowiemy się tego chyba nigdy. – Kapitan Tarowski zerknął na zwłoki. – Może był sadystą? Może pedofilem? Jedno możemy całkowicie wykluczyć, a mianowicie to, że zbrodni dokonało dziecko lub taka drobna istota jak ta z fotografii. Gdybyśmy ją odnaleźli, pomogłoby to nam bez wątplenia w śledztwie.

Po sześciu miesiącach daremnych poszukiwań mordercy sprawa została odłożona do „dolnej szuflady”. Znalaziono co prawda inne fotografie dokumentujące przestępstwa trójki zamordowanych mężczyzn i ukazujące ich praktyki seksualne wobec kobiet, ale nie pomogły one wyjaśnić spraw zabójstw. Odnaleziono również piętnastoletnią dziewczynę z fotografii. Przyznała, że była jedną spośród wielu kobiet na imprezie urządzonej przez tych mężczyzn, ale niewiele z tego pamięta, gdyż mężczyźni zmusili ją do picia alkoholu i dlatego nie może udzielić pomocnych dla śledztwa informacji. Nacisk przesłuchujących policjantów na gimnazjalistkę spowodował załamanie psychiczne dziewczyny, w następstwie czego lekarz oraz jej rodzice nie wyrazili zgody na dalsze przesłuchanie.

Ciał czterech młodych kobiet, owiniętych workami foliowymi i zakopanych w lesie w pobliżu szałas, w którym schronienie znalazła Dorota, nigdy nie znaleziono.

*

Paweł Drażny, kierownik urzędu stanu cywilnego, mrużył oczy, patrząc znad okularów na nietypową parę zawierającą ślub w środowy poranek. Kwietniowe słońce akurat wzniosło się ponad dachy sąsiednich domów i wpadało z całą swoją wiosenną siłą do sali, oświetlając osoby, które się w niej zgromadziły. Pomiędzy kobietą i mężczyzną siedziała czteroletnia dziewczynka niezwracająca specjalnie uwagi na słowa urzędnika.

Dorota ubrana była w niebieską suknię, a jej szyję zdobił podwójnie okręcony wokół niej naszyjnik z pereł, którego blask zdawał się wypełniać całą salę. Co chwilę spoglądała z uśmiechem w stronę przyszłego męża, który z kolei nie mógł opanować nerwów i rozcierał zeszywniałe palce.

Monisia miała na sobie białą sukienkę, białe rajstopy, a jej głowę zdobił różowy kapelusik, spod którego spływały na ramiona jasne, kręcone włosy. Śliczna twarz dziecka zwrócona była w stronę środkowego okna, w którego górnym rogu ogromny pajak tkał sieć.

Wzrok Drażnego podążył za oczami dziewczynki.

– Muszę przyznać, że wiosenne porządki ominęły tę salę. Nie musisz się go bać, Monisiu, on jest tak daleko, że nic ci nie robi. – Kierownik uśmiechnął się do dziecka.

– Ja się go nie boję, proszę pana. – Dziewczynka odwróciła twarz w jego stronę i trochę skrepowana faktem, że nagle znalazła się w centrum uwagi zgromadzonych osób, z zażenowaniem gładziła sukienkę na kolanach.

– To dobrze, że się go nie boisz, ponieważ on przyniósł nam dobrą wiadomość. A mianowicie: mocą tego urzędu oznajmiam zawarcie związku małżeńskiego pomiędzy panią Dorotą Bednarek i panem Józefem Dorockim. Zanim pan młody pocałuje panią młodą, mam jeszcze jedną, pomyślną nowinę. Wniosek o adopcję córki pana Józefa przez jego partnerkę, a obecnie żonę, panią Dorotę został pozytywnie rozpatrzony. Mocą sądu będzie pani sprawowała opiekę nad Moniką, czyli jest pani oficjalnie matką tej prześlicznej, młodej istoty.

Dorota pochyliła się w stronę dziewczynki, aby ją pocałować. Napotkała łagodny uśmiech promieniujący z jej oczu. Uśmiech i... te oczy, które już kiedyś widziała, które do złudzenia przypominały ją wtedy na klatce schodowej, w momencie, w którym odwróciła się do niej i podchodziła lekkim, opanowanym krokiem. Iskierki podobne do gwiazd na bezchmurnym niebie tańczyły w jej niebieskich, dziecięcych oczach. Dorota nie mogła

powstrzymać skurczu i nagłego bólu żołądka.

– Ona była u mnie dzisiaj w nocy i kazała ci powiedzieć... – wyszeptała jej do ucha.

– Jaka ona? Monisiu, o czym ty mówisz?

– Powiedziała, że ty będziesz wiedziała. Ona jest taka cudownie śliczna. – Dziewczynka westchnęła z zachwytu na samo wspomnienie. – Ubrana była w białą suknię i na szyi miała taki sam naszyjnik z pereł jak twój.

– Ja przecież zrobiłam wszystko, co chciała. Dlaczego nie zostawi nas w spokoju? Co ci powiedziała? Dlaczego przyszła akurat do ciebie?

– Bo dzieci widzą to, czego wy nie widzicie. A powiedziała... powiedziała... – dziecko przez chwilę zastanawiało się – że teraz to ona jest twoim Aniołem Stróżem i będzie czuwać nad twoim szczęściem, i... że nie musisz się martwić, bo będziesz dobrą mamusią. I powiedziała... szatan nie przychodzi do nas. On jest w naszym serduszkach, czasem tylko pozwalamy mu wyjść z niego. – Wskazała palcem na serce.

– Tak powiedziała? Jesteś tego pewna?

– Tak, mamusiu. Tak powiedziała. – Monika skinęła głową i ponownie zwróciła głowę w stronę okna.

Nagle jej twarz rozpromienił niebiański uśmiech. Na parapecie, po jego zewnętrznej stronie stał pokryty białymi piórami, bielszymi od świeżego śniegu tatrzańskich szczytów gołąb. Przekrzywił głowę raz w jedną, raz w drugą stronę, spoglądając uważnie szafirowymi oczami w stronę dziewczynki.

Monisia pomachała ręką w jego stronę, ciągnąc jednocześnie dłoń Doroty.

– Popatrz, mammo! Ona patrzy na nas. – Pokazała w stronę okna.

– Gdzie, kochanie? Nikogo nie widzę.

W tej samej chwili gołąb zatrzepotał skrzydłami, odbił się od parapetu i zamiast odlecieć w stronę miasta, przeleciał bezszelestnie przez szybę w kierunku ciężkiego, mosiężnego żyrandola zdobiącego sufit sali ślubnej. Przez krótki moment siedział na jednej z czterech odłóg lampy, po czym wzbił się ponownie w górę i zniknął tym razem bezpowrotnie.

Monisia wciągnęła z zachwytem głęboko powietrze w dziecięce płuca na widok spadającego z góry pióra, które kręcąc się wokół własnej osi, upadło na kolana Doroty.

Dorota wzięła ostrożnie niczym świętą relikwię pióro do ręki i podniosła wzrok do sufitu.

– Ona poleciała do nieba, ale wróci, jak ją będziemy potrzebować. Nie powiedziała mi tego – Monisia uprzedziła pytanie Doroty – ale ja to wiem. Bo ja to wiem, bo ja to wiem, ja to... – nuciła pod nosem i uderzała palcami uda, naśladowując grę na fortepianie.

Epilog. Przebudzenie

Silna wyobraźnia Monisi i gołębie piórko, które jakimś cudem podczas wietrzenia sali znalazło się na żyrandolu i spadło akurat podczas ceremonii zawarcia małżeństwa, zasugerowało głęboko wierzącej Dorocie, że jej przyjaciółka znalazła właśnie w tej samej chwili wiekuisty spokój.

Jedenaście miesięcy wcześniej (w dzień pogrzebu Teresy Amandy Krammer)

Zarys pasma górskiego stawał się coraz bardziej widoczny w blasku nadchodzącego dnia. Mężczyzna prowadzący samochód jeszcze raz zerknął w lusterko i obserwował przez parę sekund tylne siedzenie. Poprawił na nosie okulary osadzone w cienkiej, pozłacanej oprawie i wyciągnął z wewnętrznej kieszeni marynarki paszport. Znak na drodze, łopocząca lekkim powiewem wiatru na metalowym maszcie flaga z białym krzyżem na czerwonym tle, oraz widoczne w oddali światła wskazywały na to, że zbliża się do granicy. Zegar na kokpicie auta wskazywał czwartą piętnaście.

Sto metrów przed barierką oddzielającą go od docelowego państwa podróży dłużyło mu się w nieskończoność. Zesztywniałymi palcami rozcierał drżący ze zdenerwowania prawy kącik ust. Jeszcze dziesięć, pięć... Dwa metry przed szlabanem zatrzymał samochód i otworzył do połowy boczne okno. Na drugim pasie dwóch celników przeszukiwało bagażnik innego, jadącego z Holandii samochodu. Dwóch młodych mężczyzn stało z boku i przyglądało się w milczeniu pracy celników. Na widok ogromnego, czarnego owczarka niemieckiego prowadzonego w ich stronę przez trzeciego strażnika drgania kącika ust mężczyzny w aucie stojącym przed granicą znacznie się nasiliły. Pies miał najwidoczniej za zadanie obwąchać bagaże w celu sprawdzenia, czy nie ukryto w nich narkotyków.

Z budynku celnego na widok auta stojącego przed szlabanem wyszło

dwóch młodych urzędników. Jeden z nich okrążył czarnego jeepa z przyciemnionymi szybami, drugi podszedł od razu do kierowcy siedzącego za uchyloną szybą.

– Grüß Gott. Dokumenty, proszę.

Lewą rękę wyciągnął w stronę uchylonej szyby, aby odebrać paszport. Prawa spoczywała na kaburze pistoletu. Fala uchodźców z państw afrykańskich, zagrożenie terroryzmem w Europie Zachodniej oraz niedawne akty terrorystyczne, w których zginęły przypadkowe osoby, zmuszały, szczególnie na przejściach granicznych, do wzmożonej kontroli i ostrożności.

Drugi ze strażników dotarł w tym czasie do swojego kolegi i również pozdrowił kierowcę, który trzymał w ręku dyplomatyczny paszport i uśmiechał się sympatycznie w ich stronę.

– Grüß Gott – odpowiedział, mimo że Bóg i religia interesowały go tyle, co zeszłoroczny śnieg, tyle, co bieda i głód panujące wśród uchodźców, których określał mianem „zakały ludzkości i czarnym ścierwem”.

Jako rzecznik handlowy z ramienia kilku organizacji charytatywnych oficjalnie nadzorował pomoc dla najuboższych państw afrykańskich. „Oficjalnie” niekoniecznie znaczyło, że pracował w pocie czoła. Raczej odwrotnie. Jego działalność można byłoby określić przeciwieństwem jakiegokolwiek czynności na rzecz poprawy egzystencji najuboższej i niestety najliczniejszej grupy społecznej naszej planety. Niektóre takie pseudoorganizacje płaciły wynagrodzenia znanym osobom ze świata polityki, sportu, branży filmowej itd. za wynajem nazwiska, tytułu czy znanej twarzy w celu zdobycia renomy na rynku. Jak sam to zresztą nazywał: „na dużą kupę srają wszyscy”. Z każdego wysłanego dolara pomocy na stół tych biedaków nie trafiał nawet jeden cent, gdyż ponad trzy czwarte lądowało do kieszeni urzędników i pracowników zarządu, a reszta ulatniała się po drodze.

– Doktor Georg Meier. – Strażnik przeczytał na głos nazwisko kierowcy czarnego jeepa, po czym zamknął paszport dyplomatyczny i oddał z powrotem. – Panie konsulu, życzymy przyjemnego pobytu w naszym kraju. Do widzenia. – Lekko skinął głową w jego stronę. Podniósł rękę w kierunku okna budynku granicznego, a szlaban uniósł się w górę.

– Do widzenia. – Konsul ruszył powoli, uśmiechając się nadal życzliwie. Naprężone mięśnie twarzy rozluźniały się coraz bardziej z każdym przejechanym metrem dzielącym go od przejścia granicznego.

Czas na przerwę i pora na kolejną iniekcję – pomyślał, odwracając się.

Otworzył skrytkę w podłokietniku i sprawdził, czy wszystko jest na swoim miejscu. Wyciągnął z niego plastikowe pudełeczko i włożył je do wewnętrznej kieszeni marynarki. Około piątej zjechał na mały, oddalony kilkaset metrów od głównej drogi parking. Wysiadł z samochodu i przespacerował się dookoła niego, uważnie rozglądając się na wszystkie strony. Nie widząc żywej duszy, wrócił się do auta i otworzył bagażnik oraz boczne tylne drzwi od strony pasażera. Zrzucił koc z zakrytego nim ciała. Od ostatniej infuzji upłynęło ponad dwanaście godzin. Czas najwyższy, aby podłączył nową butelkę oraz wstrzyknął odpowiednią dawkę barbituranów i morfiny podanych mu przez szpakowatego mężczyznę na podkrakowskim parkingu.

Twarz młodej kobiety zakrywały jasne, wręcz słomkowe włosy. Odkrył prześcieradło, którym przykrył ją po tym, jak podał jej ostatnio medykamenty. Odpiął górę dresów i położył rękę na jej gołym ciele. Była ciepła. Jej klatka piersiowa unosiła się powoli i rytmicznie w górę i dół. Odetchnął z ulgą. Jeszcze tylko cztery godziny jazdy do umówionego miejsca i jego koszmar się skończy.

Dałem za ciebie trzy melony złotych, dziwko. Ale mi się to opłaci.

W chwili gdy odgarniał jej włosy z twarzy, promień letniego słońca oświetlił z całą mocą wnętrze jeepa. Znieruchomiał. Przypatrywał się jej w osłupieniu. Następnie przejechał dłonią po łysej czaszce, dotykając blizny, jaka mu pozostała po uderzeniu butelką. Poznał tę dziewczynę. To była bez wątpienia jedna z tych, które zamówili na imprezę w jego leśnym domku. Dla niego skończyła się ona wtedy przed czasem. Wszyscy ze zgrozą przypatrywali mu się, jak staczał się zakrwawiony i oszołomiony ciosem, jaki zadała mu ta właśnie zdzira.

Po tym jak jego kumple opatrzyli mu ranę i założyli bandaż, wpadł w furję. Miała szczęście, że udało jej się zwać, inaczej zakatrupiłby ją bez zastanowienia w lesie za domem. Wypił za jednym zamachem pół butelki wódki i wziął się za młodą dziewczynę, którą wcześniej przywiązali do stołka. Obił jej pięścią twarz i zaniósł oszołomioną na górę.

Teraz przyglądał się nieprzytomnej kobiecie z zadowoleniem, jakie przynosi ze sobą spóźniona zemsta. Złapał ją palcami prawej ręki za brodę i przekręcił głowę w swoją stronę. Liczne siniaki na jej twarzy nabrały żółtego koloru. W ranie biegnącej od skroni aż do policzka oraz w rozciętej dolnej wardze widoczne były niewyciągnięte jeszcze do tej pory szwy.

– Masz, suko, za swoje! Wiesz, co oni z tobą zrobią? Lepiej, żebyś nie wiedziała, ale ja i tak ci opowiem. – Poklepał ją dłonią po policzkach. – Najpierw wytną ci jedną nerkę. Następnie płat twojej młodej wątroby, który wszczepią jakiemuś przepitemu milionerowi. Później druga nerka uratuje życie bardziej wartościowemu od ciebie człowiekowi. Na końcu podarujesz komuś, kto najwięcej zapłaci, swoje serduszko. Co ty na to?

Powieki kobiety zaczęły drgać nerwowo. Jej oddech stał się nierównomierny i głębszy niż poprzednio. Ale zdawać by się mogło, że przestało to interesować mężczyznę, który nagle miał inne, ważniejsze sprawy na głowie. Prawą ręką trzymał się za pęcherz, który nagle i z potężnym bólem oznajmił mu, że nadszedł najwyższy czas, by go opróżnić.

Nie zamykając auta, pobiegł w stronę pobliskich krzaków oddzielających parking od niewielkiej polanki, za którą rozpościerał się potężny las. W chwili, w której rozpiął spodnie i zrobił krok do przodu, poślizgnął się na zroszonej trawie. Jego lewa noga utknęła z trzaskiem do połowy łydki w lisiej norze. Był święcie przekonany, że właśnie złamał jakąś suchą gałąź i wpadł do dziury, ale dokładniejsze oględziny okazały się straszniejsze od najgorszych wyobrażeń, jakie mogły mu przyjść do głowy. Wystającą sponad przebitej nogawki spodni kość piszczelową w pierwszej chwili wziął za kawałek złamanego drewna. Oszałamiający ból przyszedł po chwili nagle i prawie odebrał mu świadomość. Z przygryzionej z bólu dolnej wargi na jego jasną koszulę sączyła się krew. Plama moczu na spodniach stawała się z sekundy na sekundę coraz większa, co mu było w tej chwili zupełnie obojętne. Drżącą ręką wyciągnął z wewnętrznej kieszeni marynarki plastikowe pudełeczko. Otworzył je i wydobyl z niego strzykawkę, na którą nałożył igłę. Przełamał jedną ampułkę z morfiną i naciągnął całą jej zawartość do środka. Optycznie stwierdził, że dawka jest niewystarczająca i przełamał następną fiolkę. Połowę wstrzyknął w udo, drugą dożylnie w lewe przedramię.

Ostatnią rzeczą, którą zdołał zarejestrować przymglonym wzrokiem, był widok kobiety ubranej w granatowy dres, pełną na czworakach w stronę lasu. Pół godziny zajęło mu przeczołganie się dwudziestu metrów do samochodu, skąd zadzwonił po pomoc.

Trzy dni później na tym samym parkingu zatrzymało się młode małżeństwo jadące w podróż poślubną z Francji do Liechtensteinu. Luci była trochę szaloną lub może dokładniej: roztrzepaną, dwudziestopięcioletnią

dziewczyną o kręconych, rudych włosach, piegowatej skórze i ciągle uśmiechniętych, niebieskich oczach. Pierre Yves, do piątku jeszcze jej chłopak, a od trzech dni oficjalnie mąż, był o dwa lata od niej starszy i stanowił jej przeciwieństwo. Miał czarne, kręcone włosy i ciemną skórę. Poznali się na studiach przed trzema laty i od tamtej pory stali się nierozłączną parą. Rodzice Pierre'a pochodzili z Algierii, on natomiast urodził się we Francji i nigdy nie nauczył się poprawnie języka arabskiego, pomimo że ojciec usilnie na to nalegał. Miodowy miesiąc postanowili spędzić, podróżując po Szwajcarii oraz Austrii. Pierwsze parę dni mieli spędzić u rodziny Luci w Liechtensteinie, a następnie wyruszyć w dalszą drogę.

– Chodź, pobiegajmy trochę po łące. – Luci wysiadła z samochodu i rozpoczęła gimnastykę niczym biegacz szykujący się do startu. – Dobrze nam to zrobi po tak długiej drodze.

Pierre Yves poszedł w jej ślady i wykonał wpierw parę głębokich skłonów, a następnie krótki sprint w miejscu, aby rozruszać zesztywniałe od siedzenia nogi. Luci objęła go za szyję i pocałowała. Kiedy odwzajemnił jej uścisk i chciał mocniej przytulić do siebie, odepchnęła go z uśmiechem.

– Kto pierwszy przy lesie?! – Odwróciła się i nie czekając na odpowiedź, pobiegła w stronę oddalonego od nich około pięciuset metrów lasu.

Dogonił ją parę metrów przed pierwszymi drzewami. Objął w pasie, podniósł do góry i obrócił wokół własnej osi.

– Chodź, wejdźmy do lasu. Patrz, jaki gęsty i wspaniały. Jeszcze nigdy takiego nie widziałam – zaproponowała.

– Nie boisz się? Wygląda trochę niesamowicie, pewnie nikt tutaj od stu lat nie zaglądał. W takich lasach jest zawsze ciemno. Doskonałe miejsce dla wampirów i wilkołaków. – Objął jej szyję i delikatnie wbił zęby w jej skórę.

– Przestań się wygłupiać! Teraz to się naprawdę boję.

– Przy mnie nic ci się nie stanie. Wziąłem ze sobą pistolet naładowany srebrnymi kulami.

– Skoro tak... to chodźmy.

Przebijając się przez gęste poszycie leśne, uszli zaledwie kilkadziesiąt metrów.

– Proponuję, żebyśmy wrócili. Miałeś chyba rację, że nikt tutaj od stu lat nie zaglądał. – Luci mocniej złapała go za rękę, wspinając się za nim na pień powalonego drzewa.

– Tego to akurat nie jestem taki pewien. Patrz tam! – Ręką wskazał kierunek. – Ktoś chyba wyrzucił ubranie.

– Zobaczymy, co to jest. – Pociągnęła go za sobą.

Oboje stanęli jak wryci, widząc ludzką postać. Chłopak ukląkł przed leżącym ciałem.

– To jest kobieta. Żyje. Tak myślę, że żyje, bo jeszcze ciepła.

– Zobacz, czy oddycha.

– Jak mam zobaczyć, czy oddycha? Mam jej zatkać nos!?

– Odsuń się. Ja zobaczę. – Luci pochyliła się nad leżącą kobietą i przystawiła ucho do jej lekko uchylonych ust.

– I co?

– Oddycha. Ale bardzo słabo. Zostanę przy niej, a ty wezwij pomoc. I na miłość boską, pospiesz się! Ona potrzebuje natychmiast lekarza.

Pierre Yves puścił się biegiem w stronę auta, gdzie zostawił komórkę. Luci usiadła przy leżącej kobiecie i położyła jej głowę na swoich nogach.

– Tylko nie umieraj mi teraz. Proszę, nie umieraj. – Ręką głaskała jej policzek i zrzucała przyklejone do czoła liście. – Ktoś musiał cię bardzo skrzywdzić, ale teraz jesteś bezpieczna. Tylko nie umieraj.

Wzięła do ręki zaciśniętą dłoń kobiety i podniosła do góry. Rozluźniła jej palce. W dłoni trzymała sprasowany mech zmieszany z trawą.

– Ty to jadłaś!?! Pokaż jeszcze raz usta. – Luci rozsunęła jej wargi i zaczęła wyciągać z nich niepołknięte resztki mchu. Kobieta zaczęła kaszleć i otworzyła oczy. Jej niebieskie, zmęczone i przymglone oczy na widok sympatycznej twarzy dziewczyny trzymającej jej głowę w swoich objęciach rozjaśniły się. Ale już po chwili zamknęła je znowu. Objęła talię Luci prawą ręką i położyła głowę na jej udach.

– Zaraz ci go wyciągnę – odezwała się do niej na widok ogromnego, napompowanego kleszcza przyklejonego do jej szyi. Przypomniał się jej Książę, pies, z którym spędziła dzieciństwo. Najpierw był Książę, później ona. Kundel dominował w tym związku i robił, co chciał, wyobrażając sobie zapewne, że jest rasowym psem. Jedynie kiedy wyciągała mu ze skóry z wprawą okrągłą, wypełnioną krwią kulkę, okazywał swoją wdzięczność, liząc ją po palcach.

– Gdzie on jest tak długo!?! Na miłość boską, dlaczego to tak długo trwa? – denerwowała się, nie zdając sobie sprawy, że upłynęło dopiero pięć minut, odkąd jej mąż pobiegł po pomoc.

W międzyczasie postanowiła przejrzeć jej głowę w poszukiwaniu innych małych krwiopijców. Znalazła jeszcze dwa kleszcze w jej włosach, które bez trudu usunęła. Kobieta nawet w najmniejszym stopniu nie zareagowała na ból, który musiała jej przy tym sprawić.

Nagle do jej uszu doleciał szum śmigieł helikoptera, który z każdą sekundą narastał. Na środku polany stał Pierre Yves i wymachiwał w jego stronę komórką, w której włączył lampę błyskową i używał jako latarki. Śmigłowiec z namalowanym na nim ogromnym czerwonym krzyżem wylądował bez problemu na miękkiej trawie. Wskoczyło z niego dwóch ubranych w żółte kamizelki mężczyzn. Trzeci podał im złożone nosze i pozostał w środku, wydając im przez mikrofon umieszczony przy ustach instrukcje.

Pierre Yves wskazywał ręką kierunek, w którym musieli się udać. Wszyscy troje pobiegli w stronę Luci, która na ich widok odetchnęła z ulgą.

Sanitariusze nie zadawali żadnych pytań. Z zawodową wprawą ułożyli nieprzytomną kobietę na noszach. Starszy z nich założył na dłonie sterylne rękawice, które wyciągnął z naramiennej torby. Następnie sięgnął po urządzenie do intubacji oraz małą latarkę. Otworzył jej powieki i sprawdził źrenice. Z ust wydobył jeszcze dwa kawałki mchu, które Luci przeoczyła, i założył na usta maskę. Drugi z nich podał Pierre'owi wizytówkę z adresem szpitala, do którego ją przewozili, by poinformować o stanie zdrowia znalezionej kobiety. Musieli niestety pozostać na parkingu przy samochodzie do czasu, kiedy zjawi się policja i spisz ich zeznania, co było zwykłą formalnością w takich sytuacjach.

Cztery tygodnie później, w drodze powrotnej do Francji postanowili odwiedzić znaną w lesie kobietę i dowiedzieć się czegoś o stanie jej zdrowia. Wcześniej dzwonili do szpitala, ale nikt nie chciał udzielić im informacji, powołując się na ochronę danych pacjenta.

Po spisaniu personaliów siostra Magdalena zaprowadziła ich przed salę intensywnej opieki, skąd przez dużą szybę mogli ją zobaczyć.

– Najdalej za dwa... trzy dni przeniesiemy ją na normalny oddział, gdzie zostanie jeszcze jakiś czas, aż do chwili...

– Aż do chwili, kiedy nie będzie obaw o jej zdrowie. Mam na myśli cielesny stan naszej pacjentki – dokończył doktor Neuhaus, który akurat w tej chwili pojawił się za plecami pielęgniarki. Przedstawił się, podając rękę Luci i Pierre'owi. – Z sekretariatu zadzwonili do mnie z informacją, że naszą

pacjentkę odwiedzają osoby, które uratowały jej życie.

– My tylko ją znaleźliśmy i zadzwoniliśmy po pomoc. – Luci próbowała ich zasługę w odratowaniu kobiety przedstawić skromniej, niż na to zasłużyli.

– Dzień później i nie bylibyśmy w stanie nic dla niej zrobić. I tak zresztą jej stan był krytyczny. Nie dawaliśmy jej na początku większych szans na przeżycie.

– Ktoś tam na górze – pielęgniarka wskazała palcem sufit – nad nią czuwał i nie pozwolił jej odejść tak wcześnie.

– Czy wiadomo, kim ona jest? – zwrócił się Pierre Yves do lekarza.

– Niestety, nic nam nie wiadomo. Nie miała przy sobie dokumentów. Sprawę przejęła policja, która również nic nie znalazła. Nikt jej nie poszukuje, nikt nie zgłosił jej zaginięcia.

– A ona nic nie powiedziała? – zapytała się go Luci.

– Ona, skarbie, do tej pory nie przemówiła słowem – wtrąciła siostra Magdalena.

– Tak, Niestety. Do tej pory znajduje się w szoku. Obawiam się, że jej stan psychiczny będzie wymagał terapii. Długotrwałej terapii – dodał.

Wszyscy zwrócili wzrok w stronę leżącej kobiety, która jak gdyby podświadomie odgadła, że za szybą toczy się rozmowa na jej temat, i odwróciła głowę w ich stronę. Przypatrywała im się przez chwilę uważnie, po czym znów popatrzyła w stronę okna i zastygła w bezruchu.

Luci złapała dłoń męża i ucisnęła ją z całej siły, z trudem panując nad sobą i łzami cisnącymi się jej do oczu.

– Jestem pewien, że już wkrótce odezwie się do was z podziękowaniem za uratowanie życia – dodał lekarz na koniec bez większego przekonania, jakby sam nie wierzył własnym słowom.

*

Sierpień, dwanaście miesięcy później. Klinika neurologiczna profesora Artura Wertha

Przy dużym, panoramicznym oknie siedziały w milczeniu dwie osoby. Przypatrywały się uważnie młodej, uroczej kobiecie siedzącej na ławce z pochyloną głową nad leżącą na jej kolanach książką. Jej jasne, wręcz słomkowe włosy opadały na trzymaną w rękach lekturę. Po krótkiej chwili podniosła energicznie głowę w stronę nieba. Wiatr rozwiały włosy, ukazując bladą twarz. Oczy miała zamknięte, tylko jej usta poruszały się bezszelestnie,

powtarzając przeczytany tekst. Uważny obserwator mógłby dostrzec cienką, biegnącą od jej skroni aż po policzek bliznę.

Otworzyła oczy i dostrzegła obserwujące ją osoby.

Zdawałoby się, że światło słoneczne, które przebiło się przez szczelinę w chmurze świeciło tylko dla niej, pozostawiając wszystko wokół niej w cieniu. Rozjaśniło jej niebieskie źrenice, w których pojawiły się nagle migoczące iskierki, niczym gwiazdy całego uniwersum świecące własnym światłem. Na jej twarzy pojawił się delikatny uśmiech. Pomachała ręką w ich stronę. Oboje prawie jednocześnie podnieśli ręce w górę i odwzajemnili pozdrowienie.

– A więc, szanowna koleżanko, doszły mnie słuchy, że nasza pacjentka doczekała się wreszcie swojego imienia? – Profesor Werth poprawił zdobiącą kołnierzyk jego koszuli muszkę.

– Tak. Postanowiliśmy wybrać, a właściwie zaproponować jej wybranie imienia spośród ponad stu, które wypisaliśmy dla niej. Na początku listy umieściliśmy te najbardziej popularne. – Doktor Sylwia Gercke odwróciła twarz od okna i zwróciła się w stronę rozmówcy.

Pomimo młodego wieku profesor wyznaczył ją na zastępcę. Miał do niej ogromne zaufanie i kiedyś wyraził się o niej na zebraniu wszystkich pracowników w sposób, który zapewne nie spodobał się niektórym z lekarzy uważających siebie za bardziej od niej kompetentnych. Stwierdził mianowicie, że bez jej udziału, zaangażowania i kompetencji trudno byłoby mu prowadzić tę klinikę.

– Na jakie imię padł jej wybór?

– Nie uwierzy pan, panie profesorze! Zamknęła oczy i palcem wskazała nam jedno z listy. Jej wybór padł na imię świętej Teresy od dzieciątka Jezus. Może to imię pozwoli jej się wyzwolić z kapsuły, w jakiej się zamknęła.

– Dalej szuka pani klucza, którym możemy dotrzeć do jej podświadomości? Co zrobimy, jeżeli się okaże, że nie wyświadczyliśmy jej tym przysługi, lecz otworzyliśmy puszkę Pandory!?

– Co pan proponuje, profesorze?

– Dajmy szansę odnaleźć jej swoje szczęście w nowym życiu. I jednego jestem pewien, ono będzie lepsze od tamtego, które gdzieś za sobą pozostawiła.

Odwrócili się ponownie w stronę okna. Tym razem Teresa przypatrywała im się uważnie. W tej samej chwili, w której ich wzrok ponownie się spotkał, skinęła przytakująco głową.

Po chwili otworzyła na nowo książkę i szeptem powtarzała
słowa królowej skierowane do Hamleta:
Przestań powieki ustawicznie spuszczać
W ziemię, o drogim ojcu rozmyślając.
Co żyje, musi umrzeć; dziś tu gości,
A jutro w progi przechodzi wieczności...

*

Olga Szymanowskaja opuściła Polskę wkrótce po pogrzebie byłej koleżanki, gdyż policja ciągle ją nachodziła i nieustannie przesłuchiwała. Musiała ujawnić swoje dochody i źródła utrzymania. Groziła jej kara więzienia za oszustwo podatkowe. Uznała, że ziemia pali jej się pod nogami i nie ma czego tutaj więcej szukać. Pod koniec sierpnia, czyli zaledwie po dwóch miesiącach od momentu wyjazdu, jej przeszłość dopadła ją w okrutny sposób.

Ciało Olgi z podciętym gardłem znaleziono w rowie na przedmieściach Kijowa. Przed śmiercią była w okrutny sposób torturowana i gwałcona.

*

Krzysztof Karpiński codziennie zatrzymywał się na przystanku w nadziei, że któregoś dnia nieoczekiwanie Teresa zjawi się na nim, jak gdyby nic się nie stało. Wypytywał o nią bezskutecznie pasażerów oraz kierowców autobusów. Dopiero po wakacjach dowiedział się w szkole, w której nauczała Teresa, o śmierci i losie, jaki ją spotkał.

Odwiedził parę razy jej grób składając bukiet kwiatów. Za którymś razem spotkał kobietę z małą dziewczynką. Dorota modliła się, nie zwracając na niego uwagi. Monisia oparła głowę na jej biodrze i powtarzała po niej słowa modlitwy. Po krótkiej chwili Dorota odwróciła się w jego stronę i zmierzyła go niezbyt życzliwym wzrokiem od stóp do głów.

— Kim pan jest? Kim ona była dla pana?

— Kim pan jest? — zapytała jak echo dziewczynka.

— Jestem znajomym Teresy. Podwoziłem ją parę razy do pracy.

— Do pracy!?! — Twarz Doroty nagle nabrała kamiennych rysów.

— Do szkoły, w której uczyła. No, wie pani...

— Tak, wiem. — Odetchnęła z wyraźną ulgą. — Ja jestem jej sąsiadką. Byłam jej sąsiadką i przyjaciółką — poprawiła się.

— Bardzo mi jej brakuje. — Spojrzał ze smutkiem na granitową płytę nagrobku.

— Tak. Nam wszystkim jej nam brakuje.

Działkę budowlaną, na której chciał wybudować swój wymarzony dom,
sprzedał.

Spis treści

[Wstęp](#)

[Rozdział pierwszy. Londyn](#)

[Rozdział drugi. Kraków. Podwójne życie](#)

[Rozdział trzeci. Martyrium. Umieranie nie jest łatwą sprawą](#)

[Rozdział czwarty. Zemsta bywa ślepa i okrutna](#)

[Epilog. Przebudzenie](#)



ROMAN STANIEK — „Amanda” jest jego drugą książką. Pierwsza, „Cudzoziemiec oraz inne przypadki”, jest humorystycznym opowiadaniem o Polaku mieszkającym w Niemczech i różni się sposobem narracji oraz klimatem od „Amandy”. W „Amandzie” autor poświęca większą uwagę bohaterom i ich osobowości. Pisze lekkim stylem i absolutnie nie próbuje naśladować innych pisarzy.

Londyn i Kraków. Chłodna doktor psychologii, wyrafinowana prostytutka, przykładna nauczycielka i romantyczna kochanka. Okazuje się, że główna bohaterka Teresa reprezentuje każdą z nich i dokonuje wyborów, kierowana w swoim mniemaniu przez siły nieczyste. Dramatyczne konsekwencje, które potem ponosi, budzą grozę i zmuszają do refleksji, jak jeden kompromis moralny może wywołać efekt domina.

„Amanda” to powieść obyczajowo-kryminalna ukazująca z różnych punktów widzenia przyczyny prostytucji, półświatek sutenerów i handlarzy żywym towarem oraz niebezpieczeństwa wynikające z nienasycenia, nudy i pielęgnowanej nienawiści.

*

Miejsca, zdarzenia i postacie występujące w książce są fikcyjne i mogą niekiedy odbiegać od realiów społecznych i politycznych. Niektóre fragmenty zawierają opisy brutalnej przemocy.